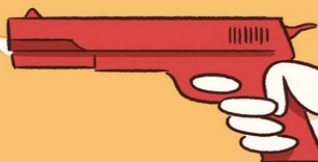


MAM

„Najpaskudniejszy,
najśmieszniejszy
i najbardziej zachwycający
kryminal ostatecznego
pięćdziesięciolecia”.

Guardian



CIĘ

NA



MUSZCE

KYRIL BONFIGLIOLI

II CZĘŚĆ SERII BEZWSTYDNY MORTDECAI



Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Tytuł oryginału
AFTER YOU WITH THE PISTOL

Redakcja
Mirosław Grabowski

Projekt okładki
© Luke Pearson

Korekta
Elżbieta Steglańska, Igor Mazur

Copyright © the Estate of Kyril Bonfiglioli, 1979
All rights reserved.
The moral right of the copyright holders has been asserted.
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca,
2015

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-149-9

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail:

sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Wszystkie postaci występujące w tej książce są fikcyjne. Wszelkie podobieństwa do osób autentycznych, żyjących albo martwych, są przypadkowe, a skojarzenia z nimi – niesmaczne.

Motta pochodzą z twórczości Alfreda lorda Tennysona, oprócz jednego, ewidentnej podróbki. Fałszerz sygnował ją zgodnie ze zwyczajem w tym fachu.

[Jeśli nie zaznaczono inaczej, fragmenty wierszy w przekładzie Magdaleny Słysz].

Sprostowanie

W tej książce nie ma ani słowa prawdy. Z przyjemnością informuję, że nie miałem okazji poznać nikogo, kto by przypominał któregoś z jej bohaterów, ani o kimś takim słyszeć. Wszyscy, co do jednego, są wytworami mojej chorej wyobraźni. Odnosi się to zwłaszcza do fikcyjnego narratora, którego podobieństwo do niżej podpisanego kończy się na obwodzie pasa.

Przepraszam za jego wypowiedzi na temat handlu sztuką. Wszakże niektórzy z moich najlepszych przyjaciół... et cetera.

Na południe od Tamizy znajduje się bardzo nietypowy posterunek policji, którego jednak nigdy nie widziałem, co najwyżej oczami wyobraźni, i chciałbym, aby tak pozostało. Jedyne znany mi pub Pod Kiścią Winogron występuje w nieśmiertelnej piosence Gracie Fields o aspidistrze ¹. Wydaje mi się, że na East Endzie był kiedyś sklep elektryczny Mycocka, ale o żadnej rzeźni noszącej tę nazwę nie słyszałem.

Sztuczka z panelem w toalecie samolotowej została już kiedyś wykorzystana do przemytu heroiny, ale od dawna jest spalona, bo inaczej bym o niej nie pisał. Tak

samo jak stare triki z oponami samochodowymi, aparatami z Koulun, wydrążonymi bumerangami z Bendigo (w Nowej Południowej Walii), „ciężarnymi” kobietami z Amsterdamu, płytami gramofonowymi z prasowanej gandzi czy nawet zakurczonymi dywanami z Kaszmiru, które wymagają nieco uwagi ze strony pracowników pewnych pralni chemicznych w londyńskiej dzielnicy portowej, zanim zostaną dostarczone odbiorcy. To samo odnosi się do innych opisanych przeze mnie paskudnych technik. Błagam, tylko nie dajcie się skusić i nie wkroczcie na drogę przestępstwa. Może i jesteście szybcy jak zając, ale Stary Bill to bardzo skuteczny żółw.

Przepraszam Air France, wszystkie stewardesy tej linii to wybitne lingwistki. Wiele z nich jest w stanie zrozumieć nawet mój francuski.

1. Mortdecai przygotowuje się na spotkanie ze Stwórcą

Przyjdź do ogrodu, Maud,
Stoję tu u bramy sam.

Maud

Tak, oto gdzie się znalazłem. Do tego doszło. Moje życie dobiegało końca.

Dopiłem więc whisky, po raz ostatni spojrzałem z rozrzewnieniem na nagą księżną i być może – już nie pamiętam – uрониłem łzę żalu, pozwalając sobie na ten pożegnalny luksus, po czym podniosłem się sztywno na nogi. Wszystkie komory ciężkiego, ujmująco starego smitha and wessona były załadowane miękkimi ołowianymi nabojami. Lekko odciągnąłem kurek, co pozwala zakręcić bębenkiem. Kręcąc nim, wsłuchałem się w szybki, głęboki szcęk zapadki.

Potem usiadłem ponownie.

Zrobiłem to wszystko kilka minut za późno i ostatni łyk szkockiej z dna butelki okazał się za mały. Gdyby było jej o jedną płynną uncję więcej, jak stary grizzly opuściłbym z rykiem swoją śmierdzącą kryjówkę, ale teraz trzeźwość chwyciła mnie za gardło. Rozumiecie,

zacząłem się zastanawiać, gdzie kule przeszyją moje dobrze odżywione ciało, które kości zostaną strzaskane, które harpuny rzeczonych kości rozerwą które delikatne narządy, jak długo potrwa ta wewnętrzna jatka, zanim wspaniałomyślna kostucha uśmierzy ból i przesunie dłonią po moich oczach, zamykając je na zawsze.

Nie, chwilunia, przepraszam. Poczekajcie. Właśnie przyszło mi do głowy, że być może dziwi was, dlaczego Charlie Mortdecai – czyli ja – przygotowuje się na śmierć w śmierdzącej kryjówce, jedynie w towarzystwie nagiej księżnej, dużego rewolweru i pustej butelki po whisky. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy mogą uznać te okoliczności za niezwykle, niewykluczone nawet, iż dziwaczne.

Oto więc co zdarzyło się wcześniej, zanim się włączyliście. Nowi czytelnicy zaczynają od tego miejsca. To ja – czcigodny Charlie Mortdecai (dostałem „Charlie” na chrzcie), miły, bogaty, tchórzliwy, niestroniący od wszelkich rozrywek marszand, który macza palce w działalności przestępczej, żeby zapomnieć o hemoroidach. A to fantastyczny obraz Goi pod tytułem *Księżna Wellington*, przedstawiający damę, która pozując malarzowi, z roztargnienia zapomniała włożyć z powrotem majtki – i jeśli o to chodzi, wszystko inne także. Żywiąc tak wielki respekt dla własności prywatnej bliźnich, że czasami czuję się w obowiązku zadbać o nią samemu, buchnąłem to dzieło z Prado w Madrycie i osobiście dostarczyłem je

przebogatemu miłośnikowi sztuki z Nowego Meksyku. Na miejscu stwierdziłem, że człowiek ten został właśnie zamordowany, a namiętna młoda wdowa szuka kogoś na jego zastępstwo. Potem wszystko potoczyło się nie po mojej myśli, jak zawsze w takich sprawach, i kiedy poczucie humoru zaczęło mi w końcu szwankować, zabezpieczyłem tyły – jak mawiali kiedyś wodzowie – i wróciłem do Anglii, mojej ojczyzny oraz pięknej krainy, w wymienionym porządku.

Wtedy już pałały do mnie gorącą niechęcią najrozmaitsze typy i podczas niemal zabójczego pościgu byłem zmuszony docisnąć butem głowę wiernego służącego, tego łotra Jocka, który i tak już ginął w jeszcze mniej przyjemny sposób, wciągany w bagna zatoki Morecambe w Lancashire. Ja – Mortdecai – zaszyłem się w dawnej kopalni czerwonego tlenku żelaza na terenie Crag w Warton (wciąż w Lancashire), ale okazało się, że wrogowie jednak mnie wytropili, i zrozumiałem, że moje życie jest skończone. Byłem już wówczas w bardzo słabej formie psychicznej i fizycznej, więc postanowiłem upić się na umór, a potem wypaść z rykiem ze swojej śmierdzącej kryjówki i przynajmniej zabić Martlanda, swojego głównego prześladowcę.

Czy wszystko jasne? Są jakieś pytania? Więc właśnie szykowałem się, żeby wyjść naprzeciw paskudnej śmierci, której tak często bywałem świadkiem, gdy ginęli inni. Jednak jakoś zupełnie nie widziałem siebie

w tej roli.

No tak, istniało tylko jedno ale. Czy miałem inne wyjście? Jakiś wybór?

Przechyliłem butelkę i wysączyłem z niej ostatnie trzy krople, no, może cztery.

„Pozbieraj się do kupy, Mortdecai – nakazałem sobie surowo. – Nie pozostało ci już w życiu nic innego, jak tylko je opuścić. Lepiej, o wiele lepiej, żebyś zrobił to teraz. Dojrzałeś do śmierci i jesteś na nią gotowy. Spodoba ci się tam, na górze”.

„Na górze? – pomyślałem. – Tam, na górze? Czy to pora na żarty?”

Uniosłem głowę i znowu spojrzałem na portret księżnej, oparty o ścianę kopalnianego szybu. Uśmiechała się jak zwielokrotniona Mona Liza, aseksualnie zmysłowo, erotycznie tylko na poziomie, którego nigdy nie było mi dane osiągnąć. Chociaż Bóg wie, że się starałem.

– No dobrze – powiedziałem do niej.

Podczołgałem się do wyjścia z małej kopalni. Z zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk, panował całkowity bezruch, ale byli tam, nie ulegało wątpliwości. Nie mogli być nigdzie indziej.

Wyszedłem.

Zapaliło się oślepiające światło, jednakże – nie wiadomo dlaczego – było skierowane nie na mnie, ale w przeciwną stronę. Padało na bladego, przestraszonego Martlanda. Cóż, mogłem przynajmniej zrealizować

część swojego planu. Martland spojrział na mnie pod światło, wykonując drobne, nerwowe ruchy rękami.

– Martland – przemówiłem. Nigdy wcześniej nie słyszałem u siebie takiego tonu, ale wiedziałem, że nie potrzeba więcej słów, że to jedno wystarczy.

Otworzył usta. Chyba nie przyszło mu to łatwo. Może zamierzał mi przypomnieć, że chodziliśmy razem do szkoły. Nie miałem serca zastrzelić kogoś, kto wyglądał tak żałośnie jak on, ale mój palec od cyngla żył własnym życiem. Rewolwer podskoczył mi w dłoni i ze spodni Martlanda, tuż pod kłamrą paska, dobył się obłoczek pyłu.

Jak urzeczony wlepiłem wzrok w to miejsce. Nie ukazała się krew, nie widać było nawet dziury. On też wyglądał na zdziwionego, nawet zirytowanego. Klapnął ciężko na tyłek i spojrział na mnie, wkurzony i rozczarowany. A potem zaczął umierać. Było to dość przerażające i trwało wieczność, tak że jeszcze bardziej zebrało mi się na mdłości. Nie mogłem znieść tej wizji, więc strzeliłem do niego jeszcze raz i jeszcze, ale umierał i umierał.

Ktoś, kto obsługiwał reflektor, wreszcie zakończył ten spektakl i przyszpilił mnie snopem światła. Nacisnąłem kurek rewolweru – pustego jak ja – jeszcze trzy czy cztery razy, trzy czy cztery razy mierząc w łypiące świetliste oko, lecz pomimo tej szarpaniny znowu spudłowałem.

– Panie Mortdecai – zabrzmiał uprzejmy głos

z amerykańskim akcentem.

Odwróciłem się na pięcie. W ciemnościach łzawiły mi oczy, a wnętrzności nie mogły się już doczekać nadlatujących kul.

– Nie, panie Mortdecai – ciągnął głos – proszę, niech się pan uspokoi. Tej nocy nikt nikogo już tu nie zabije. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę, wszystko będzie dobrze.

Nie potraficie sobie wyobrazić, jaki to zawód – przygotować się na śmierć i w ostatniej chwili prawdy się przekonać, że kat jednak się rozmyślił. Nagle znalazłem się na ziemi i zacząłem bezgłośnie płakać. Szlochły rozdzierały mi pierś niczym pociski, które nie nadleciały.

Dali mi płaską butelkę z whisky i znowu mnie zemdliło, ale zdołałem zatrzymać w żołądku trochę alkoholu. Wtedy od strony Martlanda dobiegł tępy huk pistoletu z tłumikiem i odgłosy umierania ucichły. Policjantka pomogła mi się podnieść i zaprowadziła mnie w dół po stoku wzgórza na drugą stronę drogi, a następnie do namiotu w lesie Fleagarth. Zasnąłem, gdy tylko padłem na materac.

2. Mortdecai się dowiaduje, że Stwórca jednak nie chce się z nim spotkać

...gdy opary
Z pól się dalekich wznoszą, nad chatami
Szczęśliwych ludzi, którzy mogą umrzeć...

Titonus, przeł. Zygmunt Kubiak

Kobieta obudziła mnie kilka chwil później. Te chwile chyba jednak musiały być godzinami, bo do namiotu wpęłzał zimny, brudny świt. Pisałem gniewnie i wtuliłem się w śpiwór; cuchnął paskudną policjantką, ale i tak wydawał mi się cudowny – nie było w nim ludzi. Ale ona wyciągnęła mnie ze snu, wbijając mi paznokcie palca wskazującego i kciuka w płatek ucha. Musiała nauczyć się tej sztuczki w służbie lorda Baden-Powella ². (Nie zastanawiacie się czasami, gdzie wyżywałby się B.-P., gdyby żył w dzisiejszych czasach? W Oxfam? Korpusie Pokoju?)

Niewątpliwie zdobyła odznakę obozowego kucharza, ponieważ kubek herbaty, który znalazł się w moich drżących dłoniach, nie był dla słabeuszy. Osobiście nie mam nic przeciwko mleku w proszku; nadaje krzepiącej gęstości taniej herbacie, która od czasu do czasu wydaje

mi się całkiem satysfakcjonująca.

Potem zmusiła mnie do umycia się i ogolenia (pożyczyła mi maleńką brzytwę o nazwie Miau, z plastikową różową rączką – a co?), a jeszcze później zaprowadziła do turystycznej ubikacji. Stamtąd, trzymając się za ręce, ruszyliśmy przez las w stronę drogi, przy której parkował wielki amerykański kempingowy van. Wsiedliśmy do niego. Było tam dwóch ludzi. Jeden spoczywał na noszach, nakryty od stóp do głów prześcieradłem. Cóż, domyśliłem się, że to Martland. Nie ruszyło mnie to. Wtedy jeszcze nie. Później – może. Drugim był Amerykanin, trajkoczący coś jazgotliwie do radioodbiornika, który mu się odszczekiwał. Odniosłem mgliste wrażenie, że facet cierpliwie przekonywał kogoś, żeby ten skontaktował się z kimś innym, kto miał upoważnić jeszcze kogoś innego do czegoś tam. Był bardzo uprzejmy wobec szczekacza. W końcu rzucił jak należy: „Przyjąłem i przechodzę na odbiór”, po czym przekręcił wszystkie gałeczki i odwrócił się, posyłając mi zupełnie nieuzasadniony o tak wczesnej porze uśmiech. Okazało się, że jest to niejaki pułkownik Blucher, którego miałem okazję poznać wcześniej. Nigdy nie wyrządziliśmy sobie krzywdy fizycznej.

– Dzień dobry, panie Mortdecai – powiedział, nadal uśmiechając się w nieuzasadniony sposób.

– Kwik – odparłem na to. Wciąż musiało być ze mną coś naprawdę nie tak, bo zamierzałem okazać trochę

więcej manier, a wyszedł z tego tylko kwik.

Zamrugął lekko, ale nie wziął tego do siebie.

– Bardzo, bardzo mi przykro, że musiałem obudzić pana tak wcześnie, panie Mortdecai, zwłaszcza że, jeśli dobrze pamiętam, nie należy pan do rannych ptaszków. Na pewno jest pan jeszcze okropnie zmęczony.

Tym razem wykazałem się większą elokwencją.

– Kwiku, kwik – odrzekłem uprzejmie.

To było nader dziwne uczucie: miałem na podorędziu konkretne słowa, a jedyne, co wychodziło z moich ust, to odgłosy zwierząt gospodarskich. Z rozpaczą chwytając się za głowę, usiadłem ciężko. Słyszając towarzyszący temu mokry dźwięk i czując pod sobą ciastowatą miękkość, uświadomiłem sobie, że siedzę na Martlandzie. Znowu z piskiem zerwałem się na nogi. Blucher także wydawał się zaniepokojony, więc oczywiście rzuciłem się na niego, aby mu przyłożyć. Bo jakoś uznałem, że nic rozsądniejszego nie mogę zrobić. Ale szeroki zamach ręki sprawił tylko, że upadłem na twarz i rozpłakałem się ponownie. Straszliwie zapragnąłem do mamusi, ale wiedziałem, że nie przyjdzie mi na pomoc, nigdy nie przychodziła, sami wiecie, nawet gdy jeszcze żyła. Należała do tych mamus, które uważają, że Krzyś, ten z *Kubusia Puchatka*, zabija wszystkie zarazki. Że to taka powieściowa WC kaczką.

Blucher zbliżył się, otoczył mnie ramieniem i pomógł mi się podnieść, a wtedy chyba zacząłem krzyczeć – bo pomyślałem, że to Jock wstał z grobu

w grzędawisku. Wyjął więc coś z kieszeni spodni i z wyrazem niewyczerpanego współczucia na twarzy starannie walnął mnie za uchem. Od razu zrobiło mi się lepiej.

„Przyjąłem i przechodzę na odbiór” – pomyślałem z wdzięcznością, kiedy spowiła mnie cudowna ciemność.

3. Mortdecai odzyskuje przytomność, jeśli tak to można nazwać

Wszystko odebrane nam zostało, stając się
Częścią, skrawkiem Przeszłości straszliwej.

The Lotus-Eaters

Do dziś nie wiem, gdzie się obudziłem ani jak długo byłem pozbawiony łączności ze swoimi zdolnościami kognitywnymi, niech Bóg ma je w opiece. Sądzę jednak, że musiało to być w tak okropnym miejscu w północno-zachodniej Anglii jak Preston, Wigan czy nawet Chorley, nie daj Boże. I pewnie upłynęły całe trzy-cztery tygodnie; zorientowałem się po paznokciach, o których obcięciu nikt nie pamiętał. Były w zatrważającym stanie. Ja sam też byłem zatrwożony.

– Przeżyłem załamanie nerwowe – powiedziałem sobie z trwogą – takie jak nasze ciotki w Boże Narodzenie.

Leżałem bez ruchu przez dłuższy czas. Rozumiecie, chciałem ich w ten sposób zwieść, kimkolwiek byli, i jednocześnie zyskać na czasie, aby wszystko sobie przemyśleć. Wkrótce dotarło do mnie, że nie ma ich w pokoju i że pragnę jedynie dużego, pokrzepiającego

drinka, żeby wspomóc proces myślowy. Doszedłem też do wniosku, że skoro pozwolili mi żyć, muszą czegoś ode mnie chcieć, a w takim razie drink w zamian nie byłby wcale nierozsądnym *quid pro quo*, jeśli podążacie za moim tokiem myślenia. (Zauważcie, że już samo wspomnienie tamtej chwili wpływa na moją szeroko znaną przytomność umysłu).

Kolejna dogłębna analiza sytuacji naprowadziła mnie na myśl, że aby dostać takiego drinka, należało wezwać kafkowską policjantkę o kredowej twarzy i w czarnym mundurze, która pełniła przy mnie straż. Nie mogłem znaleźć dzwonka, więc wygramoliłem się z łóżka i absurdalnie usiadłem na podłodze, płacząc z pożałowania godnej złości.

To, że wstałem, musiało uruchomić jakiś alarm, bo wahadłowe drzwi wahały się w tę i z powrotem i stanęła w nich zjawa. Przyjrzałem się jej spod zmrużonych powiek. Był to najwyraźniej negatyw policjantki o kredowej twarzy i w czarnym mundurze.

– Jest pani najwyraźniej negatywem! – zawołałem oskarżycielsko. – A kysz!

Twarz miała, wyobraźcie sobie, w najgłębszym odcieniu czerni, a mundur w najjaśniejszym bieli, wszystko na opak. Na mój okrzyk zachichotała, ukazując – paradoksalnie – ze czterdzieści osiem dużych białych zębów.

– Żaden ze mnie negatyw – odcięła się. – Może jestem społecznie upośledzona, ale nie gorsza. – Spojrzała na

mnie znowu.

Nie kłamała. Przekonałem się o tym jeszcze bardziej, gdy mnie podniosła i posadziła na łóżku (o wstydzie!), ponieważ mój nos został spłaszczony przez jedną ze wspaniałych stuwatowych lampek, które miała na czole. Mimo sflaczenia (no dobrze, wiem, że to nie jest odpowiednie słowo, ale świetnie wiecie, o co mi chodzi) poczułem, że w moich lędźwiach budzi się stary Adam – i nie mam tu na myśli ogrodnika. Nade wszystko zapragnąłem wyjść na dwór i zaszlachtować dla niej jednego czy dwa smoki. Ta myśl była tak piękna, że znowu zebrało mi się na płacz.

Strażniczka przyniosła mi drinka, dość cienkiego, ale niezaprzeczalnie alkoholowego. Enoch Powell ³ ostatecznie stracił mój głos. Znowu zapłakałem, delektując się tym zresztą. To znaczy, łzami, nie drinkiem, który smakował jak mleko od zdechłej lochy. Był to prawdopodobnie burbon albo coś w tym rodzaju.

Po jakimś czasie kobieta wróciła i uśmiechając się szeroko, stanęła odwrócona plecami do otwartych drzwi.

– A oto... doktor Farbstein, który przyszedł się z panem zobaczyć – zachichotała grubym głosem, jakby to miał być świetny dowcip.

Obok niej przeszedł wielki, jowialny, brodaty facet (przysięgam, że bęcnał o jej wspaniałe cycki), zbliżył się do mnie i usiadł na łóżku. Był cały radosny.

– Odejdź – zaszचेbiotałem słabo – jestem

antysemitą.

– Powinieneś być o tym pomyśleć, zanim dałeś się obrzezać! – ryknął wesoło.

Zbłąkany promień słońca (może jednak nie byliśmy w północno-zachodniej Anglii) wydobył złote nitki z jego okazałej asyryjskiej brody. Kingsley Amis natychmiast rozpoznałby w nich resztki jajeczniczy ze śniadania, ale ja jestem romantykiem, jak już pewnie się zorientowaliście, nawet jeśli nie czytaliście jeszcze o moich poprzednich przygodach.

– Byłeś poważnie chory – odezwał się znowu, tym razem z kamienną miną, starając się mówić poważnym, zatroskanym tonem.

– Wciąż jestem poważnie chory – poprawiłem go z godnością – a moje paznokcie są hańbą dla państwowej służby zdrowia. Jak długo przebywam w tym *guet-apens* sprzed epoki lizolu, na tej quasi-medycznej Łubiance?

– Och, wieki, całe wieki, można by odnieść wrażenie – odparł pogodnie. – Co jakiś czas mi mówią, że odzyskałeś przytomność, więc wpadam tu i daję ci zastrzyk z paraldehydu, żebyś przestał podszczypywać pielęgniarki, a potem zapominam o tobie na wiele dni. „Pozwalając naturze powoli robić swoje”, jak na to mówimy.

– A czym się żywię, jeśli wolno spytać?

– Chyba niczym specjalnie. Siostra Szybka mówi mi, że na twoim nocniku zalega gruba warstwa kurzu.

– Fuj! – prychnąłem. Uświadomiłem sobie przy tym, że już ze mną lepiej, bo trzeba być naprawdę silnym mężczyzną, żeby wypowiedzieć „fuj!” jak trzeba, odpowiednio wydymając wargi.

Równocześnie jednak zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z godnym siebie przeciwnikiem, chyba że potrafiłbym go zgasić. Przywołałem więc w sukurs swoje najbardziej arystokratyczne spojrzenie.

– Jeśli rzeczywiście jest pan lekarzem, jak twierdzi pańska... eee... opalona... współniczka – zaryzykowałem – to może zechce mi pan łaskawie powiedzieć, kim są pańscy pracodawcy.

Pochylił się nad łóżkiem i uśmiechnął anielsko, a wtedy jego broda się rozchyliła, odsłaniając szereg zębów, które przypominały losowy wybór słynnych czekoladek likworowych firmy Bassett.

– To SMERSZ! – szepnął. Czosnek w jego oddechu jechał acetylenem.

– Gdzie pan był na lunchu? – jęknąłem.

– W Manchesterze – mruknął z zadowoleniem. – W jednej z dwóch jedynych porządnym ormiańskich restauracji w Europie Zachodniej. Druga... cieszę się, że mogę to powiedzieć... też znajduje się w tym mieście.

– Poproszę o jakieś ormiańskie specjalności – powiedziałem – i to szybko, bez zbędnej zwłoki i namysłu. I niech pan przypilnuje, żeby było dużo humusu. A dla kogo pan naprawdę pracuje?

– Pochoruje się pan straszliwie. A pracuję dla

profesora psychiatrii w szpitalu uniwersyteckim w północno-wschodnim Manchesterze, jeśli koniecznie chce pan wiedzieć.

– No to się pochoruję... najwyżej pielęgniarki będą miały co robić, bo wygląda na to, że haniebnie się tu objają. I nie wierzę w ani jedno słowo z tych bzdur o północno-wschodnim Manchesterze. Tylko Londyn wytycza kierunki w medycynie, wszyscy to wiedzą. Na pewno jest pan jednym z tych oszustów, prawdopodobnie został pan wykreślony z rejestru za użycie niewysterylizowanego haczyka do zapinania guzików.

Nachylił się ku mnie jeszcze bardziej.

– Dupki – mruknął.

– To swoją drogą – odciąłem się.

Na tym etapie nawiązaliśmy porozumienie – czy nazwałby to terapią awersyjną? – i obiecał, że przyśle mi trochę humusu, gorącego ormiańskiego chlebka i może odrobinę tej pysznej sałatki z marynowanej fasolki ze zbląkaną cieciorą albo dwiema. Zapowiedział też, że będę mógł przyjąć gościa.

– A kto by chciał mnie odwiedzić? – zapytałem, roniąc kolejną łzę, która zakręciła mi się w oku.

– Są ich tabuny. – Spojrzał na mnie obłeśnie. – Całe kolejki małych apetycznych sziks, które grzeją się w poczekalni. To już niebezpieczne dla zdrowia.

– Ja cię! – odparłem.

– Nie mnie, tylko je wszystkie po kolei – on na to. Sól

ziemi, niektórzy z tych lekarzy.

Kiedy znaleźliśmy wspólny język, stał się już mniej ludzki i przeszedł do sprawy.

– Nie będę zwracał panu głowy, mówiąc, co panu dolega – powiedział sucho – bo tylko spyta pan, jak to się pisze, i nie będę wiedział. Prowincjonalny lekarz pierwszego kontaktu, będący trzydzieści lat do tyłu z postęпами w medycynie, mógłby to nazwać silną nerwicą pourazową. Ktoś w pańskim wieku... załamaniem nerwowym. Tak mentalnie nieprzygotowani ludzie określają zespół banalnych objawów występujących u tych, którzy ugryźli większy kęs, niż mogą emocjonalnie przeżuć.

Zastanowiłem się nad tym.

– Odpowiedź znowu leży w liczbie mnogiej – odparłem w końcu.

On z kolei zastanowił się nad tym.

– Gdy tak się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku – zauważył rozsądnie – że być może ma pan rację. Najważniejsze jednak, że przez dłuższy czas podawałem panu silne środki usypiające i sądzę, iż wszystko już z panem w porządku... w każdym razie w takim porządku, w jakim był pan wcześniej, ha, ha. Od czasu do czasu będzie się panu chciało płakać, ale to przejdzie. Dam panu teraz coś na pobudzenie... jakąś metedrynę... i szybko dojdzie pan do siebie. A tymczasem niech pan używa chusteczek higienicznych i płacze do woli.

Zadrżała mi dolna warga.

– Nie, nie! – zawołał. – Nie teraz! Bo oto – i tu szerokim gestem otworzył drzwi niczym ekshibicjonista rozchylający połę płaszcz – pański gość!

W progu stał Jock.

Poczułem, że krew odpływa mi do nóg, być może krzyknąłem. Na pewno zemdlałem. Kiedy odzyskałem świadomość, Jock wciąż stał w progu, chociaż pamiętałem wyraźnie – zbyt wyraźnie – że przed kilkoma tygodniami stąpnąłem mu na głowę, gdy nie mógł wydostać się z bagna.

Teraz szczyrzył się nerwowo, niepewny, jak zostanie przyjęty. Miał zabandażowany łeb, czarną opaskę na jednym oku i kilka nowych przerw w swoich mocnych żółtych zębach.

– Wszystko w porządku, panie Charlie? – spytał.

– Dzięki, Jock, mam się całkiem dobrze – odpowiedziałem. A potem zwróciłem się do doktora Farbsteina. – Ty obrzydliwy draniu – syknąłem – mienisz się lekarzem i robisz takie siupy swoim pacjentom? O co ci chodzi, chcesz mnie wykończyć?

Zachichotał z zadowoleniem, wydając taki odgłos jak wypróżniająca się krowa.

– Psychoterapia – odrzekł. – Wstrząs, przerażenie, gniew. Na pewno wyszło panu na dobre.

– Dołoż mu, Jock – poprosiłem. – I to mocno.

Jockowi zrzedła mina.

– On jest w porządku, panie Charlie. Serio. Codziennie

gram z nim w remika. Wygrałem od niego kupę forsy.

Farbstein wymknął się z pokoju, aby – bez wątpienia – gdzie indziej rozsiewać swoje promienie słońca. Być może był nawet dobrym lekarzem, jeśli takich lubicie.

Pozbierawszy się do kupy, odezwałem się w te słowa:

– Posłuchaj, Jock...

– Niech pan o tym zapomni, panie Charlie. Zrobił pan to, o co prosiłem. Moja mama postąpiłaby tak samo, gdyby przy tym była. Na szczęście nie miał pan wtedy wysokich butów.

Trochę mnie to zaskoczyło. To znaczy wiedziałem, że Jock musiał kiedyś mieć jakąś mamę, ale nie umiałem jej sobie wyobrazić, a już na pewno nie w wysokich butach. Nagle poczułem się okropnie zmęczony i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Jock siedział wiernie na końcu mojego łóżka i patrzył łakomie przez okno na coś, co mogło być jedynie przechodzącymi w dole rozchichotanymi pielęgniarzkami.

– Jock – odezwałem się – jak oni, u licha...

– Range roverem. Mieli wyciągarkę przy tylnej osi. Wydobyli mnie dzięki niej. Prawie nic nie bolało. Wyrwali mi ramię ze stawu, połamali kilka żeber i tak mnie załatwili, że dostałem przepukliny w kroku. Ale już wszystko w porządku.

– A oko? To coś poważnego?

– Już po nim – wyjaśnił pogodnie. – Dostałem

skórzanym pasem, a nosiłem kontakty. Ale pielęgniarce lubią, jak mam tę opaskę, bo mówią, że to romantyczne. Nie dam sobie wstawić szklanego oka, nie ma mowy, mój stryj miał takie i je połknął. I było po ptokach.

– Ojej – odparłem słabo – jak to?

– Wsadził je do gęby, żeby się ogrzało i żeby łatwo było je wetknąć do oczodołu, ale dostał czkawki, bo poprzedniego wieczoru sobie golnął. No i połknął to oko. Czkawka mu przeszła, ale oka nie odzyskał.

– Rozumiem.

Ależ żyje ta druga połowa ludzkości, nie ma co!

Zapadła długa błoga chwila ciszy.

– Nigdy go nie odzyskał? – zagadnąłem głośno.

– Nie. Stryj nawet namówił konowalę, żeby mu zajrzał do tyłka, ale gość powiedział, że nic nie widzi. „Śmieszne – mówi mój stryj – bo ja pana widzę dobrze jak nigdy”.

– Jock, ty przekłety łgarzu! – rzuciłem.

– Panie Charlie?

– Słucham.

– Chyba jest pan mi winien pobory, i to od dłuższego czasu.

– Przepraszam, Jock. Dostaniesz je, gdy na tyle odzyskam siły, żeby unieść książeczkę czekową. Ale jeśli dobrze sobie przypominam, jako pracodawca ubezpieczyłem cię na całkiem dużą sumkę. Myślę, że dostaniesz za swoje oko ze dwa tysiące funtów. Ja kupię

ci z własnej kieszeni najpiękniejszą szklaną gałkę oczną, jaką tylko można dostać za pieniądze, nawet gdybym miał zapłacić gotówką. Nosiłbyś ją po domu, a romantyczną czarną opaskę zachowałbyś na te swoje łajdackie eskapady.

Jock zapadł w pełne trwogi milczenie. W jego świecie ludzie zdobywają dwa tysiące funtów, robiąc coś bardzo nielegalnego, za co można dostać pięć lat w pudle.

Znowu zasnąłem.

– Panie Charlie?

Z rozdrażnieniem uniosłem powiekę.

– Tak – odparłem. – To wciąż ja.

– Pamięta pan, jak poszedł pan się spotkać z tym dziadem, pułkownikiem Blucherem, w ambasadzie amerykańskiej?

– Pamiętam, i to dobrze.

– Więc on tu jest. Tak czy siak przyjeżdża prawie codziennie. Wszyscy trzęsą portkami na jego widok, oprócz doktora Farbsteina. On chyba bierze go za Szwaba.

– Możliwe.

– Śmieszne – ciągnął – ale nigdy mnie o nic nie pyta... to znaczy Blucher... pyta tylko, czy mnie szukają i czy chciałbym zestaw do monopolu, żeby grać z pielęgniarkami.

Czekałem, podczas gdy on dostał ataku chichotu.

– Jock – delikatnie zwróciłem mu uwagę, kiedy skończył. – Wiem, że jest tu pułkownik Blucher.

Właściwie nawet tuż za tobą, stoi w drzwiach.

I rzeczywiście stał. Z wielkim czarnym pistoletem automatycznym, wymierzonym z nieomylną precyzją w miednicę Jocka. (Bardzo sprytnie, bardzo profesjonalnie, bo okolice miednicy nie są tak ruchome jak głowa czy tułów. Strzał w to miejsce, w pęcherz moczowy, organy intymne i inne odpady rzeźnicze, które znajdują się w tych okolicach, jest równie pewny jak między oczy, a z tego, co słyszałem, o wiele bardziej bolesny).

Blucher ostentacyjnie zabezpieczył broń i ruchem magika zatknął ją za pas od spodni. To doskonałe miejsce na pistolet, jeśli ma się jeszcze wcięcie w tali; później wypukłość staje się zbyt dwuznaczna.

– Przepraszam ze efekt dramatyczny, panowie – odezwał się – ale ponieważ mam do was pewną prośbę, pomyślałem, że to dobry moment, aby wam przypomnieć, że wciąż żyjecie. I że w każdej chwili mogę zmienić zdanie w tej kwestii, jeśli mnie do tego zmusicie.

No naprawdę! Skuliłem się, oczywiście, ale tylko częściowo ze strachu, bo pozostałą część stanowiło zażenowanie z powodu jego żalosego braku taktu.

– Czy zdaje pan sobie sprawę – zapytałem odważnie – że zajmuje pan przestrzeń, której używam do innych celów? Czy raczej której do innych celów używam?

– Też lubię P.G. Wodehouse'a – rzucił w odpowiedzi – ale w sytuacji, w której się pan znajduje,

powstrzymałbym się od wszelkiej nonszalancji. Czy raczej w sytuacji, w której pan się znajduje.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Może jednak był człowiekiem.

– Czego konkretnie pan ode mnie oczekuje? – zagadnąłem.

– Hm, powiedzmy, że raczej kogo. Niech pan sobie przypomni kogoś młodego, pięknego i fantastycznie bogatego.

Próbowałem sobie przypomnieć. Ale trwało to krótko, bo nie jestem kompletnym kretynem.

– Pani Krampf – odparłem.

– Zgadza się – potwierdził. – Niech się pan z nią ożeni. To wszystko.

– Wszystko?

– Cóż, praktycznie tak.

– Muszę iść spać – odrzekłem.

I poszedłem.

4. Mortdecai rozbiera propozycję swoim ostrym jak brzytwa intelektem

O Smutku, będziesz ty żył ze mną
Nie jako byle kochanka, lecz żona.

In memoriam

Prawdę mówiąc, nie była to jedna z tych okazji, gdy mogłem cieszyć się długim, niczym niezakłóconym odpoczynkiem. Hm, pamiętacie, jak ostatnim razem powiedziano wam, że pozostaniecie przy życiu, pod warunkiem iż ożenicie się z obłądnie piękną, nienasyconą seksualnie milionerką, która niemal na pewno zamordowała swojego byłego męża w niemal niewykrywalny sposób? Czy potem spaliście spokojnie przez osiem godzin?

Kolejność wydarzeń była następująca: obudziłem się, usiadłem na łóżku i przez kolejną godzinę albo dwie obgryzałem paznokcie u rąk, żułem papierosy i chłeptałem szkocką – niekoniecznie w wymienionym porządku. (Nie muszę chyba mówić, że Jock przeszmuglował mi butelkę najszlachetniejszego i najmocniejszego wyrobu panów Haiga i Haiga).

Ci tajni agenci i typy, o których czytasz

w powieściach, bez wątpienia w jednej chwili domyśliliby się wszystkiego do ostatniej plamy krwi, ale ja nie miałem ich prężności ani młodzieńczego wigoru. Może też nie byłem wówczas tak sprawny umysłowo jak teraz. Po jakimś czasie powiedziałem więc: „pieprzyć to”, „nic z tego nie kapuję” i „niech ich szlag” – tym razem w wymienionym porządku – i znowu poszedłem spać. Naprawdę nie wiem, po co zadawałem sobie kłopot i w ogóle się budziłem, ponieważ już na pierwszy rzut oka było widać, że stary spisek antimortdecaiowski wciąż dzierży stery, trzyma rękę na pulsie i nie popuszcza. „Niech ich szlag” było niewątpliwie najlepszym określeniem, jakie ukułem tamtego dnia. Powtórzyłem je. I jakby pomogło.

– Jakoś sflaczałem – wymamrotał Jock następnego dnia. Siedział u mnie na łóżku i przyglądał się, jak siostra Szybka doprowadza do porządku moje zapuszczone paznokcie.

– Och, nie przejmuj się, Jock. Jutro wysyłają nas na rekonwalescencję do Lake District... kilka haustów świeżego, górskiego powietrza i będziesz znowu waleczny jak lew. To te wszystkie pielęgniareczki podkopują twoje siły vitalne.

Poruszył się niespokojnie.

– Chyba mnie pan źle zrozumiał, panie Charlie. Nie chodzi tylko o to, żeby wszystko działało jak trzeba, ale żeby jeszcze dawało frajdę. No wie pan, jak wtedy, kiedy

spuszcza pan komuś manto i ma pan przy tym ubaw.

– Chyba pojmuje – odparłem.

Wzdrygnąłem się przemyślnie i świeżo wypedikiurowanym dużym palcem u nogi trąciłem jeden z wielkich cycków siostry Szybkiej. Bez mrugnięcia okiem wbiła w moją drugą stopę czubek nożyczek, i to na pół cala. Nie krzyknąłem, bo też jakoś sflaczałem.

Chwilę później, kiedy siostra skończyła pedikiur, Jock delikatnie wziął od niej nożyczki i zmiażdżył je jedną ręką. Potem wyciągnął swoją wielką łapę w kształcie łopaty. Siostra Szybka pochyliła się do przodu, aż wspomniana pierś spoczęła w jego dłoni. On mruknął cicho, ona wydała gardłowy odgłos, gdy zacisnął rękę. Zdegustowany, z pewnym trudem wyciągnąłem spomiędzy nich stopę i odwróciłem się ponuro.

Wyszli razem z pokoju, bez słowa, i jeśli dobrze znam się na szpitalnych zwyczajach, udali się do schowka na bieliznę pościelową.

„Młodość, jurna młodość” – pomyślałem gorzko.

5. Mortdecai dochodzi do wniosku, że jest mnóstwo przyjemniejszych dróg życiowych niż śmierć

„Tirra lirra” – zaśpiewał
sir Lancelot nad rzeką ⁴.

The Lady of Shalott

I oto Blucher, Jock i ja siedzieliśmy wokół stołu na tarasie hotelu pod jedną z tych gór w Lake District, spod których ludzie wysyłają wam pocztówki, popijaliśmy herbatę (!) i obserwowaliśmy grupę idiotów przygotowujących się do wyprawy na szczyt. Był piękny dzień jak na początek listopada w Krainie Jezior – właściwie był piękny dzień jak na każdy zakątek Anglii, niezależnie od pory roku – ale do zmierzchu zostało tylko z pięć godzin, a wyprawa, którą planowali, musiała zająć circa trzy godziny w jedną stronę. Pracownik górskiego pogotowia ratowniczego mówił coś do nich błagalnie, niemal ze łzami w oczach, ale oni tylko patrzyli na niego z rozbawieniem i pogardą, tak jak kobieta na kursie prawa jazdy spogląda na swojego instruktora. (Wie przecież, że kierunkowskazy to jakaś bzdura wymyślona przez chłopów, żeby zdezorientować

baby; jej matka prowadzi samochód od lat, nigdy nie używa kierunkowskazów, i co? – nigdy nic jej się nie stało. Innym może i tak, ale jej nie).

Ratownik w końcu podniósł ręce i opuścił je zrezygnowanym gestem. Odwrócił się od całej grupy i głośno zgrzytając zębami, ruszył w naszą stronę. Potem się zatrzymał, znowu odwrócił na pięcie i demonstracyjnie ich policzył. Mnie by to przstraszyło. Ale oni tylko zachichotali. Gdy zbliżał się do nas, skrzywiłem się ze współczuciem, a wtedy przystanął przy naszym stole.

– Niech panowie spojrzą na tych gnojków – zgrzytnął znowu. – Są w sandałach! Sami się prrroszą o wypadek. O dziewiątej ja i moi kumple, zamiast siedzieć na tyłku przed telewizorrrem, będziemy przeczesywać te przekłete górrry, nadstawiając karrрку za jakiegoś dupka, który skrrręcił sobie nogę w ciemnościach.

– Kiepska sprawa – odezwałem się, usiłując zachować powagę.

– Dlaczego pan się tym zajmuje? – zapytał go Blucher.

– Dla jaj – burknął i odszedł.

– Idzie przygotować sprzęt – zauważył Blucher przenikliwie.

– Albo dołożyć żonie – podsunąłem.

Dalej popijaliśmy herbatę, to znaczy Blucher i ja, ponieważ Jock ją raczej wciągał, uroczo zwijając w trąbkę górną wargę. Nie muszę pić herbaty po

południu. Rankiem napar, który przynosi mi do łóżka Jock, jest jak nepentos, który Helena, córka Zeusa, dostała od żony Tona, ale po dwunastej zawsze przywodzi mi na myśl błota Gangesu, w którym kopulują krokodyle.

– A teraz... – to Blucher.

Przywołałem na twarz inteligentną, otwartą minę, tę, którą przybieram, gdy dobry klient z długopisem nad książeczką czekową zaczyna mi przedstawiać swoją filozofię kolekcjonowania dzieł sztuki.

– Panie Mortdecai, jak pan sądzi, dlaczego ja i moi przełożeni... wybawiliśmy pana... eee... od śmierci kosztem dużego zachodu i wydatków?

– Już mi pan to powiedział. Chcecie, żebym ożenił się z Johanną Krampf. Nie mam bladego pojęcia po co. A przy okazji, co zrobiliście z... eee... ze zwłokami czy też śmiertelną powłoką Martlanda?

– Z tego, co wiem, zostały wyłowione z Tamizy przy Wapping Old Stairs. Morskie... eee... stworzenia, niestety, zrobiły swoje i przyczynę śmierci określono jako „nieznaną”. Policja podejrzewa zabójstwo z zemsty.

– Na Boga! – wykrzyknąłem. – Co dzieje się w ich głowach!

Poruszył się nerwowo. Zadawałem niewłaściwe pytania. Tacy goście jak on nie lubią dzielić się informacjami z własnej woli, wolą, żeby je z nich wydobywano. Westchnąłem.

– No dobra – zacząłem – dlaczego mam poślubić

panią Krampf? Czyżby zamierzała obalić konstytucję Stanów Zjednoczonych?

– Charlie – upomniał mnie ciężkim głosem.

– Proszę, niech pan nie będzie taki oficjalny – przerwałem mu. – Znajomi mówią do mnie „panie Mortdecai”.

– Mortdecai... – poszedł na kompromis. – Jeśli masz jakąś wadę, to pozałowania godną skłonność do nonszalancji. Mimo że jestem pozbawiony poczucia humoru, potrafię to wyczuć... co stanowi rzadkość u ludzi, którzy nie mają poczucia humoru... więc, proszę, miej to na względzie i pamiętaj, że ty jesteś tu marionetką, a ja pociągam za sznurki.

– I możesz pan je przeciąć jak ślepa furia przerażającymi nożycami – zaćwierkałem.

Tym razem to on westchnął.

– Cholera. – To było to westchnienie. – Posłuchaj, świetnie zdaję sobie sprawę, że nie boisz się śmierci. Uważam, że na swój świrnięty sposób jesteś nawet odważnym facetem. Ale śmierć jako koncepcja nieuniknioności jest bardzo odległa od powolnego umierania w BÓLU. – Jakby warknął to ostatnie słowo.

Potem jednak jakoś się opanował, pochylił nad stołem w moją stronę i przemówił łagodnie, z rozsądkiem.

– Mortdecai, moją agencję interesuje wyłącznie zwycięstwo. Nie jesteśmy zwykłymi facetami w żadnym sensie tego słowa. Nie mamy kodu postępowania, który

by można ujawnić w świetle dnia, a już na pewno nie podczas dogłębnego śledztwa „Washington Post”. Mamy natomiast pewną liczbę wyspecjalizowanych pracowników, którzy umieją zadawać BÓL. Przeważnie robią to od lat, myślą wyłącznie o tym i obawiam się, że niektórzy wręcz nie znają innej przyjemności. Czy mam kontynuować?

Wyprostowałem się na krześle, gorliwy, pomocny i w żadnym razie nie nonszalancki.

– Słucham pana z całą uwagą – zapewniłem go.

Wtedy spojrział znacząco na Jocka. Zrozumiałem, co chce dać mi do zrozumienia, więc powiedziałem Jockowi, że nie musi się z nami nudzić; w hotelu aż się roi od pokojówek, które trzeba by podszczyścić w tyłeczki. Poszedł więc sobie.

– Dobrze – odezwał się wówczas Blucher. – A zatem do rzeczy. Pani Krampf wyraźnie szaleje na pańskim punkcie. Nie powiem, żeby łatwo było mi to zrozumieć, ale są gusta i guściki. Na razie nie mam pojęcia, do czego może się pan nam przydać jako jej małżonek, lecz jesteśmy pewni, że do czegoś na pewno. Bo coś się kroi, i to dużego. Kilka miesięcy przed śmiercią jej męża nasz... eee... wydział księgowy, jak go nazywamy, wykrył potajemne wpływy do imperium Krampfów bardzo dużych kwot w obcej walucie i ich wypływy. Sądziliśmy, że po śmierci Milтона Krampfa te operacje ustaną. Ale nie ustały. Nawet wręcz się nasiliły. Proszę zrozumieć, że nie mówimy tu o drobnych transakcjach

ligi podwórkowej... to działka skarbowki albo chłopców z kontroli walutowej. Mówimy o dużych sumach, za które można by w ciągu jednej nocy kupić państwo w Ameryce Środkowej... albo ze dwa w Afryce... i wciąż mieć jeszcze na drobne wydatki. Nie mamy pojęcia, co jest grane. Musi więc pan poślubić panią Krampf i dowiedzieć się tego wszystkiego.

– Nie ma sprawy – rzuciłem od niechcienia. – Jutro z samego rana wyślę jej telegram i przekażę radosną nowinę.

– Nie musi pan tego robić, Mortdecai. Ona już tu jest.

– Tu? – pisałem, rozglądając się wokół dzikim wzrokiem, jak ciężarna zakonnica. – Jak to „tu”?

– To znaczy w tym hotelu. Chyba nawet w pańskim pokoju. Niech pan poszuka w łóżku.

Wydałem błagalny odgłos. Blucher poklepał mnie po ramieniu niczym drużynowy skautów.

– Zjadł pan na lunch półtora tuzina ostryg, Mortdecai. Wierzę w pana. Idź i wracaj z tarczą, chłopcze.

Rzuciłem mu nienawistne spojrzenie, a potem, chlapiąc, powlokłem się do hotelu i na górę, do pokoju.

Owszem, zastałem ją w środku, ale, dzięki Bogu, nie w łóżku i nawet nie nagą. Miała na sobie coś, co przypominało kremową jedwabną powłoczkę na poduszkę, ale z trzema wycięciami – kosztowało to zapewne setki funtów; pani Spon wystarczyłby jeden rzut oka, aby powiedzieć ile. Wyglądała w tym jeszcze bardziej goła, niż gdyby była goła. Chyba oblałem się

rumieńcem. Ona stanęła w miejscu, zapozowała przez sekundę albo dwie, chłonąc mnie wzrokiem, jak Wordsworth chłonał pole żółtych – a tak, żółtych – żonkili. Później rzuciła się w moje ramiona z impetem, który powaliłby drobniejszego mężczyznę.

– Och, Charlie, Charlie, Charlie! – zawołała. – Charlie, Charlie, Charlie!

– O tak, o tak, o tak – odparłem – jestem, jestem, jestem. – I poklepałem ją niezręcznie po uroczym lewym pośladku. (Nie chcę przez to powiedzieć, że ten drugi, czyli prawy, był mniej rozkoszny, ale wybrałem lewy, bo mogłem się skupić tylko na jednym, rozumiecie).

Johanna wiła się ekstatycznie w moich objęciach i z ulgą poczułem, że półtora tuzina ostryg zaczęło robić swoje w uspiionych lędźwiach waszego Mortdecaia. (Cudownie bezinteresowne stworzonka te ostrygi, zawsze tak uważałem; pozwalają ci się połknąć żywcem, bez jęku protestu, a potem, zamiast wziąć pomstę jak wredna rzodkiewka, jeszcze wydzielają w postaci premii te cudowne afrodyzjaki. Co za wspaniałe muszą wieść życie, nie ma co do tego wątpliwości).

„Cóż – pomyślałem – no to do roboty”. I uczyniłem zdecydowany ruch ku – jak to mówi John Donne (1573–1631) – „jedynemu prawdziwemu zwieńczeniu miłości”, ale, o dziwo, ona odepchnęła mnie stanowczo i obciągnęła powiewną szatę.

– Nie, Charlie, nie ma mowy, dopóki się nie pobierzemy. Co byś sobie o mnie pomyślał?

Gapiłem się na nią z rozczarowaniem, ale muszę przyznać, że poczułem się jakby chwilowo ułaskawiony, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Zyskałem bowiem czas, żeby oddać się w ręce dobrego trenera: codziennie rano cwał wokół padoku oraz dieta złożona ze steków, ostryg i guinnessa – wbrew rankingom – szybko zrobiłyby ze mnie faworyta wyścigów, czarnego konia.

– Charlie, kochanie, bo ożenisz się ze mną, prawda? Twój przemiły lekarz powiedział, że małżeństwo dobrze ci zrobi w sensie terapeutycznym.

– Farbstein tak powiedział? – spytałem wrednie.

– Nie, kotku, a kto to jest Farbstein? Mam na myśli tego uroczego amerykańskiego lekarza, który się tobą zajmuje... doktora Blüchera. – Wymówiła to pięknie, z akcentem przywodzącym na myśl dawny Wiedeń.

– A tak, Blücher. Doktor Blücher, oczywiście. „Uroczy” to świetne słowo na jego określenie. Ale taka wymowa nazwiska raczej by mu się nie spodobała, pomyślałby, że brzmi za bardzo po szkopsku. Lubi wymawiać je „Bluuucher”.

„Do rymu z *butcher*, rzeźnik” – dodałem w myśli.

– Dziękuję ci, najdroższy. Jednak nie odpowiedziałeś na moje pytanie – odparła, ślicznie wydymając usta. (Wydymanie ust to jeden z zanikających talentów; ma go jeszcze pani Spon, podobnie jak chłopiec, który szyje mi koszule, ale to w dzisiejszych czasach równie rzadka

umiejętność jak płonienie się i chichotanie. Jest jeszcze chyba kilku korpulentnych dżentelmenów, którzy nadal potrafią parskać śmiechem).

– Droga Johanno, oczywiście, że się z tobą ożenię, i to jak najszybciej. Powiedzmy, w przyszłym miesiącu. Ludzie, naturalnie, będą gadać...

– Charlie, kochanie, no wiesz, myślałam raczej o jutrze. Załatwiłam już w tym celu to głupie brytyjskie specjalne pozwolenie. Nie, to nie było nic trudnego. Nakłoniłam głównego sekretarza ambasady amerykańskiej, żeby zabrał mnie na spotkanie z jednym z waszych arcybiskupów, takim słodkim, skretyniałym staruszkim. Powiedziałam mu, że z tego, co wiem, jesteś ateistą, a on odparł, że to tak jak większość jego biskupów, więc wpisał do formularza wyznanie anglikańskie. Czy to w porządku, Charlie?

– Jak najlepszym – odparłem z kamienną miną.

– I, Charlie, przygotowałam dla ciebie niespodziankę, mam nadzieję, że się ucieszysz. Zadzwoiłam do wikarego w twojej rodzinnej wiosce... to tylko czterdzieści mil stąd... i chociaż początkowo miał zastrzeżenia co do twojej wiary, mówił, że nie przypomina sobie, aby cię widział w kościele od czasu bierzmowania trzydzieści lat temu, to kiedy mu wyjaśniłam, że zostałeś oficjalnie uznany przez arcybiskupa za anglikanina, w końcu ustąpił i powiedział; „Dobra, niech kładzie głowę pod topór”.

– Tak powiedział?

– No może nie, rzucił coś smutnego i przygnębiającego po łacinie albo w grece, ale mniej więcej o to chodziło.

– Na pewno. – Dałbym wiele, żeby usłyszeć ten kawałek po łacinie albo w grece, bo nasz wikary ma cięty dowcip.

– No właśnie, a potem spytał, kto będzie twoim drużbą, więc odparłam: „Ojej”, a on na to, że ściągnie twojego brata, lorda Mortdecaia. Czy to nie cudowne?

– Rzeczywiście cudowne – odpowiedziałem ciężkim głosem.

– Nie gniewasz się, prawda, Charlie? Czy się gniewasz? Och, i jeszcze nie uda się zebrać chóru w dzień powszedni, ogromnie mu przykro z tego powodu. Bardzo ci przykro?

– Jakoś to zniosę.

– Ale za to jego żona prowadzi kółko pań, które śpiewają Bacha, więc powiedziałam mu, że to świetny pomysł.

– Wspaniale – odparłem, tym razem wreszcie szczerze.

– Organista zagra przed ceremonią *Owieczki mogą paść się spokojnie*, a po niej *Amanti costanti z Wesela Figara*. Cieszysz się?

– Johanno, jesteś niezrównana, kocham cię bardzo, powinienem był ożenić się z tobą już dawno temu. – Prawie uwierzyłem w to, co mówię.

Wtedy podeszła i usiadła mi na kolanach.

Migdaliliśmy się i lizaliśmy po twarzach, szeptaliśmy sobie do uszek słodkie głupstewka i tak dalej. Przez jakiś czas było nawet przyjemnie, ale w sumie to trochę bolesne dla prawdziwego mężczyzny, no nie?

W końcu Johanna oznajmiła, że chce wcześniej się położyć, więc zamówi kanapki do swojego pokoju, i gdy tylko mogłem wstać, zaraz ją tam odprowadziłem.

„Najwyższy czas” – mówiła mina przechodzącej pokojówki.

Po powrocie do własnego pokoju padłem skonany na fotel i podniosłem słuchawkę telefonu.

– Room service? – zapytałem. – Ile macie w hotelu ostryg?

6. Mortdecai zbiera zniwo i sam staje się zniwem

Zbudź mnie wcześniej, matko, zbudź mnie wcześniej,
bardzo wcześniej.

(...) Wpierw zdawało się to trudne, matko.
(...) Jednak myślę wciąż, że wkrótce znajdę spokój,
A ten dobry człek, osoba duchowna, rzekł do mnie
słowo pokoju.

The May Queen

Zapowiadany ślub, jak piszą w gazetach, odbył się, jak piszą w gazetach, następnego dnia w południe. Wikary wygłosił krótkie efektowne kazanie, panie z kółka muzycznego zaśpiewały Bacha niczym anioły o kogucich głosach, organista wydobył ze swego instrumentu dźwięki skłaniające do łez jak cebula Krafta-Ebbinga (przykro mi), a mój brat, oczywiście, doprowadził do tego, że o mało się nie porzygałem. Z moim zdegustowaniem nie miało bynajmniej nic wspólnego to, że jego poranny strój był najwyraźniej dziełem geniusza z Cork Street, podczas gdy mój został wypożyczony w Kendal od firmy, która kiedyś wykonała parę getrów dla księcia Cambridge. To była forma namaszczenia z jego strony.

Po ceremonii, aby mieć pewność, że do końca zepsuje

mi dzień, odciągnął mnie na bok i spytał z nieskończonym taktem, czy jestem całkowicie pewny, że stać mnie na utrzymanie tak szykownej żony, i czy mógłby mi w tej kwestii pomóc. Pytając o to, rzucał litościwe spojrzenia na mój trzyczęściowy garnitur.

– O tak, jakoś dam sobie radę, Robinie, ale dzięki za propozycję.

– Ale to musi być wdowa po Miltonie Q. Krampfie, który zmarł zeszłego miesiąca w dziwnych okolicznościach, prawda?

– Mam wrażenie, że tak się nazywał... a dlaczego pytasz?

– Och, bez powodu, drogi braciszku, bez żadnego powodu. Ale pamiętasz, że tu zawsze będzie twój dom, co?

– Dziękuję ci, Robinie – odrzekłem, wewnętrznie zgrzytając zębami. Jak taki sympatyczny facet jak ja może mieć takiego brata?

Potem zaprosił nas wszystkich do Hall na szampana i tak dalej, ale w tym punkcie tupnąłem nogą. Dostałem już wystarczająco dużo cięgów jak na jeden dzień i nie zamierzałem nadstawiać tyłka po dalsze. Jeszcze by wypuścił żonę z tego miejsca, gdzie ją trzyma – w stylu *Jane Eyre*. „Brrr” – pomyślałem.

Poszliśmy więc do pubu po drugiej stronie drogi i zamówiliśmy old-fashioned (Johanna), roederera (Robin), burbona z lodem (Blucher), mleko (ja) i najtańszego bittera (wikary). Członkowie kongregacji

– emeryci, bezrobotni, kilku objających się facetów od mycia okien i trumniarzy – robili za nami tłum, mamrocząc pod nosem „gorzko, gorzko”, ale właścicielka powiedziała nam, że nie ma nic takiego w karcie oprócz wspomnianego bittera. W końcu stanęło na brandy z wodą sodową dla wszystkich z wyjątkiem wikarego i bezrobotnych. (Wielkie nieba, kosztowaliście kiedyś tanią brandy? Nie róbcie tego, oj, nie róbcie). Robin upierał się, że zapłaci, uwielbia takie popisy, tak jak uwielbia liczyć drobne, to go uszczęśliwia.

Później udałem się do WC, przebrałem się i oddałem strój najemnika Blucherowi, aby go zwrócił pocziwemu rzemieślnikowi w Kendal – uczyniłem to z prawdziwą przyjemnością. Niedługo potem rozstaliśmy się w istnym spaghetti nieszczerych kumpelskich serdeczności – no, może oprócz wikarego, który po chrześcijańsku z całej duszy starał się wierzyć, że wszyscy jesteśmy pocziwymi ludźmi – i każdy z nas ruszył swoją drogą.

Moją drogą była jazda przez dwieście mil z okładem do Londynu czymś, co Johanna nazywała ślicznym brytyjskim autkiem – czyli jensenem interceptorem. Brakowało jej jednak cierpliwości do absurdalnego brytyjskiego zwyczaju korzystania z lewej strony szosy, więc w ciągu tych czterech godzin miałem z całą pewnością wyższy poziom adrenaliny niż Niki Lauda w całym sezonie walki o Grand Prix.

Blady i roztrzęsiony, trafiłem do Brown's Hotel

w Londynie, gmina Centrum, gdzie Johanna stanowczo zapakowała mnie do łóżka z wielką karafką brandy i wodą sodową, żebym się przespał. Tym razem była to, oczywiście, porządna brandy. Sen, cudowna pielęgniarzka natury, zwiłkane węzły trosk rozplatał aż do pory kolacji ⁵, kiedy to wstałem z jako tako zszytymi strzępkami nerwów. Kolację zjedliśmy w hotelu, co wybawiło mnie z kłopotu opisywania jakości tego posiłku. Kelner, który, o ile się nie mylę, pracuje tam od 1938 roku, mruknął mi do ucha, że może polecić musztardę – było to wyznanie, które nigdy nie przestało mnie urzekać. Bo te same słowa, wypowiedziane przez tegoż samego kelnera, dawno, dawno temu otworzyły mi oczy na zachwycający krajobraz gastronomii. (Niewielu mężczyzn – że o kobietach nie wspomnę – zna się na musztardzie, musieliście to zauważyć. Wydaje im się, że sproszkowana gorczyca zmieszana przed kolacją z wodą stanowi jakąś przyprawę, podczas gdy wy i ja wiemy dobrze, że to tylko kataplazm na obolałe stopy).

Następnie udaliśmy się do Sali Rzecznej albo Siodłowanej – nie wiem, gdzie w tamtym roku urządzano dyskoteki – ale nie miałem serca do zabawy. Będąc w złym nastroju, zamówiłem półmisek rzodkiewek, żeby rzucać nimi w przesuwających się obok znajomych tancerzy, ale jakoś oko mnie zawodziło i dałem sobie z tym spokój, kiedy zawodowy zapaśnik zaproponował, że wyrwie mi nogę i stłucze mnie jej mokrą końcówką. Johanna była jednak w porażająco

dobrym humorze i śmiała się tak wesoło, że niemal rozproszyła moje złe przeczucia i chwilowo wyleczyła mnie z poczucia niższości.

Po powrocie do hotelu nie wykazywała oznak zmęczenia. Zademonstrowała mi swoją koszulkę nocną, którą można by nadać jako pocztówkę, gdyby było na niej miejsce na przyklejenie znaczka.

Zadziałało tylko kilka ostryg, ale za pierwszym razem naprawdę byłem całkiem niezły.

Mój mentalny zegar jest zdumiewająco niezawodny. O dziesiątej trzydzieści jeden niechętnie otworzyłem oko i wychrypiałem do Jocka słowa skargi. Gdzież, ach, gdzież była ożywiająca herbata, balsam, który punktualnie o dziesiątej trzydzieści przywraca Mortdecaie tego świata do życia wśród przedstawicieli rasy ludzkiej?

– Jock – ponownie wychrypiałem z rozpaczą.

Gardłowy dziewczęcy głos obok mnie wymamrotał, że Jocka nie ma. Obróciłem przekrwioną gałkę oczną i skupiłem wzrok na swojej oblubienicy. Znowu miała na sobie tę absurdalną koszulkę nocną – która chyba straciła jednak ramiączka. Johanna siedziała na łóżku, zabawiając się rozwiązywaniem krzyżówki z „Timesa”. Wspomniana część garderoby przydawała jej skromności, bo wisiała na sutkach jak na dwóch kołkach na kapelusze w kaplicy. Zacisnąłem stanowczo powieki.

– Charlie, kochanie?

– Uhm? – odparłem nieprzekonująco.

– Charlie, kochanie, czy przychodzi ci do głowy słowo po francusku na osiem liter, zaczynające się na „m”, a kończące na „e” bez akcentu, które znaczy „dodatkowe przedstawienie po południu”?

– *Matinée* – mruknąłem.

– Ale czy *matin* nie znaczy „poranek”, Charlie?

– Owszem, tak, ale pierwotne znaczenie poranka to „zabawiać się rano w pojedynkę” – wyjaśniłem uczenie. Pożałowałem, że nie ugryzłem się w język.

Na szczęście w rezerwie była jeszcze jedna inteligentna ostryga o nastawieniu społecznikowskim.

To naprawdę niesamowite, jak odmiennie seks oddziałuje na każdą z płci. To znaczy mężczyzna zwykle odchodzi chwiejnym krokiem i czuje się jak jednorazowa ścierka do naczyń w poszukiwaniu pieca, w którym ją spala, podczas gdy kobieta przeważnie podskakuje, wydając okrzyki zadowolenia i demonstrując jedynie cudowne kręgi pod oczami, nieomylnie identyfikowane przez kierowników sal w restauracjach. Kolejnym efektem ubocznym pierwotnego aktu w przypadku niewiast jest nagłe nieokiełznane pragnienie wybrania się na zakupy.

– Charlie, kochanie – powiedziała Johanna – chyba wybiorę się na zakupy. Słyszałam, że macie tu w Londynie taką cudowną uliczkę o nazwie Bond Street, tak? Taką rue de Rivoli dla ubogich?

– Raczej Marché des Puces dla bogaczy – zauważyłem – ale mniej więcej o to chodzi. Prawie każdy taksówkarz będzie wiedział, gdzie to jest, to zaledwie furlong stąd. Nie dawaj za dużych napiwków. Baw się dobrze. Ja chyba pójdę do banku.

I tam też się udałem, pieszo, ze względu na zdrowie. Przechadzka ta obejmowała spacer przez chińską część Soho – z powodów, które zaraz wyjaśnię – i idąc tamtędy, przypadkiem zerknąłem przez szybę w głąb pewnej szczególnie eleganckiej restauracji. Ku swemu zaskoczeniu ujrzałem tam Johannę, pogrążoną w rozmowie z korpulentnym mężczyzną, który wyglądał na właściciela tego miejsca. Nie zauważyła mnie.

Nie trzeba być wcale kimś, kto zamartwia się z byle powodu, aby zmartwić się nieco na widok swojej świeżo poślubionej małżonki pogrążonej w rozmowie z właścicielem restauracji w Soho, podczas gdy, jak cię zapewniała, miała robić zakupy na Bond Street. Nie trzeba być też ani zazdrosnym, ani podejrzliwym typem, żeby poczuć coraz bardziej palącą ciekawość, o czym taka małżonka może rozmawiać z takim właścicielem restauracji. Miałem przecież papiery na to, że Johanna jest oddaną, kochającą żoną, miałem jej słowo, że wybiera się na Bond Street, aby kupić po okazyjnej cenie dzikie norki, a nawet najlepszy przyjaciel właściciela restauracji musiałby przyznać, że on, czyli właściciel restauracji, był takim Chińczykiem, jakim tylko może być właściciel restauracji, nawet w Soho.

Nie pomyślcie, proszę, że nie lubię Chińczyków. Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół to ci, którzy upiększają życie żeberkami w sosie ostrygowym, nie mówiąc już o kawałkach kaczki smażonych w cieście naleśnikowym. Nie, niepokoiła mnie pewna niestosowność całej tej sytuacji, niestosowność, która powodowała za dobrze mi znane swędzenie w podeszwach stóp. Bo Johanna, rozumiecie, nie była taką kłamczuchą jak typowa żona. Chociaż mój związek z nią był krótki i burzliwy, doszedłem do przekonania, że jest zbyt bogata, zbyt pewna siebie i zbyt bystra, żeby uciekać się do kłamstw w błahych sprawach.

Dlaczego więc nie przebywała na Bond Street, jak zapowiadała, i nie składała podpisu na czekach podróźnych, zgarniając zestawy szmaragdowej biżuterii i tym podobne?

W takiej sytuacji zrobiłem coś, co zawsze robię, gdy mam wątpliwości. Zadzwoiłem do Jocka.

– Jock – powiedziałem, bo tak miał na imię, rozumiecie. – Jock, czy wciąż kumplujesz się z tym paskudnym, szpetnym, głuchoniemym strażnikiem z nocnej zmiany u wydawców przy Soho Square?

– No – odparł zwięźle.

– Więc dosiądź swojego wielkiego motocykla, Jock, zgarnij swojego potężnego głuchoniemego przyjaciela i podrzuć go na Gerrard Street. Niech pójdzie do restauracji o nazwie No Tin Fuk i zamówi prosty, odżywczy posiłek. Daj mu na to pieniądze, bo ci

wydawcy, dla których pracuje, na pewno kiepsko mu płacą. Kiedy znajdzie się na miejscu, ma obserwować, ale ostrożnie, piękną blondynkę nazwiskiem Mortdecai... tak, tę, z którą się wczoraj ożeniłem... i wykorzystać swoją umiejętność czytania z ust. Będzie rozmawiała z korpulentnym chińskim dżentelmenem. Muszę wiedzieć, co mówi.

– W porządziu, panie Charlie.

– Tylko się pospieszcie, Jock, proszę.

– Już nas pan słyszy zza rogu – odparł.

Odłożyłem słuchawkę w grzecznej pozycji, po czym, zamyślony, ruszyłem do banku. Nie do swojego prawdziwego banku, w którym podtrzymuję debet, tylko do banku oszczędnościowego. Nie jest to bank oszczędnościowy w zwykłym sensie tego słowa; to istniejąca od dawna siedziba najbardziej uczonego sprzedawcy sztychów w Londynie, wiekowego człowieka, który z niezrozumiałych powodów za mną nie przepada. Dlaczego nazywam go swoim bankiem oszczędnościowym? Otóż mam wielką, pięknie oprawioną księgę pod tytułem *Sztychy zebrane Rembrandta van Rijna*. Wszystkie grafiki, jakie stworzył R. van R., są w niej zreprodukowane w naturalnym formacie i w tak dobrej jakości, że trudno uwierzyć, iż nie są to oryginały. Co więcej, te ilustracje są wklejane, co oznacza, że zostały wydrukowane oddzielnie, a potem przyklejone wzdłuż jednej krawędzi do poszczególnych stron. Gdy tylko mam w kieszeni kilka

pensów, pensów, którymi nie chcę mieszać w głowie miłemu panu od podatków, udaję się do wspomnianego handlarza grafikami i kupuję od niego Rembrandta. Oryginalnego oczywiście, bo innych nie sprzedaje. Taki zakup trochę kosztuje, bo to uczciwy gość, rozumiecie, a uczciwych gości stać na to, żeby wystawiać dzieła za prawdziwą cenę. Nie tak jak innych, których mógłbym wymienić.

Kupiwszy taką grafikę, wracam do domu, wyrywam odpowiednią ilustrację ze *Sztuchów zebranych* i wstawiam zamiast niej oryginalną, którą właśnie nabyłem. Pospolitemu włamywaczowi w życiu nie przyjdzie do głowy, żeby zajrzeć do tej książki, która jednak obecnie w każdym większym mieście na świecie byłaby warta z ćwierć miliona. Przyzwoici faceci, tacy jak ja, rzadko muszą salwować się ucieczką, ale jeśli już zachodzi taka konieczność, dobrze jest zabrać ze sobą oszczędności swojego życia. A pospolity celnik, niech Bóg go błogosławi, nawet nie zerknie na gruby album z niewielką albo wręcz żadną zawartością treści pornograficznych, znajdujący się w posiadaniu niepozornego, otyłego marszanda.

Wiekowy handlarz przyznał niechętnie, że ma naprawdę piękną odbitkę *Trzech drzew* z drugiego nakładu, z nicianymi marginesami, i pozwolił mi na nią zerknąć, tak jak marszandzi pozwalają zerkać na jakieś dzieło, jeśli są pewni, że cię na nie absolutnie nie stać. Ja jednak miałem zenująco dużo gotówki ze swojego

amerykańskiego przekreślenia i zauważyłem pogardliwie, że interesuje mnie raczej odbitka z pierwszego nakładu, na papierze welinowym. Przypomniał mi wtedy, że istnieje tylko jeden taki egzemplarz, który przypadkiem znajduje się w albumie Samuela Pepysa w bibliotece jakiegoś Magdalene College w miasteczku o nazwie Cambridge, znanym z kiepskich stypendiów i pletwonogiego chłopstwa. Jednak czterdzieści minut później wręczył mi sztych i podał szklaneczkę sherry, lepszej, niż moglibyście przypuszczać, podczas gdy ja rozstałem się z plikiem wulgarnych banknotów w obcej walucie. Nad największą gablotą ze sztychami ów handlarz ma mahoniową tabliczkę z aforyzmem jednego z moich ulubionych autorów: „«Marne, marne», krzyczy nabywca, lecz po odejściu z nabytku się chwali” (Księga Przysłów, 20, 14 [6](#)). Kiedy, narzekając, skierowałem się do wyjścia, zwrócił na ten cytat moją uwagę.

– Znam lepszy – warknąłem – Księga Przysłów, dwadzieścia osiem, dwadzieścia, mianowicie: „Uczciwy cieszy się błogosławieństwem, kto się chce szybko wzbogacić, nie ujdzie kary”!

Myślałem, że go załatwiłem, ale on tylko niewinnie spytał, którego z nas to się tyczy. Z takim nie wygrasz, oj, nie wygrasz. Pospolici marszandzi po godzinach stają się ludźmi, ale uczciwi handlarze sztychów stanowią oddzielną kategorię.

Oto co my, uczeni, nazywamy ekskursem. Jeśli jesteście

uczciwymi ludźmi, następna strona czy dwie was nie zainteresują. Więc jesteście uczciwymi ludźmi? Na pewno? Doskonale, przejdźcie więc od razu do strony 58, ponieważ bieżący fragment dotyczy wyłącznie tego, co niektórzy robią z pieniędzmi należącymi do innych.

Odbieranie dużych sum innym ludziom to, jak słyszałem, prosta czynność dla każdego, kto jest silny, śmiały i nie cierpi na bezsenność po uderzeniu kogoś w głowę czy też złamaniu prawa w inny sposób. Jednak wprowadzenie owych sum z powrotem do systemu fiskalnego z korzyścią dla siebie to zupełnie inna sprawa. Weźmy kilka przykładów, poczynając od samego dołu.

(A) Pospolity złoczyńca, którego jedyną rolą w szwindlu było podstawienie samochodu do ucieczki i później wytarcie odcisków palców czy innych śladów, dostaje z pięćset funtów w używanych banknotach jednofuntowych i mimo ostrzeżeń swoich szefów szasta nimi w miejscowym pubie, stawiając drinki wszystkim i każdemu z osobna. Chłopcy w granatowych mundurach łapią go w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin i uprzejmie proszą o podanie nazwisk mocodawców. On milczy, nie z powodów honorowych obowiązujących wśród złodziei, ale dlatego, że mocodawcy byli zbyt sprytni, aby mu je zdradzić. To niefortunna okoliczność dla pospolitego złoczyńcy, ponieważ gliny muszą się upewnić, że naprawdę tego nie wie. Jest więc często zmęczony, kiedy wreszcie staje

przed sędzią.

(B) Nieco mniej pospolity złoczyńca z rozsądną dozą tchórzostwa, który dowiaduje się o złapaniu kolegi (A), pod osłoną nocy bierze swoje tysiąc funtów w używanych banknotach, porzuca je w najbliższym publicznym WC, sklepiku z telefonem czy w innym cuchnącym zakątku, a rankiem wraca do dawnego uczciwego fachu, czyli handlu złotem czy czegoś takiego.

(C) Nieszczery typ, który nie zrobił nic innego, jak tylko zakapował kolegów, rozcina materac i utyka w nim swoje dwadzieścia pięć tysięcy funtów, kiedy żona robi sobie fioletową płukanekę u fryzjera. Osiem albo dziewięć miesięcy później, sądząc, że jest już bezpieczny, kupuje dom parterowy i płaci depozyt gotówką. Odwiedzają go dwaj mili panowie z urzędu podatkowego, ale wychodzą trochę zawiedzeni. Kiedy już gość oddycha z ulgą, odwiedzają go dwaj inni mili panowie, tym razem w granatowych mundurach, i sugerują, żeby spakował szczoteczkę do zębów i dwie piżamy.

(D) Doszliśmy już do samej góry, najwyższych szczybli omawianego przekrętu. Złoczyńca zwany (D) jest staroświecki, uważa, że numerowany rachunek w banku szwajcarskim jest bezpieczny jak wnętrze parlamentu. Nie słyszał nigdy o Guyu Fawkesie. Słyszał o Interpolu, ale wydaje mu się, że ma on chronić takich jak on – ludzi, którzy mają numerowane rachunki

w bankach szwajcarskich. Jego proces jest długi, kosztowny i powikłany. Facet dostaje fajną pracę w więziennej bibliotece, choć pod prysznicem spotykają go przykre rzeczy.

(E) Sądzi, że uda mu się uciec. Ma dwa paszporty. Jego dola wynosi ze sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. Jest jednak kiepski z arytmetyki: takie pieniądze to całkiem niezła sumka, dajmy na to, w South Norwood, ale przy obecnych cenach szybko wychodzą, kiedy człowiek lata po świecie, zwłaszcza jeśli czuje się w obowiązku ściągnąć kochającą żonę do Peru czy w inne takie miejsce.

(F) Hm, tak, (F) jest prawie najsprytniejszy z całej paczki. Na początku, licząc się z możliwością wpadki, chowa rezerwową sumkę, powiedzmy ze dwadzieścia tysięcy funtów, w bezpiecznym miejscu. (Dwadzieścia tysięcy funtów pomoże ci się wydostać z każdego więzienia na świecie, wszyscy o tym wiedzą). Potem bierze resztę nieuczciwie zdobytej forsy i kupiwszy smoking dla ludzi o znacznie wyższej pozycji, wstępuje do jednego z tych domów gry, w których patrzą na ciebie złym okiem, gdy pokazujesz się z czymś tak plebejskim jak banknot dziesięciofuntowy. Kupuje żetony za kilkaset funtów, gra przy tym czy innym stoliku i nad ranem wręcza ślicznej kasjerce garść żetonów i banknotów, dla przykładu dwa tysiące funtów, mówiąc jej, żeby dopisała mu to do rachunku. Ofiarowuje jej dziesięć funtów napiwku, a ona uznaje,

że wygrał. Facet robi tak dyskretnie przez wiele miesięcy, czasami udając, że przegrywa, ale przeważnie – że wygrywa. Co jakiś czas śliczna kasjerka informuje go, że ma strasznie dużo pieniędzy na rachunku, a on pozwala, żeby na jego konto w banku wpłynął czek na większą sumę. W ten sposób można wyprać rocznie setki tysięcy funtów, jeśli jest się ostrożnym.

(G) To człowiek, który zorganizował cały numer. (G) już jest bardzo bogaty. Ten nie ma żadnych problemów. Jego holdingi mogą sprawić, że jedna trzecia miliona zniknie niczym płatek śniegu na rozgrzanej patelni. Jestem pewien, że gdzieś tu jest morał.

Jeżeli o to chodzi, śmiem twierdzić, że w moim albumie z grafikami Rembrandta kryje się lepszy.

Po powrocie do swojej nory na trzecim piętrze przy Upper Brook Street, gmina Centrum (wiem, że to mieszkanie dwupoziomowe, ale mimo to uważam, że dwieście siedemdziesiąt pięć funtów tygodniowo to rozbój w biały dzień), z satysfakcją zabrałem się do wklejania nowego nabytku do *Sztychów zebranych*, kiedy do pokoju wślizgnął się Jock.

– Jock – powiedziałem surowo – prosiłem cię wielokrotnie, żebyś się tak nie wślizgiwał. Nie będę tolerował żadnego wślizgiwania. To obraza dla wykładowców z kryminalistyki. Jeśli chcesz się poprawić, musisz nauczyć się kroczyć. Jak się nazywa ten sklep z odzieżą dla marynarzy przy końcu Bond Street, na

rogu z Piccadilly?

– Gieves?

– Właśnie. Teraz rozumiesz, prawda? – powiedziałem, całkowicie pewien swojej przewagi.

Jock nie jest najlepszy w tych sprawach. Teraz odczekał, aż nacieszę się swoją przewagą, a potem zaczął mówić.

– Mam to, co spisał rosa.

Popatrzyłem na niego. Nie wykazywał żadnych oznak choroby umysłowej, lecz te oznaki nie muszą być wcale takie ewidentne, rozumiecie, bo w kręgach marszandów dobrze wiadomo, że mózgiem Jocka można by nadziać pępek jeża, powodując jedynie przelotny dyskomfort u tego zwierzątka, podczas gdy Jock ze swojej strony nie zauważyłby straty, dopóki nie zasiadłby znowu do gry w domino.

– Jaka rosa i dlaczego spisał? – zapytałem w końcu.

– No, Rosie – wyjaśnił – mój głuchoniemy kumpel. To jego ksywka.

– Wielkie nieba, to jeden z nich? Musi mieć przerabane przy tych swoich ułomnościach. No bo jak może seplenić i chichotać w języku migowym?

– Nie, nie, to skrót od Rosenstein, Rosinbloom czy jakiegoś innego wołoskiego nazwiska, ale go nie lubi, bo nie znosi cudzoziemców.

– Rozumiem. Dobrze, słucham.

Podał mi gazetę otwartą na stronie sportowej. Tam na marginesie Rosie zanotował, co miał do zanotowania.

Dałem mu wskazówki dotyczące kamuflażu: pospolicie wyglądający kapuś od wydawcy może coś czytać albo notować, nie budząc podejrzeń, tylko wtedy, gdy sprawdza wyniki gonitw i liczy, ile przyniesie mu każdy funt przy stawce dziewięć do czterech minus podatek.

Oto co napisał: „Nie mógłbym usionść tak, rzeby widzieć rzułtka, ale dobżem widział te panią, ma piękne usta – tu ściągnąłem brwi – i mógłbym odczytać karzde jej słowo”. Rozciągnąłem brwi. „Powiedziała nie panie Lee jusz wyjaśniłam rze nie chcę miliona funtuw. Mam milion funtuw. Potszebna mi pańska organizacja. Ja mam kobiety a pan ma organizacje. Ja zrobię sfoje a pan sfoje. Mam pieniondze. Więc pytam ostatni raz umowa stoi czy nie. Dobże. A teraz muszę iść na zakópy. Chcę kópić męrzowi prezent rzeby miał dobry chumor gdy spytam go o te kobiety”.

Przeczytałem wszystko raz i drugi. Byłem zdumiony, to jedyne słowo na określenie mojego stanu. Nie miałem złudzeń co do świętości Johanny – była bardzo bogata, czyż nie? – ale żeby parała się białym niewolnictwem?! Błyskotliwość i śmiałość pomysłu, żeby powrócić do tego staroświeckiego sposobu prania pieniędzy, wręcz mnie oszołomiły. Johanna była najwyraźniej jeszcze inteligentniejsza, niż przypuszczałem. Tylko jedno zaczęło mnie gnębić: to, że miałem zostać zamieszany w tę sprawę. Zawsze byłem zdania, że żony powinny mieć niezależność, ba, wręcz powinny być zachęcane do samodzielności, ale to

znaczy, że mężowie muszą brać w tym udział. Niech sobie żony wydają przyjęcia koktajlowe, dopóki działa destylarnia, ale niech mnie nie proszą, żebym był miły dla ich okropnych przyjaciół. Niech biorą się do robótek ręcznych czy innych pożytecznych zajęć, ale niech nie oczekują, że będę im trzymał włóczkę. A nade wszystko niech sobie maczają palce w lukratywnych przekrętach, ale niech się nie spodziewają, że C. Mortdecai będzie w tym uczestniczył, chyba że ze swoim dobrym gustem miałby pomagać w wydawaniu zdobytych tym sposobem pieniędzy.

Bo widzicie, białe niewolnictwo jest surowo karane przez prawo. To wiadomo. I mógłbym zostać złapany. Tylko pomyślcie, jak uśmialiby się moi przyjaciele. Wielkie nieba, jakżeż by się uśmiali, gdybym po tych wszystkich szemranych numerach, z których się wywinąłem, poszedł do pudła za korzystanie z brudnych zarobków pań swawolnych.

Nie wiem, jak zareagowałyby zwykły mężczyzna z ulicy na wiadomość, że jego świeżo poślubiona małżonka jest grubą rybą w handlu białymi niewolnicami. Niektórzy zapewne wyjęliby kieszonkowy kalkulator i zaczęli liczyć procenty. Inni spakowaliby torbę i uciekli gdzie pieprz rośnie. Ja bym zadzwonił do pułkownika Bluchera i opowiedział mu o wszystkim – gdyby nie to, że na razie nie udzielił mi żadnych informacji, jak mam się z nim kontaktować; na to przyjdzie pora później, zapowiedział, a tymczasem mam

„improvizować”. (Wyjaśnił mi to: „Musisz wymacać podparcie, Mortdecai. Wspinasz się na małą górę. Mów sobie, że nad tobą jest facet z liną. Uda ci się. W każdym razie powinno”).

Ponieważ nie mogłem skorzystać z telefonu, wymyśliłem alternatywny plan B. Polegał on na wymacaniu butelki whisky i przeczytaniu kilku stron przygód niejakiego Mullinera, opowiedzianych przez świętej pamięci P.G. Wodehouse’a. Trudno było mi się na nich skupić, bo wkrótce raz po raz zaczął brzęczeć dzwonek u drzwi i różne służalcze typy dostarczały wielkie kartonowe pudła z zakupami Johanny, ale gdy wreszcie zjawiała się ona sama, byłem już zmiękczoney historyjkami Mullinera i w niemałej mierze znieczulony uzdrawiającą szkocką. Nie byłem jedynie w nastroju żonkosia podczas miodowego miesiąca.

Johanna objęła mnie z niewinnym zapałem młodej małżonki, która nie wyrzekła do chińskiego właściciela restauracji nic bardziej kompromitującego niż nieśmiała prośba o zapakowanie resztek do torby. Kręciła się po sypialni, rozrywając cenne kartonowe pudła i parując przede mną w ich zawartości. Wprawdzie wydawałem przy tym stosowne odgłosy, ale nie wkładałem w to serca. Szczerze mówiąc, moje sumienie, z którym zerwałem stosunki przed dwudziestu laty, podpowiadało mi, że już za same te pudła głodujący makler giełdowy miałby przez tydzień na cygara. Podczas ostatniego występu pokazała się w nocnym stroju, przy którym

tamten poprzedni wyglądał jak koszula emerytowanej dyrektorki szkoły z za kręgu polarnego. Skuliłem się.

– Johanno – zagadnąłem, kiedy usiadła mi na kolanach.

– Mhm?

Chrząknąłem.

– Johanno, kochanie, czy jest dziś wieczorem coś ciekawego w telewizji?

– Nie.

– Skąd ta pewność?

– Bo nigdy nie ma.

– Ale może zajrzemy do gazety, żeby się upewnić. Bo możemy przeoczyć starego, poczciwego Gary’ego Coopera, Humphreya Bogarta albo...

– Dziś wieczorem – powiedziała stanowczo, ale z czułością – nie ma zupełnie nic w telewizji. Chyba że... – spojrzała taksująco na duży, solidny odbiornik telewizyjny – mogłabym się na nim położyć. To znaczy jeśli naprawdę zależy ci na tej telewizji.

– Postaraj się zachować trochę skromności, błagam cię – odparłem chłodnym brytyjskim tonem. – Chcesz najwyraźniej powiedzieć, że ponieważ nie ma nic ciekawego w telewizji, wolałabyś spędzić wieczór w kinie.

– Wszystkie kina są nieczynne.

Nie mogłem jej przecież powiedzieć, że kłamię, prawda? Nie mogłem też wytłumaczyć, że godzinka oglądania *Niegrzecznych majtasków* czy *Nastoletniej*

pomywaczki okien potrafiłaby mnie podniecić do takiego stopnia, że zapomniałbym o przerażającym handlu kobietami, w który chciała mnie wciągnąć, i na tyle obudził w sobie starego Adama, żeby odegrać rolę oszalałego z pożądania młodego małżonka.

Zrobiłem jej dwa... no, może trzy silne – i miejmy nadzieję, usypiające – drinki, a potem poszedłem za nią do łóżka.

7. Mortdecai wydaje polecenie, którego nie zgodziłby się spełnić żaden przyzwoity człowiek

O! ileż własny los mój byłby błoższy!
Najwyższy być nam powinien najdroższy! –
Ani Lancelot – ani żaden inny!

Ginewra, przeł. Adam Pajgert

Tamtej nocy moja wiara w pobudzające właściwości witamin E i B12 kolejny raz zyskała potwierdzenie. Już egoistycznie zapadałem w zasłużony sen, kiedy dźgnęła mnie Johanna.

– Charlie, mój mały ogierze, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił... – zaczęła.

– Kochanie, my dopiero co... Nie jestem już młodzieniaszkiem, mówiłem ci to wcześniej... może rano, dobrze?

– Głuptasie, nie to miałam na myśli. Masz mnie za nimfomankę czy co?

Wymamrotałem wymijającą i może niezbyt elegancką odpowiedź, po czym ponownie wtuliłem twarz między jej ciepłe wilgotne piersi.

– Oczekuję od ciebie czegoś zupełnie innego.

Drgnąłem. Te słowa przebiły się powoli przez

zasłużony sen, o którym wspominałem. Niepokój chwycił mnie za gardło i niemal poczułem, jak dzwonią mi zęby.

– Droga Johanno – odparłem tak rozsądnym tonem, na jaki tylko mogłem się zdobyć – czy to coś... eee... odmiennego, co masz na myśli... nie może poczekać do jutrzejszego wieczoru? To znaczy...

Johanna zachichotała.

– Tak, Charlie, kochanie, wiem, że nie jesteś już młodzieniaszkiem... chociaż wielu mógłbyś wprowadzić w błąd.

Uśmiechnąłem się z zadowoleniem.

– Oczywiście po ciemku – podjęła, odbierając mi całą satysfakcję. – Nie, nie chcę, żebyś nadwerężał swoje piękne gruczoły. No, może jedynie te, które wydzielają adrenalinę. Chciałabym tylko, żebyś kogoś dla mnie zabił. Dobrze?

– Kogoś zabił? – wybełkotałem sennie. – Nie ma sprawy. W każdej chwili. Chętnie zaszlachtuję smoka czy dwa, gdy tylko zechcesz. To znaczy gdy tylko zechcesz po śniadaniu. Teraz muszę już iść spać, rozumiesz.

Potrząsnęła mnie za ramię, co tylko sprawiło, że wtuliłem się w nią jeszcze mocniej, jeszcze bardziej zdeterminowany, żeby pójść spać. Potem jednak szarpnęła mnie za delikatniejszą część ciała i obudziłem się urażony.

– Proszę cię, nie rób tego! – powiedziałem. – Możesz wyrządzić mężczyźnie prawdziwą krzywdę. I co wtedy

powiesz, hę? Twój miesiąc miodowy diabli wezmą, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Dobranoc.

Usiadła demonstracyjnie, zagarniając prawie całą pościel. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko się obudzić. Obudziłem się więc. Nie będę udawał, że byłem w dobrym humorze.

– Moja droga Johanno, to nie czas ani okazja na napady wściekłości. Jak świat długi i szeroki, mężczyźni i ich uroczę kochanki, niezależnie od koloru skóry czy światopoglądu, po seksie ucinają sobie drzemkę i zapadają w odbudowujący tkanki ośmio-, dziewięciogodzinny sen. Poprosiłaś mnie o coś i zgodziłem się to zrobić, ale jutro. Nie wiem, co to ma być, cieszę się jednak, że mogę spełnić twoje choćby najdrobniejsze życzenie. Tyle że jutro. Cokolwiek to jest.

– Och, Charlie, czyżbyś już zapomniał? Poprosiłam cię jedynie, żebyś kogoś dla mnie zabił. Chyba można poprosić o taką drobnostkę męża podczas miodowego miesiąca. Ale jeśli to dla ciebie za duży kłopot...

– Ależ skąd, nie dąsaj się, kochanie. To zajmie tylko chwilę, jedną chwilę. Podaj Jockowi nazwisko i adres tego człowieka, a on pojutrze załatwi sprawę. Jeszcze raz dobranoc, kotku.

– Charlie!

– No dobrze, niech ci będzie, może uda mu się załatwić sprawę już jutro, ale będzie musiał zdobyć pistolet bez historii, rozumiesz, co mam na myśli. Nie

mogę oczekiwać, że wykończy tego faceta z własnego lugera, no nie? Rozumiesz to, prawda?

– Charlie, ta osoba, którą trzeba zabić, to... eee... nie facet. Pewnie nawet uznasz, że w ogóle niestosownie jest nazywać ją osobą.

– Mówisz samymi zagadkami, Johanno, pani mego serca. – Westchnąłem. – Kim jest ta dostojna postać... chyba nie królową Anglii?

Klasnęła w dłonie, uradowana jak dziewczynka.

– Och, Charlie, zgadłeś, zgadłeś!

Wyraźnie pamiętam, jak następnego ranka mówiłem Jockowi „dzień dobry”.

– Dzień dobry, Jock. – Wybrałem te słowa, bo niezawodnie dobrze nastrajają.

– Dzień dobry, panie Charlie – rzucił w odpowiedzi i postawił tacę z herbatą w zasięgu mojej drżącej dłoni.

– Śniadanko? – spytał.

– Poproszę może jajka na maśle.

– Już się robi, panie Charlie. A więc jajecznicą.

– Jajka na maśle – powtórzyłem (ale w tej kwestii językowej Jock nie ustąpi) – z nieściętym białkiem. I nie bełtaj ich za bardzo. Nie znoszę żwirowatej konsystencji. Porządne jajka na maśle powinny wyglądać jak duże, miękkie, kremowe gluty. Jak dziewczęta ze szkoły z internatem na południu Anglii, rozumiesz.

– Tost? – To była jego jedyna reakcja, jaką udało mi się wywołać.

– Oczywiście, że tak. Umiejętność robienia tostów to jeden z twoich nielicznych talentów, mogę więc z niego skorzystać, dopóki jesteś w pełni władz umysłowych.

Jocka nie można wziąć z zaskoczenia – zripostował błyskawicznie.

– I alka-seltzer, jeśli się nie mylę? – zapytał. Gem, set i mecz dla niego, jak zwykle.

– I proszę, posól te jajka – powiedziałem, przyznając się do porażki – ja zawsze z tym przesadzam i wszystko psuję. I pamiętaj o pieprzu... drobny biały pieprz, nie ten grubo mielony z „rubiego” (Cipriani z Harry’s Bar w Wenecji powiedział mi kiedyś, dlaczego lepsi kelnerzy nazywają te wielkie pieprzniczki „rubi” – otóż na cześć nieżyjącego już brazylijskiego playboya Porfiria Rubirosy. Nie rozumiem, o co tu chodzi, bo duszę mam czystą jak śnieg).

Jock udawał, że nie słyszy. To łatwa sztuczka, jeśli akurat się nie słucha, i dość wredna wobec chlebowawcy, który wciąż walczy, żeby wydobyć się na powierzchnię snu.

„Chrzanić go” – pomyślałem z goryczą. A potem sobie przypomniałem.

– A tak przy okazji, Jock – rzuciłem od niechcienia...

(Jeśli jesteście, nie daj Boże, lekarzem mającym prywatną praktykę, znacie aż za dobrze gambit pod tytułem: „A tak przy okazji, panie doktorze...”. Działa następująco: gość się niepokoi, bo lewe jądro zrobiło mu się jaskrawozielone, więc idzie do miejscowego

konowała i mówi, że ma migrenę oraz zaparcie. Wziąwszy recepty, rusza do wyjścia, odwraca się i mamrocze niedbale: „A tak przy okazji, panie doktorze, to pewnie nic takiego, ale...”).

– A tak przy okazji, Jock – rzuciłem od niechcienia – pani Mortdecai życzy sobie, żeby zastrzelić królową.

– W porządku, panie Charlie. Mówił pan dwa czy trzy jajka?

– Królową, Jock – powtórzyłem z naciskiem.

– Uhm, słyszałem. Ma pan na myśli tego alfonsa, który prowadzi klub dla transów w Twickenham? Załatwię go jutro, nie ma sprawy. Tylko będzie pan musiał mi kopsnąć dwudziestaka na jakiegoś starego gnata, bo przecież nie użyję swojego poczciwego lugera.

– Nie, nie, Jock. Mam na myśli Jej Królewską Mość Elżbietę II, niech Bóg ma ją w swojej opiece, niech nigdy nie zajdzie nad nią słońce, et cetera.

Wreszcie zamilkł. Każdy, kto by go nie znał, uznałby, że myśli.

– Jock – odezwałem się po chwili surowo – cieknie ci ze szklanego oka. Wyjmij je, proszę, i wytrzyj.

– Nie cieknie. To łzy – wyjaśnił zawstydzonym, ale stanowczym głosem.

– Co takiego?

– No bo to fajna starsza pani, co nie? Wprawdzie nigdy nie postawiła mi piwka, ale też nikomu nie zrobiła krzywdy, co nie?

Wiem, jak się postępuje z pytaniami retorycznymi. Nie udziela się na nie odpowiedzi.

– A nie moglibyśmy zamiast niej puknąć hrabiego...

– Nie!

– Albo księżniczkę... przecież nikt by nie...

– Królową i już – oświadczyłem kategorycznie. – Z powodów osobistych, takich jak strach, tchórzostwo, patriotyzm i tak dalej, jestem równie niechętny temu podłemu zadaniu jak ty, ale wymaga tego polityka międzynarodowa. Jak również moja żona. Dwa jajka poproszę.

– Dwa jajka – wymamrotał, powoli wychodząc z pokoju.

Jakże chętnie zapadłbym znowu w niewinny sen, ale sprawy najwyższej wagi nie pozwalały mi zasnąć, a poza tym Jock by się dąsał, gdybym pozwolił jajkom wystygnąć. Zjadłem je więc do końca, chociaż pozostawiały wiele do życzenia. W trakcie jedzenia zacząłem snuć plan.

Godzinę później, niestarannie ubrany i specjalnie nieogolony, wyszedłem naradzić się ze swoim rusznikarzem. Oczywiście nie mam na myśli prawdziwego rusznikarza, czyli kogoś w rodzaju biskupa, który rezyduje w ciemnym, ustronnym miejscu w pobliżu pałacu Świętego Jakuba i potrafi odróżnić dżentelmena od szarego człowieka. Facet, z którym miałem się zobaczyć, to ktoś, kogo mógłbym nazwać swoim drugim rusznikarzem, człowiek wielkiej

nieuczciwości; jego fach polega na sprzedaży nielegalnej broni szarym ludziom, wstawianiu nowych luf do pistoletów, które mają niezbyt chlubną historię, i skracaniu luf śrutówek. Uważa mnie za pana Jima Fantomasa i uznałem za stosowne nie wyprowadzać go z błędu. Naturalnie nie zna mojego nazwiska. Ma tylko trzy zasady: odmawia kredytu, nie przyjmuje czeków i nie sprzedaje broni Irlandczykom. To ostatnie nie dlatego, żeby nie lubił Irlandczyków czy ich polityki, lecz dla ich własnego dobra. Nie jest pewny, czy potrafią prawidłowo trzymać broń, a zależy mu, żeby klienci do niego wracali.

Przywitał mnie ze zwykłą opryskliwością. Handlarze nielegalną bronią prawie nigdy się nie uśmiechają, na pewno to zauważyliście. Był ubrany dyskretnie w brudny podkoszulek i slipy, a jego skołtunione marchewkowe włosy aż pociemniały od potu. Przyrządzał jabłka w polewie, rozumiecie, to jego „przykrywka”, dlatego w mrocznej norze, w której mnie przyjął, panowały nieznośne gorąc i zaduch od smrodu gotującego się cukru, zgniłych owoców i smaru do broni. Brzęczenie os i much plujek w odwiecznych kadziach z polewą wydało mi się odrażające. (Kiedyś w dzieciństwie połknąłem osę razem z lemoniadą; uządliła mnie w lewy migdałek i matka bała się o moje życie – bez przekonania, ale tak wypadało. Teraz, gdy ekolodzy nie patrzą, w wyniku traumy nadeptuję każdą napotkaną osę).

– Witaj, Ginge! – wykrzyknąłem.

– Cześć, koleś – odparł.

– Posłuchaj, Ginge, moglibyśmy przejść do innego pomieszczenia? Mam na sobie jedwabną bieliznę, która, rozumiesz, wygląda koszmarnie, kiedy człowiek się spoci.

Niechętnie zaprowadził mnie do zagraconego saloniku na tyłach, w którym – w przeciwieństwie do niedawnych straszliwych tropików – panował straszliwy ziąb. Z nieświadomą gracją zarzucił sobie na ramiona skradzioną etolę z norek i przysiadł na taborecie pokrytym końskim włosiem. Muszę powiedzieć, że wyglądał groteskowo, ale nie śmiałem okazać rozbawienia. To bardzo silny, bezwzględny gość, słynie w całym Borough of Poplar z tego, że przy najmniejszej prowokacji bije ludzi po najdelikatniejszych częściach ciała.

– Mój przyjaciel... – zacząłem.

– Czyżby? – prychnął.

– Mój przyjaciel – powtórzyłem stanowczo – uprawia komercyjne kłusownictwo... albo odstrzał... na górskich terenach naszej walecznej Szkocji. Z hotelu, którego nazwy chyba nie pamiętam, dostał duże zamówienie na sarninę. Gliny skonfiskowały mu broń i nie kwapią się z jej oddaniem. Facet potrzebuje nowej. Co masz na składzie, Ginge?

– Nico – odparł.

– Gość ma wymagania co do broni – ciągnąłem. –

Chciałby coś z klasą. Coś ze stoperem, szybkiego, z dużym kopem.

– Nie mam nic takiego.

– A amunicja ma być nowa, żadnego starego złomu z wojska.

– Muszę już iść, koleś.

– No i ma mieć dobry celownik teleskopowy.

– Odwal się, co?

Jak dotąd dialog przebiegał prawidłowo, zgodnie z protokołem, według najlepszych tradycji. Rozmowy z takimi facetami jak Ginge to jak negocjacje z radziecką delegacją handlową. Wyjąłem piersiówkę z whisky i mu rzuciłem. Pociągnął z flaszki, stara świnią, ale mi jej nie oddał. Beknął, wsadził rękę do gaci i podrapał się tam w zamyśleniu.

– Mam mannlichera – mruknął, pociągając kolejny łyk whisky.

Zrobiłem współczującą minę i zasugerowałem kurację penicylinową. Zignorował to.

– Przedwojennego.

– Nie ma mowy.

– Z magazynkiem na trzy naboje.

– Szajs.

– Należał do księcia.

– Co proszę?

– No, do ichniego księcia. Czyli grafa. Ma tarczę herbową po wewnętrznej stronie zamka, całą złoconą i tak dalej.

- Coraz gorzej.
 - I nie ma złej historii. Gwarantuję.
 - Tu mnie trochę zaciekawileś, Ginge.
 - Dwieście osiemdziesiąt funciaków. Gotówką.
- Wstałem.

– Jeśli spotkam jakiegoś milionera, to mu o tym powiem. Trzymaj się, Ginge.

– Z teleskopem Zeissa, dwa i pół.

– Dwa i pół! – pisałem (spróbujcie pisać „dwa i pół”). – To do niczego, no nie?

– Posłuchaj – powiedział – jeśli potrzebny ci większy, to szukasz nie strzelby, ale cholernego działa przeciwlotniczego.

Zacząłem stroić fochy, tym razem na poważnie, i natychmiast to wyczuł. Ma szósty zmysł, który tak bardzo służy ormiańskim sprzedawcom dywanów. Wyszedł na chwilę i wrócił ze smukłym eleganckim futerałem ze skóry, który rzucił mi na coś, co wciąż lubię nazywać podołkiem. W środku znajdował się mannlicher w trzech łatwych do złożenia częściach, celownik snajperski, latarka umożliwiająca strzelanie w nocy do krokodyli i kochanek oraz dwieście funtów całkiem nowej amunicji kalibru 7,65 mm, nie wspominając już o wyciorze z różanego drewna, srebrnej flaszce na olej, srebrnym, ozdobionym herbem pudełku na kanapki, rolce bawełnianej flaneli cztery na dwa cale i zestawie narzędzi z dinksem do wyciągania skautów z majtek skautek. Była to piękna broń,

zapragnąłem ją mieć.

– Mógłbyś dostać za to majątek od antykwariusza – ziewnąłem – ale mój przyjaciel potrzebuje czegoś do strzelenia. Nikt nie używał tej zabawki od czasu, gdy Göring przemierzał pierwotne bagna.

– Dwieście siedemdziesiąt pięć funciaków – powiedział. – To moje ostatnie słowo.

Dwadzieścia minut później, po dwóch napadach wściekłości i połowie butelki szkockiej, wyszedłem jako właściciel sztucera, lżejszy o dwieście funtów, czyli tyle, ile zamierzałem zapłacić, jak obaj wiedzieliśmy od początku.

– Co to za stary grzmot? – zapytał Jock opryskliwie, kiedy przyniosłem broń do domu.

– Tym załatwimy sprawę.

– Może pan. Bo ja nie – odrzekł.

– Jock!

– Jestem Brytyjczykiem. A przy okazji dziś wieczorem mam wychodne i zamierzam pograć w domino. W lodówce jest pieczeń wieprzowa na zimno. Madame nie ma, poszła do jakiegoś pubu o nazwie Clarence House.

Skwitowałem to lodowatym machnięciem ręki. Sytuacja była już wystarczająco kiepska i bez konieczności prowadzenia słownej szermierki z zadzierającymi nosa służącymi, którzy nie mieli w sobie ani drobiny lojalności, żeby wesprzeć swoich

łaskawych panów w tak tradycyjnym, starym procederze jak królobójstwo.

Zimna pieczeń wieprzowa w lodówce zaczynała już pleśnieć na brzegach. Spojrzeliśmy na siebie z wzajemną niechęcią jak dwie kobiety w takich samych kapeluszach na wyścigach królewskich w Ascot. Przebrałem się więc w bardziej elegancki garnitur i wyruszyłem do Isow's, gdzie zjadłem więcej, niż to było dla mnie wskazane. W Isow's zawsze się tak kończy, ale warto.

Po powrocie do domu udałem się do wąskiego łóżka w mojej garderobie, bo musiałem przetrwać kolację, pomyśleć intensywnie i opracować plan. Słyszając, że Johanna lekko uchyliła drzwi, zacząłem wydawać odgłosy świadczące o drzemce i moja żona się wycofała. Pochwyciłem jeszcze brzęk i stukot, kiedy wrzuciła tiarę do szkatułki na biżuterię, a później zapanowała cisza.

Myślałem więc i planowałem dalej. Zasypiając, miałem już trzyczęściowy plan:

1. Zdobyć niezawodne przebranie.
2. Wybrać stanowisko snajperskie.
3. Przygotować drogę ucieczki.

Gdy człowiek się do czegoś przymierza, coś załatwia, zasługuje na nocny spoczynek i tenże spoczynek stał się moim udziałem. Zakłócały go jedynie pełne zadowolenia odgłosy dobiegające z przewodu trawiennoego, znane wszystkim tym, którzy mieli okazję

jeść w Isow's. Cóż, miałem też paskudne sny, ale zawsze powtarzam, że opowiadanie snów to trzecia w kolejności najnudniejsza rzecz, jaką może zrobić mężczyzna. Nie muszę mówić, jakie są dwie pierwsze.

8. Mortdecai z przerażeniem zanurza palec u nogi w nawiedzanych przez rekiny wodach królobójstwa

O ślepy wyścig nieszczęsnych ludzi,
Jak wielu z nas w tej samej godzinie
Kłopotów sobie po kres życia przysparza,
Prawdę biorąc za fałsz lub fałsz za prawdę!

Geraint and Enid

Garnitur był ohydny, naprawdę ohydny. Został chyba uszyty dla ślepego na kolory rumuńskiego alfonsa albo może pedała jeszcze w latach czterdziestych. Niebiesko-pomarańczowa kratka była, trzeba przyznać, dość drobna, nie większa od zwykłej paczki papierosów; pewnie alfons albo pedał chciał uzyskać dyskretny efekt. W kieszeniach nie znalazłem żadnych sprośnych pocztówek ani wyuzdanych pseudofrancuskich liścików; to mnie uspokoiło, bo przynajmniej garnitur został oddany do pralni. Kupiłem go w sklepie pod szyldem „Używana garderoba męska” i rzeczywiście marszczy się tu i tam tak samo jak garderoba ze sklejki. W „Używanej garderobie” sprzedano mi także pasujące do garnituru buty, które jednak, ze swoim brązowo-

białym szykiem, musiały być jeszcze starsze – zubożały arystokrata i łowca fortuny mógł je nosić w Salon Privé w Monte Carlo, powiedzmy, w 1936 roku.

Jeszcze raz obejrzałem się w lustrze tamtejszej przymierzalni. Przytłoczony garniturem, dosłownie i w przenośni, być może się skrzywiłem, ale przysięgam, że się nie rozryczałem.

Zasoby „Używanej g. m.” zdawały się wręcz niewyczerpane.

– Gcie – zapytałem swoim najlepszym akcentem środkowoeuropejskim – gcie mógłbym kupić solidny futerrrał na mój instrrrument musyczny? Potszebny mi byłby taki duszy – nawet gdy gestykulowałem, ten parszywy garnitur boleśnie wpijał mi się w pachy – z rrrodzaju tych, kórrre gangsteszy z Szikago uszywają do noszenia karrabinów, ha, ha!

– Przyszedł pan we właściwe miejsce! – wykrzyknął radośnie pan U.G.M. – Proszę tedy, tylko niech pan idzie tamtędy. Specjalizujemy się w fiuterałach na instrumenty muzyczne. Na pewno znajdzie pan u nas fiuterał swoich marzeń!

Spojrzałem na niego podejrzliwie spod zmrużonych powiek, bo każdy by wyczuł, że gość jest dziwny, ale on nie pociągnął... eee... swojego.

Rzeczywiście był tam wielki wybór solidnych ochraniaczy na instrumenty muzyczne; razem stanowiły rzadki i dziwaczny widok. Miałem w oczach wymiary mannlichera (każdy marszand godny tego słowa potrafi

jednym spojrzeniem ocenić, czy dana rama będzie pasowała do danego obrazu z jego zbiorów i czy można ją przyciąć, nie zniekształcając znajdującego się na niej wzoru), więc szybko wybrałem futerał (czy też ochraniacz o perwersyjnym kształcie, przeznaczony niewątpliwie na saksofon barytonowy, i zacząłem się o niego długo targować, żeby nie wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń w sercu pana U.G.M.

Upchnąłem swój obrzydliwy garnitur męski i współgrające z nim buty do futerału, po czym w ponurym nastroju powlokłem się do domu, wykończony jak oracz ze Stoke Poges, po drodze wstępując tylko do Lillywhite's, żeby kupić kraciatą czapkę golfową, z rodzaju tych, które, jak do tej pory sądziłem, występują tylko w dziełach P.G. Wodehouse'a. Posłużyłem się tam akcentem z Yorkshire, żeby zmylić trop, rozumiecie. Płaszcz w stylu tajnego agenta układał się na mojej figurze tak dobrze, że czułem się w nim jak opleciona pnączem wieża. Sądzę, że nie wzbudziłem żadnych podejrzeń; i bez akcentu wzięliby mnie za gościa z północnych zadupii, bo nikt inny nie kupiłby takiej czapki.

Kiedy wróciłem do mieszkania, Jock łypnął podejrzliwym okiem na futerał. Drugim, tym niepodejrzliwym, szklanym, spojrzął ku firmamentowi niebieskiemu – czy też w sufit – w sposób sugerujący, że gdyby mogło mówić, powiedziałyby: „O mój Boże!”.

– Proszę, wstaw tę trumnę na bandžo do garderoby

w moich pokojach – powiedziałem z godnością, pańskim tonem – i nie zaglądam do środka, bo jej zawartość jest szokująca nawet dla mnie, a co dopiero dla takiego uczciwego pocziwca jak ty...

– Chyba chciał pan powiedzieć pocziwego uczciwca, panie Charlie.

– Może i tak, może i tak. Wszystko jedno, powiedz mi teraz, bez wykrętów i własnymi słowami, nie pomijając żadnych szczegółów, nawet najdrobniejszych, co jest dziś na kolację.

– Pani wyszła – odparł gładko. – Na brydża.

– Tak? – spytałem wyniośle. – Próbujesz mi więc powiedzieć, że muszę zamówić kolację albo, nie daj Boże, wyjść z domu, żeby coś zjeść? Nie ma nic w spiżarni? Czyżbyś, Jock, zeżarł cały chleb i ser? Trudno mi w to uwierzyć, bo zawsze należałeś do tych, co jedzą ponad stan.

Oczy mu rozbłysły, jedno wbite w podłogę, a drugie w gzyms, ponad stanem.

– Właśnie miałem coś przekąsić – wymamrotał tak cywilizowanym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć.

– Co takiego? – pociągnąłem go delikatnie za język.

– Umm... eee... parę blinów z kawiozem i kwaśną śmietaną, które znalazłem wśród resztek, no nie, i kilka solonych wędzonych śledzi, marynowanych w winie, które kupiłem z własnej kieszeni i mogę to udowodnić. A do tego jeszcze tylko minutowy stek, który inaczej by się zmarnował, faszerowany siekaną wątróbką drobiową

mojej własnej roboty.

– Próbujesz mi wmówić – powiedziałem spokojnie – że nie wystarczy tego dla dwóch?

Chwilę zastanawiał się nad tym lojalnie.

– Trochę braknie kawioru – odparł w końcu.

Podąłem mu swoje klucze od mieszkania.

– Dziesięć minut, panie Charlie, dobra?

– To znaczy dziesięć minut po podaniu drinka?

– Jasna sprawa.

– W porządku, Jock.

– Już się robi, panie Charlie.

Kiedy Johanna wróciła do domu, leżałem już w łóżku z wielce budującą książką świętego Franciszka de Sales, a może markiza de Sade, zapomniałem już którego z nich, i nie dość szybko wyłączyłem lampkę nocną. Johanna wygrała jako młoda małżonka, jak zwykle. To ją uszczęśliwia. Aż promieniała. Śpiewała i tańczyła po pokoju, rozrzucając tu i tam elementy garderoby.

Nie stać nas było na ostrygi i guinnessa, ale zapewniam was, że czasami mały słoiczek kawioru z białugi za dwadzieścia funtów całkiem wystarczy.

Następnego dnia, pewny, że Jock siedzi w spiżarni i robi coś pożytecznego, a Johanna bierze prysznic, włożyłem swoje nowe „ubranie” i już miałem niezauważenie wymknąć się z mieszkania, gdy Johanna przyłapała mnie na akcie wymykania i aż zatoczyła się ze śmiechu

na widok mojego tęczowego przyodziewku. Ma taki dźwięczny, perlisty śmiech, który może wydawać się naprawdę czarujący, jeśli nie jest się jego obiektem.

– Ciii! – poleciłem. – Jeśli Jock zobaczy mnie w tym garniturze, od razu złoży wymówienie. Ma swoją dumę, rozumiesz.

– Ależ, Charlie, kochanie – wymamrotała między jednym a drugim napadem perlistego śmiechu – dlaczego ubrałeś się jak przedsiębiorca pogrzebowy? Czy ten czarny ważniacki futerał zawiera preparaty do balsamowania?

– Nie widzę nic śmiesznego w tym, że uczciwy Brytyjczyk wbrew zdrowemu rozsądkowi przygotowuje się do zamachu na swojego władcę – odrzekłem sztywno.

– Przepraszam, Charlie – powiedziała trzeźwo. – Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś w przebraniu.

– Cóż, owszem, tak się składa – odparłem.

Kiedy przemykałem się przez kuchnię, rozległ się stłumiony odgłos pierdnięcia, zbyt wysoki, żeby mógł go wydać Jock.

– Jock – odezwałem się surowo – kanarek znowu dostał zaparcia. Nie mam zaufania do tego nowego weterynarza. Zadzwoń, proszę, do zoo i zapytaj ich o radę.

– W porządziu, panie Charlie – odpowiedział. A potem rzucił *sotto voce* coś, co brzmiało jak: „Niech mu się pan pokaże w swoim nowym garniaku”.

Przeszedłem – nie, przekradłem się – całe mile, dopóki nie znalazłem się z dala od tych części Londynu, w których mogli zamieszkiwać moi znajomi, po czym złapałem taksówkę i kazałem się zawieźć do City, gdzie istniała tylko nikła możliwość, że natknę się na swojego maklera giełdowego albo agenta ubezpieczeniowego od Lloyd'a. W kieszeni miałem mapkę przejazdu królewskiego, którą wydarłem z gazety Jock'a, bo taką właśnie prasę czytuje. (Na Fleet Street nazywają ją „szmatławcem dla niuń”, ale Jock zawsze był wierny Shirley Temple; mimo że jest rodowitym Brytyjczykiem, uwielbia nieupozowane zdjęcia, na których młodzi członkowie rodziny królewskiej dostają kopa w dupę końskim kopytem podczas próby sił. Może czasami dostrzega gdzieś w rogu transparent głoszący, że w zachodnim Bengalu jest piętnaście milionów bezdomnych. Może. Jego wrażliwość społeczna trochę przewyższa wrażliwość Światowej Rady Kościołów, ale to wszystko). W kieszeni, jak już mówiłem, zanim mi przerwaliście, miałem mapkę trasy przejazdu królowej. Mój „Times” nie precyzuje w doniesieniach z dworu – i pewnie nie zrobi tego wcześniej niż po fakcie – jakim pojazdem JKM zamierza podróżować, ale ponieważ była to uroczystość rangi państwowej (przyjęcie z lunchem w Sali Szubieniczników z udziałem zagranicznych monarchów), miałem nadzieję, że rodzina królewska przybędzie jednym z oficjalnych land – z otwartym dachem, rozumiecie – a nie którymś z tych

wielkich, ciężkich daimlerów czy rolls-royce'ów, które, jak wiadomo każdemu domorosłemu zabójcy, są kuloodporne.

Z mojej mapki wynikało, że podążając do Sali Szubieniczników, królowa przejedzie obskurną uliczką w City, i tam też kazałem się zawieźć taksówkarzowi. Wysiadając, dałem mu większy napiwek, niż się należało, żeby odniósł wrażenie, iż nie jestem rodowitym londyńczykiem, nie na tyle jednak duży, by mnie zapamiętał. Ci z was, którzy nie mieli szczęścia być tajnym agentem ani płatnym zabójcą, zrozumieją mój tok rozumowania.

Potem przeszedłem się uliczką tam i z powrotem, podczas gdy futerał obijał się boleśnie o moje udo, ale nie dostrzegłem ani jednego szyldu, który by głosił: „Nocleg ze śniadaniem”. W trakcie trzeciego kursu zauważyłem natomiast wysoki, wąski, obskurny budynek z siedzibą firmy adwokackiej na parterze i szeregiem brudnych koronkowych firanek w oknach na wyższych piętrach. Po suterenie kręciła się chuda flądra z wałkami na głowie, apatycznie zamiatając podłogę czymś, co kiedyś było miotłą.

– Cień dobry! – powiedziałem, uchylając czapkę golfową tak, jak to robią na kontynencie, i uśmiechając się sympatycznie.

Baba spojrzała na mnie z dołu; miała oczy emerytowanej dziwki, która nigdy tak naprawdę nie lubiła swojej pracy.

– Wynocha! – rzuciła pogardliwie.

– Kciałem spytać...

– Wynocha – powtórzyła.

Atmosfera była gęsta od woni zaległych czynszów.

– Kciałem spytać, czy ma pani mosze pokoik, s którego mókbym koszystać wieczorami...

– Że co?

– Żeby grać na instrumencie, rozumie pani.

– Że jak?

Wtedy dotarło do mnie, że ze swojego miejsca w suterenie nie widziała futerału na saksofon i być może źle mnie zrozumiała. Podniosłem więc futerał i machnąłem nim znacząco.

– Moja szona – wyjaśniłem – nie kce, szebym grał w domu. Od rasu sie na mnie słości.

– Pości?

– Tak – podjąłem pod wpływem natchnienia. – Najpierw pości, a potem sie opszera, rosumie pani, i tyje, a to psuje nasze poszycie, bo nie snosze grubych kobiet. – Spojrzałem na nią z nieukrywanym podziwem, a ona wygładziła brudny fartuch na chudych biodrach.

Dziesięć minut później zostałem lokatorem pokoju na pierwszym piętrze z widokiem na ulicę, uiściwszy skromną opłatę za miesiąc z góry i zobowiązawszy się, że będę grał tylko w tych godzinach, w których nie urzęduje adwokat na dole, że nie będę przyjmował przyjaciółek ani korzystał z łazienki. W pokoju była umywalka, rozumiecie, na wypadek gdyby kogoś

przypiliło.

Tego wieczoru spędziłem w domu kilka żmudnych godzin przy magnetofonie, z płytą jakiegoś przepłacanego saksofonisty z początku lat czterdziestych, nagrywając różne próbki jego rzekomego talentu i powtarzając niektóre kawałki raz po raz, jakby w trosce o coś, co saksofonista zapewne określiłby jako idealne wykonanie. Nie wymienię nazwiska tego muzyka, bo kto wie, może jeszcze żyje (nie ma sprawiedliwości na tym świecie, oj, nie ma), a wiadomo mi z pewnego źródła, że Stowarzyszenie Brytyjskich Artystów Teatru, Filmu, Radia i Telewizji nie zasypia gruszek w popiele i czyha na takich jak ja niczym kot na mysz.

Przez następnych kilka dni grałem swoją rolę. W wielkiej grze. Chodziłem w masce. Co gorsza, chodziłem w garniturze i, dobry Boże, w tych butach! Co wieczór w haniebnym przebraniu zakradałem się do wąskiego budynku przy nędznej uliczce w City i rzuciwszy jedno czy dwa lubieżne spojrzenia na gospodynię, wspinałem się po schodach. Gdy już znalazłem się w zaciszu obskurnego pokoiku, w smrodzie niedożywionych myszy (którym zalatywał, tak, pokój) odtwarzałem nagrane kawałki anonimowego saksofonisty, od czasu do czasu zmieniając głośność, zatrzymując taśmę i włączając ją od nowa, i jednocześnie wyglądałem przez okno, dokonywałem

pomiaru kątów, odległości i zasięgu strzału, aż w końcu nie mogłem dłużej słuchać tego cholernego saksofonu i zląziłem na dół, unikając umytej już i uszmlinkowanej, ale wciąż straszliwie chudej gospodyni, a następnie wędrowałem markotnie uliczką aż do postoju taksówek. Markotność tej przechadzki, chyba nie muszę wyjaśniać, wynikała z tego, że mierzyłem odległości i porównywałem je ze swoim zasięgiem strzału. Obliczyłem sobie, że oficjalne lando będzie jechało z prędkością aż dwunastu mil na godzinę. Trygonometria stanowiła w szkole jedyny przedmiot, w którym byłem dobry. To znaczy według tego, co wiedzieli o mnie nauczyciele.

Posłuchajcie, muszę zaznaczyć dobitnie, że to wszystko wcale mi się nie podobało. Nie mam na myśli tego, że nosiłem ciuchy, którymi wzgardziłyby George Melly ⁷, czy te buty, „bananowy specjał”, których wspomnienie wciąż nawiedza mnie w sennych koszmarach. Mówię, tym razem poważnie, o całym paskudnym pomysle. Ten kraj przyjął moją rodzinę, okazał nam życzliwość, pozwolił stosunkowo się wzbogacić i nigdy nie okazał nam cienia pogardy. Dlaczego więc teraz wytężałem mózg, żeby przedwcześnie posłać jego władczynię do grobu? Cóż, owszem, tak mi poleciła żona – co dla licznych facetów stanowi całkiem dobry powód, żeby robić większość rzeczy – zwłaszcza że zachodziło uzasadnione podejrzenie, że gdyby efekt moich działań jej nie

zadowolili, mógłbym w znacznym stopniu utracić życie. Należało także obawiać się pułkownika Bluchera, który wyraźnie dał mi do zrozumienia, że mam tańczyć, jak zagra mi Johanna, dopóki nie dostanę innych instrukcji. Nic z tego jednakże nie nastrajało mnie lepiej do moich działań. Odnosiłem też przemożne wrażenie, że Jock ma lepszą hierarchię wartości niż ja.

Mimo to w tamtych czasach byłem człowiekiem z żelaza, w dodatku oddanym idei przetrwania – idei, która z perspektywy czasu wydaje się śmiesznie marna, ale wówczas sprawiała wrażenie całkiem sensownej. Pozostanie przy życiu ma w sobie coś naglącego, spytajcie kogokolwiek, kto stanął wobec wyboru: życie albo śmierć.

Oliwiłem więc sztucer, wracałem do ohydneho domu, uśmiechałem się obleśnie do gospodyni, odtwarzałem taśmy magnetofonowe, nosiłem garnitur i buty, ba, nawet tę czapkę golfową. Czytaliście o chłopcu ze Sparty, który nosił za pazuchą lisa wżerającego mu się w narządy i nie wydawał przy tym najmniejszego jęku? Doskonale, więc wyraziłem się jasno.

– Jock – zwróciłem się któregoś ranka do Jocka – Jock, potrzebuję twojej pomocy.

– Panie Charlie – odparł ciężkim głosem – jeśli w tej sprawie, o której rozmawialiśmy kilka dni temu, to zanim pan wypowie następne słowo, oświadczam stanowczo „nie”. Nie doniosę na pana, wie pan o tym,

ale nie mogę pomóc. Nie w czymś takim.

– Nie zakręcisz kierownicą, gdy będzie już po wszystkim? – spróbowałem.

– Przykro mi, panie Charlie, w takiej sytuacji nie zakręciłbym kierownicą nawet najbardziej superanckiej gabloty.

– Skoro tak, Jock, chyba będę musiał poradzić sobie sam. Szanuję twoje zasady i nie mam do ciebie pretensji. Ale jeśli zostanę... eee... przymknięty, mogę liczyć, że odwiedzisz mnie w celi śmierci?

– Jasna sprawa.

– I przyniesiesz mi słoiczek kawioru albo dwa? Prawdziwego grosrybriesta, nie tego szajsu, który podajemy gościom.

– Jasna sprawa.

– I może – dodałem tęsknie – słoik albo dwa tych piersi kuropatwy w galarecie, co? Bo słyszę makabryczne historie o tym, co dyrektorzy więzień uważają za „porządne śniadanie” dla gościa, który ma pokonać setki jardów do szubienicy. Tłuste kotlety baranie z frytkami, fasolą i... i... tak dalej.

– Niech pan nie zawraca sobie głowy takimi rzeczami, panie Charlie, wszystkiego dopilnuję, mam kumpli gdzie trzeba. Poza tym chyba już znieśli karę śmierci, co nie? Nie dostałby pan więcej niż, och, ze dwadzieścia pięć lat. A to pestka! Da pan radę. Jedno, o czym musi pan pamiętać, to nie dać się dorwać tym wielgachnym czarnym zbokom pod prysznicem.

Nie zadrżałem, bo nie chciałem stracić jego szacunku, ale ten wysiłek kosztował mnie z kilkaset kalorii.

– Posłuchaj, Jock – powiedziałem delikatnie – masz rację, rzeczywiście znieśli karę śmierci, ale w jednym przypadku wciąż mogą skrócić cię o głowę.

– Nie, naprawdę?

– Tak.

– Czyli jak?

– Czyli jak dopuścisz się zdrady stanu.

9. Mortdecai jest gotów stanąć poza nawiasem, ale żałuje, że nie ma bardziej reprezentacyjnej gospodyni

Maniery jej nie miały tego spokoju,
Co ród cechuje Vere de Vere.

Lady Clara Vere de Vere

Nadszedł dzień, którego tak się bałem. Kiedy wychodziłem z mieszkania, Jock podał mi kapelusz i parasol. Odmówiłem wzięcia tego ostatniego; trzeba czegoś więcej niż zwykłego parasola, żeby zabójca poczuł się jak dżentelmen. Niemniej jednak, czekając na windę, mimowolnie zacząłem nucić zwrotkę hymnu państwowego, a konkretnie fragment: „Niech króluje nam jak najdłużej”. Widocznie po freudowsku gdzieś w głębi duszy liczyłem jednak na deszcz, rozumiecie, żeby rodzina królewska podróżowała miłą kuloodporną limuzyną, a nie otwartym oficjalnym landem. Jednakże londyńska pogoda jak zwykle mnie zawiodła. Słońce świeciło bezlitośnie na niebie jak uśmiech na twarzy menedżera banku.

Pojechałem metrem – czyli miejską koleją podziemną – do stacji leżącej najbliżej mojego pokoiku w City i po

drodze wstąpiłem do publicznego WC. (Była jeszcze wczesna pora dnia, na giełdzie panował ruch, a parlament zebrał się na sesję, więc istniało niewielkie ryzyko, że ktoś mnie zaczepi). Tam się przebrałem; włożyłem garnitur, buty, czapkę.

Kilka minut później... cóż, tkwiłem już przy oknie, mocując celownik teleskopowy na mannlicherze. Palce drżały mi ze strachu przed ohydny czynem, który miałem popełnić – a także z wściekłości i odrazy odczuwanych po tym, jak moja chuda gospodyni niedwuznacznie otarła się o mnie na schodach i zaproponowała, żebym przyszedł do jej buduaru na „szklaneczkę czegosik mocniejszego”.

– Mosze póśniej – wymamrotałem, starając się wykrzesać z siebie pożądliwe spojrzenie, chociaż wiedziałem dobrze, w każdym razie miałem taką nadzieję, że żadnego „póśniej” nie będzie.

Tkwiłem więc przy oknie, a mój piękny hiszpański sztucer coraz bardziej mi się ślizgał w spoconych dłoniach, chociaż z poczuciem winy wycierałem je nie wiem ile razy o nogawkę znienawidzonego garnituru. Mój zegarek, mimo że będący dziełem samego Patka Philippe’a, tykał coraz wolniej, jakby został zanurzony w stopionym maśle.

Wreszcie dały się słyszeć odległe wiwaty, potem coś jakby turkot, zapowiadający zbliżanie się pojazdu konnego załadowanego członkami rodziny królewskiej i goszczonymi przez nią głowami państw. Kolejny raz

wytarłem ręce, wysunąłem o cal czy dwa wylot lufy (nie dostrzegałem żadnych idiotów bezpieczeństwa na dachach domów po drugiej stronie uliczki), przycisnąłem kolbę do ramienia i przytknąłem okular celownika do łzawiącego oka. I oto się pojawili – w cholernym oficjalnym landzie, a jakże – machając rękami jak jeden mąż tym cudownym, niepowtarzalnym gestem dłoni, który potrafi wykonać jak należy tylko Elżbieta, królowa matka. Rzecz jasna, nie mogłem tego zrobić... to znaczy strzelić, a nie machnąć ręką. Musiałem być szalony, sądząc, że stać mnie na to. (Kiedy święty Piotr u bram rajy da mi swój formularz do wypełnienia, będę miał na swoją obronę tylko to, że nigdy w życiu nie strzeliłem do siedzącej osoby). (Oczywiście nie licząc szczurów, czarnowronów, byłych prezydentów Ugandy i tym podobnych).

Niemniej jednak moja tchórzliwa królobójcza prawa ręka jakby żyła własnym życiem. Odbezpieczyła zamek mannlichera i wysunęła go do przodu, żeby włożyć nabój do komory. Ten się jednak zaciął, to znaczy zamek, nie nabój. Szarpnąłem go więc z całej siły, aż odkształcony nabój wyskoczył i przeleciał obok mojego ucha, żeby trafić w gustowną kolorową reprodukcję *Dwóch bratków w jednym dzbanku* van Gogha. Ponownie wysunąłem zamek i ponownie się zaciął. Kawalkada już miała minąć punkt, w którym kończyło się moje pole strzału. Z czułością i szacunkiem przekląłem Jocka (wczesnym rankiem sprawdziłem te naboje – kto inny

mógł przy nich majstrować?), ale mając na względzie swoją skórę, znowu zacząłem się mocować z zamkiem, żeby oddać choćby jeden strzał – na dowód, że się starałem. Właśnie sprawdziłem trzeci nabój i zacząłem ładować świeży magazynek, gdy odkryłem, dlaczego na dachach po przeciwnej stronie uliczki nie było żadnych idiotów bezpieczeństwa. Otóż dlatego, że właśnie kopali w drzwi mojego obskurnego pokoiku. Tuż za mną.

Istnieją dwa sposoby kopania w drzwi. Pierwszy, którego nauczył mnie pewien dżentelmen w Filadelfii, jest szybki, skuteczny i niemal niesłyszalny. Ci faceci używali tej metody. Gdybym był zatwardziałym złoczyńcą, mógłbym do nich strzelić i zrobić z nich miazgę, zanim zdążyliby kopnąć po raz trzeci, ale nie miałem do tego serca. Kiedy w końcu wpadli do pokoju przez szczątki drzwi, pomogłem im się podnieść na te ich wielkie nogi i otrzepałem ich uprzejmie. Drzwi nie były zamknięte na klucz, ale nie chciałem tego mówić, żeby nie psuć im dnia chwały. Wszyscy kolejno mnie aresztowali, zmuszając do mówienia rzeczy, które potem mogły zostać użyte przeciwko mnie, i zabezpieczając wszystko, co tylko się dało, jako dowody w sprawie, podczas gdy chuda gospodyni jazgotała i wyrzekała, zapewniając ich, że od początku podejrzewała, iż nie jestem rodowitym Anglikiem.

Gliniarze mówili głośno, z powagą i dumą. Mieli do czynienia ze zbrodnią godną Tower of London, rozumiecie. Wasz oddany królobójca nie miał być

wsadzony do zwykłego więzienia, takiego jak Wormwood Scrubs, gdzie siedziałyby z pospolitymi bandytami, damskimi bokserami, pedofilami i deweloperami. (Gdy zatrzaszywali kajdanki na moich nadgarstkach, żałowałem tylko, że nie zwróciłem Jockowi uwagi, iż piersi kuropatw w słoikach są do niczego bez świeżego ciemnego pieczywa z masłem). Gliniarze obchodzili się ze mną stosunkowo mało brutalnie, jednak zrewidowali mnie dokładnie w poszukiwaniu obciążających papierów, takich jak banknoty pięciofuntowe, złote paczki papierosów i tak dalej, choć znaleźli jedynie kwit na garnitur, który miałem na sobie. Mam nadzieję, że nie wyżyli się za bardzo na „Używanej garderobie męskiej”.

Rewizja była skandalicznie nieudolna – musiałem przypomnieć gliniarzom o kręgosłupie, gdzie źli ludzie często przyklejają taśmą majcher albo składaną brzytwę. Gdy chichotałem pod wpływem łaskotek, w progu stanęli trzej wysocy faceci, starannie odgarniając stopami gruz. Te stopy mi powiedziały, że nie są to zwykli angielscy gliniarze. Okazało się, że miałem rację, był to bowiem pułkownik Blucher z dwoma sługusami. Od progu zamachał plastikowym tryptykiem upstrzonym jakimiś ważnymi gumowymi stemplami. Gliniarze jakby zapomnieli o aresztowaniu i zaczęli zwracać się do niego „proszę pana”. Ktoś powiedział gospodyni, żeby się zamknęła, za co byłem mu głęboko wdzięczny, i powstało coś w rodzaju żywego obrazu.

Potem Blucher grzecznie podziękował gliniarzom, ale zrobił to tak płaskim tonem, jakby chciał powiedzieć, żeby spadali.

Nie wiem, kto zapłacił gospodyni za wyważone drzwi i strzaskane marzenia, ale na pewno nie ja. Gdy wychodziliśmy, wykonała gest, którego nie powinna była znać, bo przecież z pewnością nie należała do grona kibiców piłkarskich.

– My na Węgrach – powiedziałem jej – pokazujemy tak. – I zademonstrowałem, używając mniejszej liczby palców.

Z niewiadomych powodów Blucher był wyraźnie ze mnie zadowolony. Z niewiadomych powodów nie wydawał się jednak ciekaw moich królobójczych zamiarów, mimo to opowiedziałem mu o nich wszystko, bo po próbie zabójstwa człowiek zawsze robi się gadatliwy. Wszyscy to wiedzą.

– I to pewnie pańscy ludzie majstrowali przy nabojach – zakończyłem z wdzięcznością.

– Nie, dlaczego, panie Mortdecai? To nie my.

– Ach, więc jednak Jock jest takim patriotą, jak sądziłem.

– Hm, nie powiedziałbym, że to jego robota.

– To czyja?

– A skąd mam wiedzieć?

Zrozumiałem, co to znaczy. Czy raczej wydawało mi się, że rozumiem.

Wysadzili mnie nie na tym końcu Bond Street co

trzeba, chyba ze względów bezpieczeństwa. Spacer jednak dobrze mi zrobił. Jock z kamienną miną otworzył drzwi i gdy przechodziłem przez kuchnię, z równą obojętnością wetknął mi do ręki dużego drinka. Już po pierwszym łyku byłem pewny, że pocziwiec rozumie, iż nie jest to pora na takie subtelności jak woda sodowa.

Johanna siedziała w salonie, wlepiając swoje piękne oczy w telewizor, w którym jakiś facet grał na fujarce z litej platyny coś okropnie nudnego.

– Posłuchaj, Johanno... – zacząłem przepraszająco.

– Ciii! – odrzekła. (Niektóre instrumenty budzą niewytłumaczalną fascynację u istot płci żeńskiej. Czy wiecie na przykład, że w starożytnych Atenach mężczyznom nie wolno było grać na flecie pod oknami dziewcząt? Mogli dawać im bukiety kwiatów, bombonierki z czekoladkami oraz futra z norek, ale gra na flecie uchodziła za chwyt poniżej pasa; nawet bystre dziewczyny nie potrafiły jej się oprzeć. Nie zmyślam, naprawdę, spytajcie pierwszego z brzegu historyka antyku. Spytajcie go o to w błogiej przerwie między poobiednią drzemką a popołudniowym koktajlem).

Kiedy gość zakończył występ i strząsnął ze swojej cennej fujarki ślinę, ja zwilżyłem własną resztkami cennej szkockiej i powiedziałem:

– Posłuchaj, Johanno, strasznie mi przykro, ale...

– W porządku, Charlie, kochanie, nie musisz mówić nic więcej. Nie byłabym w stanie słuchać twoich

wyjaśnień, tak bardzo mnie zawiodłeś. Nawet najsilniejsi mężczyźni mogą się załamać pod wpływem stresu.

Zastanowiło mnie to, ponieważ wiedziałem, że nie należy do kobiet, które mówią, co im ślina na język przyniesie. Do głowy przyszło mi kilka gorzkich odpowiedzi i dowcipnych ripost.

– Ach, no cóż, rzeczywiście – zdecydowałem się w końcu powiedzieć.

Nawet ona nie umiała wymyślić kontry na coś takiego.

Później zjedliśmy wczesną kolację, bo był to wieczór, kiedy przychodziła nasza świetna włoska kucharka, która robiła, co do niej należało, i lubiła wyjść, żeby zdążyć jeszcze na „binko”, jak mówiła. (Pewnie nie słyszeliście nigdy o „bingo”; to gra, w której szanse na wygraną są wprawdzie jeszcze mniejsze niż w automatach, ale nie musicie wyrywać sobie ręki ze stawów, szarpiąc za dźwignię. Mówiono mi też, że służy gospodarce; jeśli facet zarabiający osiemdziesiąt funtów tygodniowo daje z tego żonie dwadzieścia na bingo, a sam stawia taką samą kwotę w wyścigach chartów, to, cóż, nie zgodzi się przecież na tę parszywą kapitalistyczną pięcioprocentową różnicę płacową, no nie?)

Jak już mówiłem, zjedliśmy wczesną kolację, złożoną ze skromnego *bollito misto* i przebiegającą w ferworze ożywionej rozmowy: „Kochanie, podaj, proszę, sól” i „Och, kochanie, przepraszam za to wino”. Moim

finałowym *jeu d'esprit* było: „Johanno, chyba dziś wieczorem wcześniej położę się do łóżka, jeśli nie masz nic przeciwko temu”.

Ale ona była przygotowana na ten cios. Posłała mi swój najśłodszy uśmiech i odpowiedziała, że absolutnie nie ma nic przeciwko; w telewizji właśnie zaczynał się horror.

Ze dwie godziny później wślizgnęła się jednak do mojej garderoby i oznajmiła, że horror okropnie ją przeraził i teraz się boi.

– No, no – mruknąłem sennie, poklepując ją tam, gdzie powinna być koszula nocna.

Wtedy zapytała, co poszło niezgodnie z planem, więc wyjaśniłem, że naboje nie chciał wejść do komory. Początkowo nie chwyciła, o co chodzi, więc jej pokazałem. Kilka minut później oświadczyła, że już pojmuje, z wyjątkiem tej części o zamku. Poszedłem na dół i zrobiłem nam drinki. Grałem na zwłokę, rozumiecie.

Usnęła z pół godziny później. Balistyka to bardzo nudny temat.

Tuż przed świtem obudziła mnie szarpnięciem za ramię. Zareagowałem nieco opryskliwie, zawsze tak reaguję o tej porze.

– Charlie, kochanie – powiedziała – tylko jedno jest dla mnie niejasne. – Wydałem kilka nieprzekonujących sennych dźwięków, ale daremnie. – Bo przecież, Charlie, w magazynku miały być trzy naboje, no nie?

– Och, niech ci będzie – odparłem.

10. Mortdecai dostaje najprostsze, ale nie najwdzięczniejsze zadanie i je zawala

...I zamknęła się za nią gęstwina,
A w lesie poniosło się echem: „Och, głupia”.

Merlyn and Vivien

– Wszystko jedno, Charlie – powiedziała, kiedy odsuwałem apatyczny plasterk bekonu na brzeg talerza – wszystko jedno, nie spisałeś się za dobrze, sam chyba przyznasz? Z tym zabójstwem. Założę się, że ludzie z CIA sprawdziliby każdy nabój. Ich szefowie podobno nie chcą słuchać żadnych wymówek.

Przychodziła mi do głowy tylko jedna odpowiedź: że nie śmiałybym wykorzystać delikatnej milionerki, więc ugryzłem się w język i ze złością dźgnąłem jajko sadzone.

– Może – ciągnęła – to zadanie trochę cię przerosło... Jak sam często mówisz, nie jesteś już młodzieniaszkiem, no nie?

Wkładając w to taką siłę nadgarstka i dłoni, o jaką siebie już nie podejrzewałem, jednym ruchem noża przeciąłem świeżego tosta, posyłając drugą połówkę w przeciwległy koniec pokoju niczym glinianego

gołębia.

– Dlatego wymyśliłam dla ciebie inne zadanie, które na pewno uznasz za łatwe i wdzięczne.

Wydałem ostrożny, nieufny pomruk, który mógł – albo nie mógł – być słyszalny przy wtórze chrupania grzanki.

– Masz jedynie się zaprzyjaźnić... blisko zaprzyjaźnić... z piękną młodą kobietą. To jakby moja współpracowniczka w pewnym poufnym przedsięwzięciu, lecz mam wrażenie, że jest nielojalna. Och, nie unosi tak głupio brwi, kochanie. Wiesz, co mam na myśli: że pozwala sobie na zbyt wiele w kontaktach z naszą... eee... konkurencją. Chcę, żebyś się do niej zbliżył. Szastaj pieniędzmi, jakbyś był już zmęczony noszeniem całej tej forsy przy sobie, wtedy spojrzysz na siebie łaskawym okiem. Potem zacznij wyciągać od niej informacje, zobaczymy, czy jest taka gadatliwa, jak podejrzewam. Możesz dać jej do zrozumienia, że jesteś dziennikarzem śledczym jednej z angielskich gazet niedzielnych, rozumiesz?

Rzuciłem sztucę na talerz – gorszy pękłby z boku na bok – i wstałem, posyłając jej arktyczne spojrzenie, które słabszą by speszyło.

– Dżentelmena nie wypada prosić o pewne rzeczy – odparłem sztywno. – Zabójstwo, zgoda. Ale udawanie dziennikarza gazety niedzielnej to już przesada.

– Wybacz mi, kochanie – powiedziała pośpiesznie – cóż, hm, może zabrakło mi wyczucia, gdy to

zasugerowałam. Więc daj jej do zrozumienia, że jesteś bogatym inwestorem, słyszałeś, iż prowadzi pewien interes, w który chętnie byś zainwestował, i masz na dowód portfel. Ale najpierw nawiąż z nią bliskie stosunki, zdobądź jej zaufanie. Jestem pewna, że ją urzekniesz. Tak jak urzekłeś mnie, prawda?

Usiadłem ponownie, ale śniadanie już zupełnie przestało mnie nęcić, wyglądało wręcz jak okrutna parodia obrazu Kandinskiego.

– Doskonale – odezwałem się w końcu. – Gdzie i jak poznam tę damę?

– Dziś wieczorem, kochanie. Wszystko jest już zaaranżowane. Nazywa się Loretta. Masz być jej partnerem na przyjęciu. To impreza w ambasadzie jednego z tych państw arabskich nad zatoką, więc nie musisz zawracać sobie głowy muszką i frakiem, zwykły smoking zupełnie wystarczy. Przepraszam, miałam na myśli wieczorową marynarkę.

Loretta, jak się okazało, wyróżniała się niewinną, przypominającą kwiat twarzą. Jej oczy jakby w każdej chwili były gotowe napełnić się łzami, a pełne usta wydawały się obrzmiałe od tysięcy namiętych pocałunków. Poczułem, że pragnę ją chronić, bo do tego tak naprawdę się to sprowadza, czyż nie? Chociaż byłem młodym małżonkiem, zacząłem pałać bolesną żądzą, aby się przekonać, czy reszta jej ciała potrafi spełnić obietnicę malującą się na ślicznej buzi.

Po przyjęciu i tym wszystkim, co dzieje się w bufecie ambasady tej klasy, Loretta wzdygnęła się lekko, słysząc moją propozycję, żebyśmy wpadli do nocnego klubu. (Ja też się wzdygnąłem, ale z ulgi, że nie będę musiał zbyt dużo inwestować w tę znajomość. Nie jestem skąpy, naprawdę nie, ale wydanie pięćdziesięciu funtów na kiepskiego szampana i nadmiar decybeli nigdy nie wydawało mi się rozsądnym pomysłem. *Quantum meruit* – oto moja dewiza).

– Zabierz mnie raczej do domu – zamruczała.

Jej mruczenie było z gatunku tych, które powodują znajomy dreszcz, przebiegający od podstawy kręgosłupa po okolice grzbietu. Wziąłem ją. To znaczy do domu. „Dom” okazał się apartamentem w dyskretnej luksusowej kamienicy na tyłach Curzon Street. Portier taktownie nie zwrócił na nas uwagi, a jego plecy wyrażały wszystko. Jeśli plecy jakiegoś portiera mówią: „Krzyżyk na drogę, moje dzieci”, to właśnie jego.

Przed drzwiami mieszkania Loretta podała mi klucz – nie znoszę silnych kobiet, które udają, że potrafią bez niczyjej pomocy otworzyć drzwi – i stanęła przede mną w taki sposób, że musiałem zbliżyć się do niej na bardzo małą odległość, aby dosięgnąć dziurki od klucza. Uniosła głowę i spojrzała na mnie swoimi wielkimi fiołkowymi oczami pełnymi rzeczonych łez, z drżącymi ustami, krótko mówiąc – wysyłając wszystkie możliwe nieuchwytnie sygnały mówiące facetowi, że dziewczyna pragnie, aby ją pocałował, i to bezzwłocznie. Uległem

jej woli. Dobra w tym była. Kiedy jej oddech przyspieszył, znalazłem dziurkę od klucza i wciąż do siebie przytuleni wpadliśmy truchtem – świńskim – do jej mieszkania. Było niezwykle eleganckie, pełne kwiatów i zdominowane przez olbrzymią kanapę stojącą przed kominkiem, na którym płonął ogień z prawdziwych polan. Loretta zniknęła na chwilę i wróciła boso z butelką armaniaku i dwoma kieliszkami. Zapomniałem już, jak smakuje armaniak, i byłem oczarowany widokiem jej idealnie ukształtowanych małych paluszków u stóp, kiedy wyciągnęła je w kierunku płomieni.

Zagajając rozmowę, kulawo zauważyłem, że to pewny sposób, aby nabawić się odmrożenia, a ona nie wiadomo dlaczego wybuchnęła śmiechem. Potem rzuciła się na mnie z pasją. Nasze usta się zetknęły i przywarły do siebie z beztróską determinacją pary magnezów. Przez minutę czy dwie, no, może trzy, nie było słycać niczego z wyjątkiem soczystych dźwięków wzajemnego lizania się po twarzy, trzaskania polan i natrętnego niczym bzyczenie pszczoł odgłosu rozsuwania zamków błyskawicznych. (Jeśli kiedyś na skutek rosnących wymagań szantażystów będę zmuszony spisać wspomnienia, to zatytułuję je *Ofiara eklera*).

Nagle, gdy było już aż nadto jasne, że Loretta oczekuje, abym wziął ją przemocą, wyplątałem się z jej objęć, zdjęty wyrzutami sumienia. Czy nie byłem młodym małżonkiem? Czy nie kochałem swojej świeżo

poślubionej żony Johanny? Odpowiedzi brzmiały: „zdecydowanie” i „tak, chyba tak”, w wymienionym porządku. Kazano mi przecież „zbliżyć się” do Loretty – czy nie stanąłem już na wysokości zadania? Loretta sennie dawała do zrozumienia, że zdecydowanie stanąłem, jeśli wybaczyście mi w tym jednym przypadku wulgarną dosłowność.

– Posłuchaj... eee... kochanie – wybełkotałem. – Właśnie przyszło mi na myśl coś okropnego.

– Nie martw się – zamruczała. – Zażyłam rano pigułkę.

– Nie, nie, nie. Nie to miałem na myśli. Miałem na myśli to, że obiecałem zadzwonić do swojego... szefa przed.... – zerknąłem ukradkiem na zegarek – przed północą. Leci o świcie do Frankfurtu czy jakiegoś podobnego miejsca. Czy mógłbym...?

– Tylko szybko – powiedziała, podając mi telefon.

Wykręciłem numer. W słuchawce rozległ się miły, zimny głos Johanny. Przywołując zardzewiałe resztki swojego niemieckiego, odezwałem się chrapliwie:

– *Ah, Herr... eee... Johann! Hier ist Charlie Mortdecai!*

– Kochanie, już zdążyłeś się upić?

– Nie, nie! – wykrzyknąłem wciąż po niemiecku. – Kanst tu niemiecki rozumieć?

– Ależ oczywiście, Charlie, kochanie. Wprawdzie twój niemiecki trochę się różni od mojego, ale chyba rozumiem, co chcesz powiedzieć.

– Dobrze. To będzie mi potrzebne. Pojawiła się mała trudność. Żeby zdobyć zaufanie naszego przyjaciela, trzeba będzie, żebym z nim do łóżka poszedł. Co mam robić? Halo? Halo? Kanst tu mnie słyszeć?

– Tak, kochanie. Chodzi ci o to, że chcesz zieloną kartę, tak?

– A co to jest? A tak, teraz rozumiem.

– No dobrze, tylko ten jeden raz. I, Charlie...

– *Ja, Herr Johann?*

– Masz nie mieć z tego przyjemności.

– Nie, Herr Johann. Dobranoc.

– Och, i jeszcze jedno, Charlie.

– *Ja?*

– Oszczędzaj się, rozumiesz?

– *Zu befehl, Herr Johann* – odparłem. Ukradkiem otarłem z czoła krople potu i odłożyłem słuchawkę. Zwracając się do Loretty, powiedziałem: – Przepraszam, kochanie. Szalenie ważna sprawa. Na pewno rozumiesz.

– *Aber natürlich* – odparła z lodowatą słodyczą. – *Es scheint mir dass du versucht hast von deiner Frau eine Freischute zu bekommen, und ich kann mir auch denken für was.*

– Że co? – spytałem przytomnie.

– Pytam, czy zgodziła się, żebyś mnie przeleciał.

„Rany boskie – pomyślałem – użyłem przez telefon swojego prawdziwego nazwiska”.

– Ho, ho! – rzekłem głośno, a ponieważ nie miałem pojęcia, co sensowniejszego mógłbym zrobić albo

powiedzieć, wziąłem ją w ramiona i pocałowałem namiętnie.

Ona jednak pozasuwała wszystkie zamki – cała ta zmundna robota od nowa – i gdy pociągnąłem za linkę wyzwalającą, wstała.

– Dobranoc, kochanie – powiedziała.

– Jak to dobranoc?

– Życzę ci dobrej nocy.

– Ale, ale, ale...

– Tak, było bardzo miło, ale muszę wracać do życia.

– Hę?

– To znaczy, że nie chcę zostać w tym tygodniu zabita. Ani w żadnym innym. Masz, to twój kapelusz i parasol. Proszę, nie miej do mnie żalu... uważam, że jesteś słodki. Zawsze uwielbiałam głupich mężczyzn. Och, i wiesz co, kochanie... zapnij się z przodu. Noce są chłodne, mógłbyś sobie coś odmrozić.

Portier czytał za kontuarem w holu. Miał dobrotliwie obojętną minę, ale odniosłem wrażenie, że kiedy obok niego przemykałem, nieznacznie uniośł brew.

– Dobranoc – bąknąłem.

– Dobranoc, proszę pana – odpowiedział ze zdziwieniem i wrócił do czytania „Forum”. Na pewno czytał o przedwczesnym wytrysku.

W domu Johanna też uniosła brew, o wiele jednak ładniej i groźniej niż portier.

– Tak szybko wróciłeś, Charlie?

Prychnąłem w stłumiony sposób i przyrządziłem sobie whisky z wodą sodową, jedną z największych w mojej karierze. Nie dałem syfonowi za dużego wycisku. Johanna bez słowa podała mi dwie tabletki z witaminą E, które wyjęła z małego złotego *drageoir*. Połknąłem je ponuro.

– Jestem spalony – oznajmiłem w końcu.

– Charlie? To znaczy, że Loretta cię...

– Nie, nie. Mam na myśli to, że zostałem zdemaskowany... nie czytasz historii szpiegowskich? Loretta wie, kim jestem, suka zna niemiecki. Właściwie nawet lepiej niż ja.

Johanna jakby powściągnęła uśmiech.

– Ależ oczywiście, że zna, kochanie. To Niemka.

– Mogłaś mnie uprzedzić.

– Mogłeś zapytać.

Ugryzłem się w język, na którego końcu miałem już pewne słowa, bo nie będąc wcześniej żonatym, nie należę do tych, co używają wulgaryzmów wobec kobiet.

– Tak czy owak – odezwałem się znowu, gdy dobroczynna whisky już na dobre weszła do mojego krwiobiegu – operacja się nie udała. Nic z Loretty nie wydobyłem.

– Ani w nią nie... eee...

– Nie znoszę, gdy kobiety są ordynarne.

– Nie bądź taki sztywny, Charlie. Ani przez chwilę się nie spodziewałam, że zacznie sypać. Jest bardzo dobrze wyszkolona. Tak naprawdę sprawdzałam ciebie, a nie ją.

To było coś w rodzaju próby ogniowej, rozumiesz?

Usiłowałem to przetrwać, tak jak kolejną whisky and s, która mogłaby być dużym braciszkiem poprzedniej. Krew mi wrzała z rozczarowania i frustracji, a do głowy przychodziły liczne gorzkie refleksje na temat natury kobiet. Pomyślałem, że jedynym sposobem, aby zachować resztki godności, będzie udać się demonstracyjnie do łóżka.

– Chyba udam się do łóżka – powiedziałem nieobecny tonem kogoś, kto napił się armaniaku i szkockiej whisky, a co więcej, komu wcześniej przerwano namiętą schadzkę.

– Do łóżka? – spytała. – Świetnie! Mogę pójść z tobą?

Przyjrzałem jej się z pewnym niechętnym podziwem. Wstała szybko, zsuwając z ramion *peignoir* i odsłaniając bezwstydną część garderoby z czarnej koronki, podtrzymywaną, jak się zdawało, jedynie przez wyprężone piersi. Czarna koronka kończyła się w miejscu, gdzie zaczynały się długie, zgrabne nogi. Gdyby Johanna nie była naturalną blondynką, trudno byłoby zauważyć rąbek. Moje pełne podziwu spojrzenie nieznacznie zamieniło się w miłosne – przypomniała mi się niedawna rola „bogatego inwestora”.

– Mogę? – powtórzyła potulnie.

– Tego nie wiem – odrzekłem – ale jestem pewny, że ja mogę.

Podreptała do sypialni. Nie zaliczam się do lubieżników, ale w widoku pięknej kobiety w takim

nocnym stroju, drepczącej przede mną po schodach, było coś, co zawsze budzi we mnie bestię, nie wiem dlaczego.

– Charlie? – zagadnęła niedługo później. – Charlie?

– Uhm? – wydyszałem z roztargnieniem.

– Charlie, czy przypadkiem nie wyobrażasz sobie na moim miejscu Loretty?

– Ależ skąd – skłamałem. – Myślę o swoim lokaju w szkole, jeśli chcesz wiedzieć.

– Jesteś zepsuty do szpiku kości – wymamrotała z zadowoleniem.

– Charlie – powiedziała nazajutrz rano.

– Uhm?

Powtórzyła dane mi na chrzcie imię, stanowczym gestem wydobywając spomiędzy swoich piersi moją twarz.

– Tak, tak – odparłem z rozdrażnieniem.

– Posłuchaj, Charlie... nie, przestań... w każdym razie na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać. Randka z Loretą wczorajszego wieczoru była już twoim drugim zadaniem i znowu trochę się nie spisałeś, chyba musisz przyznać?

– Nie podoba mi się to określenie – wymamrotałem sennie.

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Jeśli naprawdę masz mi się na coś przydać... nie, daj spokój, nie o to mi chodziło... musisz przejść szkolenie.

– Bzdury, zostałem przeszkolony. I to przez specjalistów. Podczas wojny.

– Tak, wiem. Mam w biurku na dole twoją teczkę z Ministerstwa Wojny. Kosztowała mnie dwieście funtów. – W tym momencie naprawdę się obudziłem. –

Dostałeś bardzo dobre noty z walki wręcz, sabotażu i strzelania do ludzi, ale to było dwadzieścia pięć lat temu, no nie? A nigdy nie przeszedłeś kursu z działalności wywrotowej, mam rację?

– Zapomnij o tym – odrzekłem, udając senność, która już mi przeszła.

– No właśnie. Po wojnie chcieli ci dać robotę na tym polu, ale wymówiłeś się czymś nonszalancko, chyba płaskostopiem i tchórzostwem.

– To o tchórzostwie było zgodne z prawdą.

– A więc, kochanie, dziś wieczorem zostajesz zapisany na kurs w naszej szkole działalności wywrotowej.

– Och, nie ma mowy, a zresztą jak to „naszej”? „My” to kto?

– Ależ tak, kochanie. A „my” to ja i kilka moich przyjaciółek. Któregoś dnia opowiem ci o wszystkim. Spodoba ci się w tej szkole, Charlie.

– Nie spodoba mi się, bo tam nie pójde.

– Uroczy stary budynek w okolicach Leighton Buzzard.

– Idę spać.

– Jesteś pewny, kochanie? Że idziesz spać?

Jak się okazało, poszedłem spać dopiero po jakichś ośmiu minutach, kiedy Johanna w końcu uzyskała ode mnie niechętną zgodę, zresztą nie tylko.

Ponieważ nie umiem kłamać, muszę wyznać, że gdy żeniłem się z Johanną, bawiła mnie wizja walki o wpływy między nią a Jockiem. Jednakże Jock uległ czarowi Johanny i stał się wręcz pionkiem w jej rękach, zgadywał jej najdrobniejsze życzenia. Gdybym w kawalerskich czasach zażyczył sobie śniadanie o wpół do pierwszej w nocy, Jock wezwałby taksówkę i wysłał mnie do najbliższego Lyons Corner House. Tamtego dnia jednak, kiedy przyniósł mi płatki, solonego wędzonego śledzia, cynaderki oraz potrawkę z ryby, ryżu i jaj, delikatnie spytał tylko, na którą godzinę madame życzy sobie lunch.

– Dlaczego tak dziwnie pomrukujesz, Charlie? – spytała przy nim Johanna. – Wydajesz odgłosy jak z wybiegu dla dużych kotów w zoo!

– To zapach śledzi przywodzi ci na myśl zoologiczną enklawę – zauważyłem, licząc, że usłyszy to Jock i poczuje się urażony.

Po pewnym czasie, obżarty potrawką z ryby, ryżu i jaj oraz opity mocną słodzoną kawą, ośmieliłem się wrócić do tematu szkolenia z zakresu działalności wywrotowej dla młodych kobiet, wyjaśniając stanowczo, że wszelka zgoda wydobyta ode mnie pod wpływem naturalnych blondynek nie ma mocy w świetle brytyjskiego prawa. A mówiąc w skrócie, dałem do zrozumienia, że nie

mam zamiaru pójść na ten kurs.

– Posłuchaj – próbowałem wytłumaczyć jej rozsądnie – całe to bzdurne, żalosne dzudo i karate, którego głupie baby uczą się na kursach wieczorowych, jest głównie warte. Kobiety uważają, że osiągają efekty, ponieważ gdy przyjmują te absurdalne postawy kung-fu, machają grubymi łapami w jeszcze absurdalniejszy sposób i wydają najbardziej już absurdalne dźwięki, przepłacany instruktor nie robi wykroku i nie zada im ciosu w brzuch, tylko spróbuje wykonać staroświecki prawy sierpowy, celując w ich uszminowane usta, no nie? Chociaż założę się, że czasami miałyby ochotę. Jednak powstrzymują go przed tym dżentelmeńskie zasady, głoszące, że nie bije się kobiet w czułe miejsca, które w przypadku dam obejmują wszystko. Sam nigdy nie rozumiałem tych przesądów, bo nie jestem rodowitym Brytyjczykiem, niemniej one istnieją.

Pospolity gwałciciel albo zwykły bandzior – ciągnąłem – nie ma takich skrupułów. Nie zaczeka grzecznie, żeby kobieta zamachała groźnie rękami, ani nie przerazi się wydawanymi przez nią orientalnymi dźwiękami. Po prostu zrobi krok do przodu i da swojemu obiektowi pożądaną prosto w zęby... nie zważając na to, jak cenną porcelaną wstawił babie dentysta... a następnie wymierzy jej podobny cios pod wcale niepoprawiane piersi. To niezawodna metoda. (Policjantki, oczywiście, znają kilka sztuczek, co oznacza, że tracą przytomność ze trzydzieści sekund

później i leżą trzydzieści dni dłużej w szpitalu). Moja rada dla każdej kobiety, która zostanie zaatakowana przez gwałciciela albo bandziora, jest taka – kontynuowałem. – W przypadku gwałciciela: czym prędzej położyć się na plecach, unieść nogi w powietrze i krzyczeć: „Weź mnie, weź mnie, pragnę cię!”. To zbije z tropu prawie każdego gwałciciela, zwłaszcza jeśli dama należy do tych, na które tylko on spojrzy drugi raz. Jeżeli nie da się nabrać na taką prostą sztuczkę, ale będzie dążył do celu, cóż, to trudno: leż spokojnie i staraj się dobrze bawić. Wybór jest prosty: krótkie i być może wcale nie takie straszne naruszenie nietykalności cielesnej – albo bolesne straty na urodzie i niewykluczona utrata życia. Bo w końcu komu brakuje kawałka napoczętego ciasta? W każdym razie nie próbuj powstrzymywać gwałciciela, bo jego adwokat z całą pewnością przekona wielu przysięgłych, że sama faceta sprowokowałaś, i proces będzie jeszcze bardziej bolesny niż sam akt zniewolenia.

W przypadku bandyty natychmiast oddaj mu torebkę... bo chyba nie jesteś taka głupia, żeby nosić w niej coś wartościowego... zrzuć buty i uciekaj. Biegnij szybko jak wiatr i krzycz głośno jak gwizdek parowca, tacy faceci nie lubią hałasu przy robocie. Moje długoletnie studia sztuki walki nauczyły mnie, że ucieczka jest niewątpliwie najbardziej efektywnym sposobem rozwiązywania konfliktów. Może nie wygrywa się dzięki niej bitew, ale oszczędza wielu

żołnierzy. Spytaj jakiegokolwiek włoskiego generała, jeśli uda ci się go wyłowić z siatki na włosy. Albo jeśli w ogóle uda ci się go złapać.

Wygłosiwszy te kilka dobrze dobranych słów, sięgnąłem po śledzia gestem wykładowcy, który chce pociągnąć łyk wody.

– Charlie – odezwała się łagodnie Johanna – nasza szkoła nie jest jak te wieczorne kursy dzudo. Sam się przekonasz, gdy do niej pójdziesz.

– Ależ, moja droga, czy nie powiedziałem wyraźnie, że nie pójdę do żadnej waszej cholernej szkoły? Muszę to powtórzyć? Nie pójdę do szkoły.

Tamtego wieczoru w drodze do szkoły zatrzymałem się w St. Alban's, żeby napić się piwka i kupić kilka płaskich półlitrowych butelek szkockiej, na wypadek gdyby na miejscu nie uznawali alkoholu. Zadzwoiłem także do Bluchera – po kłapie z zamachem przyznał, że może „bezpieczniej” będzie dać mi jednak numer telefonu i wyznaczyć „procedurę”, żebym mógł skontaktować się z nim w nagłej sprawie. Wykręciłem wyuczony na pamięć numer, odczekałem umówione dwanaście sygnałów, odłożyłem słuchawkę, odliczyłem trzydzieści sekund, po czym znowu wybrałem numer. Natychmiast rozległ się ciepły głos, który oznajmił: Towary Krajowe i Kolonialne – bardzo prawdopodobna historyjka, muszę powiedzieć.

– Czy mogę rozmawiać z tatusiem? – Zachichotałem,

rozbawiony tymi dziecinnymi bzdurami. – Z mamusią jest bardzo źle.

– Och, to niedobrze. Daleko jesteście?

Podaliśmy numer budki telefonicznej. Rozłączyłem się. Zapaliłem papierosa. Przed budką pojawiła się jakaś gruba wiedźma, spojrzała na mnie i znacząco wskazała zegarek. Nie spodobała mi się. Potem zastukała w szybę, pokazując garść drobnych i mówiąc coś do mnie. Zerknąłem na pieniądze i zacząłem rozpinąć płaszcz. Ale ona odeszła. Tymczasem zadzwonił telefon.

– Halo – usłyszałem w słuchawce głos Bluchera – tu tatuś. Z kim rozmawiam?

– Tu Willy – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

– O, cześć, Willy. Dzwonisz z bezpiecznego aparatu?

– Och, na litość boską. Niech pan posłucha. Jestem w drodze do jakiejś szkoły dla wywrotowców, nazywa się Dingley Dell ⁸, jeśli może pan w to uwierzyć. To w okolicy...

– Wiem, w jakiej okolicy. Jak się nazywa to coś, co wy, Brytyjczycy, nosicie, grając w krykieta?

– Nie rozumiem. Nosimy różne rzeczy, grając w krykieta.

– Mam na myśli to, co nosicie pod spodniami, no, żeby chronić klejnoty rodowe, rozumie pan?

– Chyba chodzi panu o suspensorium. Ale co to ma, do licha...? – Gdybym nie wiedział, że facet nie ma poczucia humoru, pomyślałbym, że robi sobie jaja.

– Czy w St. Alban's jest sklep sportowy?

– A skąd mam wiedzieć? Nawet jeśli jest, o tej porze na pewno będzie już zamknięty.

– Cholera, to fatalnie. Wobec tego powodzenia, Willy. Będziemy w kontakcie. – Rozłączył się.

Odjechałem, zastanawiając się gorączkowo. Targały mną różne emocje i nie było wśród nich radości.

11. Mortdecai dostaje cięgi i wyrzuca ze swojego słownika określenie „słabsza płeć”

Czytałem, nim oczy skryły się pod powiekami,
Legendę o dobrych kobietach, która była śpiewana
przez zorzę zaranną pieśni przed wiekami,
za której sprawą jego muzyka była w dole słyszana.

A Dream of Fair Women

Z tego, co mogłem zobaczyć o zmroku, Dingley Dell mimo niedorzecznej nazwy był całkiem dostojną budowlą. Gdy jechałem dostojnym podjazdem, jego i mnie zalała nadmierna liczba dostojnych świateł o mocy pół miliona watów. U stóp schodów powitała mnie przysadzista dziewczyna w bryczesach.

– Pan Mortdecai? O, to super. Kiedy znajdzie się pan bezpiecznie za drzwiami, będę mogła spuścić psy. A przy okazji, mam na imię Fiona. Proszę zostawić kluczyki w samochodzie, odprowadzę go na parking.

Sam wniosłem bagaże po schodach. Przed drzwiami rysowała się w świetle sylwetka potężnie zbudowanego kamerdynera.

– Witamy w szkole, panie Mortdecai – odezwała się ta postać głosem, który wydał mi się nieco zniewieściały.

– Dobry wieczór – odparłem.

– Właśnie mamy porę kąpieli. Nie przebieramy się do kolacji. Pozwoli pan, że wezmę pański kapelusz i płaszcz.

Kamerdyner wziął je ode mnie razem z parasolem. Gdy z wdzięcznością ruszyłem ku wielkiemu kominkowi z płonącym drewnem, rzucił się na mnie, wykonując zamach parasolem i starając się walnąć w dolną szczękę. Oczywiście wykonałem unik, bo uniki to moja specjalność i jestem w nich naprawdę dobry, po czym odebrałem facetowi broń, wyłamując mu kciuk, a następnie ją opuściłem, żeby... (Ale poczekać, muszę coś wyjaśnić: specjaliści nigdy nie zamachują się laskami, parasolkami i tak dalej, bo to z założenia niezręczny atak, łatwy do odparcia i mało skuteczny, chyba że laska jest ciężka, co jednak sprawia, że atak staje się jeszcze bardziej niezgrabny. Nie, taka prowizoryczna broń wymaga wypadu do przodu ze sztywną ręką w kierunku brzucha ofiary; nawet jeśli okuciem nie przebije się skóry, na pewno zdefasonuje się wątrobę, śledzionę albo przeponę w straszliwie bolesny sposób, często nawet śmiertelnie). Więc, jak mówiłem, opuściłem parasol, żeby wykonać wypad przed siebie ze sztywną ręką wymierzoną w przeponę kamerdynera – trik mogący wyrządzić dużą krzywdę nawet najtwardszemu napastnikowi – ale w ostatnim ułamku sekundy, ku swojemu zdegustowaniu, zauważyłem, że on, czyli kamerdyner, to w istocie

kamerdynerka, i straciłem rozpęd, dźgając powietrze tuż obok jej biodra. Ona *en passant* chwyciła parasol, silnie odepchnęła go jeszcze dalej, tak że trzymając go, potknąłem się i znalazłem przed nią, trafiając na jej uniesione kolano. Ponieważ jednak zostało uniesione chwilę za późno i zdążyłem przyjąć cios na klatę, to przelatując obok niej, chwyciłem ją za kostkę i pociągnąłem. Nie puszczając kostki, okręciłem ją energicznie, tak że kobieta, padając na ziemię, obróciła się kilka razy i wylądowała z satysfakcjonującym łoskotem na boazerii. Twarzą do dołu. Postawiłem stopę na jej krzyżu.

– Leż spokojnie – warknąłem ze złością, bo byłem zły. – Leż, bo inaczej zmiażdżę ci nerki i zrobię z nich pomidorową papkę.

– Świetna robota, Mortdecai, świetna! – zagrzmiął czyjś głos z balkonu dla orkiestry. – Ethel, możesz już wstać... ale masz w tym tygodniu dodatkowe zajęcia z walki wręcz. To był bezsensowny atak, chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

Właściciel głosu schodził po szerokich schodach. Okazało się, że to kobieta o byczym karku i nogach prostych jak słupy. Podeszła do mnie z wyciągniętą jowialnie ręką. Zanim zdążyłem ją uścisnąć, dłoń uniosła się w górę i niczym żelazne szczytce chwyciła mnie za kciuk, boleśnie go wyginając. Oczywiście pamiętałem, co się robi w takiej sytuacji: usiadłem, wykonałem przewrót w tył i kopnąłem ją w rękę obiema

stopami.

– Doskonale, doskonale! – huknęła. – Niewiele pana nauczę na zajęciach z brzydkich zagrań. Widzi pan, panuje tu surowa dyscyplina i musi pan być nieustannie czujny, *sur le qui-vive*, jak to mówią. Dla własnego dobra, rozumie pan. Ale ponieważ to jest pańska pierwsza noc tutaj, aż do śniadania może się pan nie obawiać już żadnych niespodzianek. Słowo honoru.

Rozluźniłem się. Wtedy szybko wymierzyła mi cios w brzuch, tak że łapiąc oddech, upadłem na dywan.

– Lekcja numer jeden działalności wywrotowej – odezwała się uprzejmie. – Nie ufać nikomu. Nigdy. Nie, proszę, tylko bez rynsztokowego słownictwa, niektóre z dziewcząt mają delikatne uszy. – Wstałem z trudem, planując następny ruch. – O nie, panie Mortdecai, mnie nie wolno atakować, jestem tu dowódcą. Należy się do mnie zwracać „proszę pani”. Ma pan broń?

Snobistycznie udałem, że nie rozumiem.

– Śrutówkę? – zapytałem twardo. – Nie, nie przywozłem jej ze sobą. Nie powiedziano mi, że będziecie mnie tu uczyć strzelania.

– Miałam na myśli, jak pan dobrze wie, krótką broń... pistolet, jeśli pan woli.

– Nie. Zazwyczaj nie przyjeżdżam uzbrojony do wiejskich posiadłości, do których mnie zaproszono. – Mówiłem tak wyniośle, jak tylko potrafiłem.

– Więc musimy pana uzbroić. Co pan lubi? Ja zwykle noszę przy sobie to... – Tu wyjęła okropną starą armatę.

– Ale jestem staroświecka, rozumie pan.

Uśmiechnąłem się szyderczo.

– Wojskowy webley kalibru trzydzieści osiem na szkielecie czterdzieści pięć – rzuciłem szyderczo. –

Powinien być już w muzeum. Kopie jak... kamerdynerka.

– Może – odparła pojednawczo. – Ale mnie odpowiada.

Niedbale wypaliła z pistoletu. Pocisk przeleciał obok mojego ucha i trafił w polano na kominku, które strzeliło z efektem pirotechnicznym. Usłyszałem dzwonienie w uszach, a z każdego mojego pora niemal trysnęła adrenalina.

– Jaką broń by pan chciał, panie Mortdecai?

Pozbierałem się do kupy.

– Smith and wesson – odpowiedziałem – trzydziestkęósemkę special airweight.

Skinęła aprobująco głową i podeszła do telefonu wewnętrznego.

– Rusznikarz? A, Nancy. Jeden airweight, jedno pudełko nabojów grafitowych, jedno litych, cztery zapasowe magazynki, zestaw do czyszczenia i kabura kieszeniowa.

– Poproszę ramienną – powiedziałem stanowczo, bo moja figura nie pozwala na noszenie pistoletu przy pasie.

– Nie, Mortdecai, będzie pan tu chodził w mundurze polowym, nie ma czasu na rozsuwanie zamka przy

bluzie.

Pojawiła się pulchna kobieta, niosąc dwa kartonowe pudełka. Pistolet znajdował się w firmowym opakowaniu. Oddałem go wyniosłym gestem.

– Najpierw proszę go wyczyścić – powiedziałem równie wyniośle – a skoro już przy tym jesteśmy, niech pani odpiłuje tę głupią muszkę.

– Tu każdy sam dba o swoją broń – warknęła kobieta.
– A muszkę może pan odpiłować rano, gdy zgłosi się pan do raportu w zbrojowni. Jeśli uzna pan, że jest niepotrzebna.

– Proszę wyczyścić broń zaraz, Mortdecai – poleciła komendantka. – I załadować pociski grafitowe. Ulegają pulweryzacji w kontakcie z celem, jak pan wie, są więc nieszkodliwe, chyba że pył dostanie się do oka. Ma pan czas wolny do kolacji.

Ethel, kamerdynerka, zaprowadziła mnie do mojego pokoju, a kiedy odstawiałem walizkę na podłogę, cmoknęła mnie soczyście w głowę, tam, gdzie trochę przerzedzają mi się włosy. Popatrzyłem na nią zaskoczony. Wtedy pokazała mi język.

– Nie zrobił mi pan żadnej krzywdy – powiedziała, wydymając usta.

– Przykro mi – odparłem dwuznacznie.

Pokój był iście spartański: żelazne łóżko, twardy materac, żadnej pościeli ani ogrzewania, dwa szorstkie koce, prosty stół i krzesło kuchenne. Bywałem już w przytulniejszych celach więziennych. Otworzyłem

jedną z piersiówek i czyszcząc pistolet, przyssałem się do niej z zapalem. Niebawem oboje, mój nowy gnat i ja, byliśmy „zwarci, gotowi i naoliwieni”, jak mawialiśmy kiedyś w woju. Załadowałem magazynek grafitowych pocisków, ale na koniec przezornie wsadziłem do ostatniej komory lity nabój.

Wychodząc spod prysznica, usłyszałem głośny skrzek dochodzący z ukrytego głośnika:

– Mortdecai... ruchomy cel za oknem, strzelaj!

Wzruszając jednym ramieniem, wyjąłem pistolet spod poduszki, odsunąłem zasłony i otworzyłem skrzydło okienne, wszystko to w okamgnieniu. Dostrzegłem niewyraźny cel wielkości człowieka, toczący się nierówno po trawniku. Odciągając bezpiecznik, nacisnąłem spust. Rozległo się głośne pstryknięcie.

– Lekcja druga, Mortdecai – zaskrzeczał głośnik – zawsze miej broń załadowaną i w zasięgu ręki.

– Była załadowana, do jasnej cholery – warknąłem.

– Wiem. Wyjąłem magazynek, kiedy byłeś pod prysznicem. Bardzo nieostrożne z twojej strony.

– Jak, do licha, mam z pistoletem brać prysznic?! – wrzasnąłem.

– Torebka na gąbkę – zwięźle podsunął głośnik.

Kiedy rozległ się gong wzywający na kolację, ostrożnie udałem się na dół z krzepiącą świadomością, że jestem uzbrojony. Nie ma nic lepszego na kompleks kastracyjny niż ładny nowiutki pistolet. Po drodze jednak nikt się na mnie nie rzucił. Mając świeżo

w pamięci ascetyzm swojej nowej kwatery, z lękiem myślałem o kolacji, ale czekała mnie przyjemna niespodzianka. Zupa z królika, bazant z jabłkami w potrawce *à la Normande*, suflet i jedna z tych pikantnych przystawek, które przyrządzają kobiety, a do tego kilka decylitrów czegoś, co smakowało zupełnie jak burgund.

– Wyśmienite – powiedziałem w końcu – naprawdę pyszne. – I uśmiechnąłem się do innych biesiadników, siedzących przy długim stole w jadalni. Znajdowało się wśród nich dwóch czy trzech milczących mężczyzn, ale większość pracowników i studentów stanowiły kobiety, od sześciu do ośmiu niezaprzeczalnie ponętnych.

Podążając za moim spojrzeniem, komendantka rzuciła niedbale:

– Może chciałbyś, żeby dziś wieczorem rozgrzała cię któraś z dziewcząt?

Zachłysnąłem się, czego nie należy robić przy picciu brandy, bo leci nie tam, gdzie trzeba. W moim przypadku poleciała na koszulę.

– Kilka z nich – podjęła z roztargnieniem – będzie na pewno pobudzonych... tyle tej przemocy w telewizji. Nie? Może to i rozsądnie z twojej strony. Lepiej, żebyś zachował siły na jutro.

Nerwowo skupiłem uwagę na siedzącej po mojej prawicy kobiecie w średnim wieku. Okazało się, że to jedna z tych męczących entuzjastek astrologii, jakie spotyka się obecnie na każdym kroku. Zapytała mnie,

pod jakim znakiem zodiaku się urodziłem.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – odparłem, swobodnie okazując zniecierpliwienie i znudzenie.

– Och, musi pan wiedzieć! Którego dnia się pan urodził?

Wypadałoby odpowiedzieć, zwłaszcza że nie pytała o rok, ale korzystając z okazji, wygłosiłem jej swój popisowy wykład o wyjąławiającej głupocie tych wszystkich, którzy w trzeciej ćwierci XX wieku wierzą, że przyjdzie na świat w określonym czasie i miejscu przesądza o charakterze człowieka i całym jego życiu.

– Cóż – perorowałem – to miałoby znaczyć, że jedno z trojczków zostanie przejechane przez autobus w tym samym czasie co dwójka jego rodzeństwa! Robert Louis Stevenson napisał kiedyś zdanie, które stało się moim kredo: „Drogie dzieci, nie wierzcie w nic, co uwłacza waszej inteligencji”. To, że przeczytałem je w odpowiednim wieku, ukształtowało mnie, jestem pewien, bardziej niż ta chwila... eee... czterdzieści lat temu, w której wzięta akuszerka zerknęła na wątpliwie wiarygodny zegar i uświadamiając sobie, że tego dnia ma jeszcze jedną fuchę, postanowiła oszczędzić mojej matce dalszych nerwów i zażądała kleszczy. Chyba pani to rozumie?

Ona, to znaczy entuzjastka astrologii, patrzyła na mnie z tą urzeczoną miną, jaką robią kobiety, gdy chcą pochlebić nadętym idiotom. Ponieważ jako nadęty idiota mam pewne doświadczenie, wiem, co ta mina oznacza:

że kobieta zupełnie nie słucha, tylko czeka, żebyś przestał kłapać jadaczką i żeby ona mogła powiedzieć swoje.

(Tak się składa – jeśli musicie wiedzieć – że urodziłem się ostatniego dnia września, bo mój ojciec spłodził mnie w noc Bożego Narodzenia roku, którego wolałbym nie ujawniać. Wiem to, gdyż sam powiedział mi to w obecności matki i kilku jej przyjaciółek – taki był. Kiedy zobaczył, że rzednie mi mina, zrozumiał to opacznie i wyjaśnił przepraszająco, że był wtedy pijany. Matka nie odzywała się potem do niego przez całe tygodnie, ale mało kto zwrócił na to uwagę, ponieważ wówczas już w ogóle z nim nie rozmawiała. Była kobietą wielkiej urody i godności, choć nieprzyjemną pod każdym innym względem, jaki tylko potraficie i jakiego nie potraficie sobie wyobrazić).

Kiedy zakończyłem tyradę, zdradzając łaskawie swoją datę urodzenia, astrolożka wpadła w zachwyty.

– Więc jest pan Wagą, och, to cudownie! Niech pan zgadnie, spod jakiego znaku ja jestem. No proszę!

Przetrzęsnałem w pamięci znaki zodiaku.

– Panna?

– Głuptas z pana – odparła, lekko uderzając mnie po rękę. – Urodziłam się pod znakiem Barana! A my, Barany, jesteśmy stworzone dla Wag.

Cóż, nie mogłem przecież jej poprawiać, więc tylko spojrzałem na nią ostrożnie. Jak na starszą panią twarz miała jeszcze niezłą, ale jej niegdyś kosztowna torebka,

jak również szyja i biust z krokodylej skóry uzyskałyby niezłą cenę w fabryce walizek Gucciego. „Nieprzydatne w podróży” – przyszło mi na myśl [9](#).

– Och, proszę przestać – odparłem z pewnym onieśmieleniem.

– Nie, nie... muszę już iść, nieprawdaż, pani komendant? Dobranoc, droga Wago. A przy okazji... mam na imię Kitty... gdyby chciał pan wiedzieć. – Po czym wstała od stołu, uśmiechając się do mnie.

Ludzie z takimi zębami nie powinni się uśmiechać. Przez krótką, mrozącą krew w żyłach chwilę bałem się, że poszła do mojego pokoju, aby czekać tam na mnie jak baran ofiarny.

– Proszę przestać zgrzytać zębami, panie Mortdecai – nakazała komendantka, gdy tylko Kitty znalazła się poza zasięgiem słuchu. – To bardzo zdolna osoba, tylko ma słabość do tych astrologicznych bzdur.

Nie mogłem jednak powstrzymać zgrzytania.

– Gdyby tylko – zgrzytnąłem – takie zdolne osoby poświęciły chwilę, aby zaprowadzić trochę logiki w tym, co nazywają myśleniem... Gdyby tylko...

– Gdyby tylko – zadrwiła komendantka. – Gdyby tylko! Takie teksty dzieci zasuwiają swoim misiom. Gdyby ciocia miała wąsy, byłaby wujaszkiem. Albo lepiej, gdyby ciocia miała jaja...

Popatrzyłem na nią gniewnie, bo w końcu nie byliśmy w ambasadzie australijskiej.

– Wszystkie moje ciotki – odpowiedziałem

z przyganą – mają jaja. Przypominam sobie doprawdy niewiele takich, które nie miałyby ich w komplecie. Nie twierdę, że jakkolwiek obmacywałem, ale gotów jestem postawić każdą sumę w stosunku siedem do trzech, że...

– Wystarczy! – zakomenderowała komendantka. – Wszelkie zakłady są tu zakazane, proszę pamiętać, że nie jest pan w mesie WRNS [10](#).

Chętnie postawiłbym też pięć do dwóch przeciwko temu twierdzeniu, ale zachowałem się jak tchórz i uprzejmie ją przeprosiłem. Potem oznajmiłem, że jestem okropnie zmęczony, i poprosiłem o pozwolenie na odejście od stołu biesiadnego. (Zauważyłem, że karafka z brandy jest mocno zakorkowana).

Marzyłem o tym, żeby walnąć się do łóżka na kilka godzin, ale okazało się, że muszę jeszcze wziąć „pracę domową” z biura komendantki. Było to naręcze skserowanych broszur poświęconych temu, jak zabijać/okaleczać/zwodzić/kłamać/oszukiwać/korumpować się i robić te wszystkie okropne rzeczy innym ludziom. Druga sterta kserówek mówiła o tym, jak rozpoznawać samoloty/broń/okręty/pociski/agentów CIA/narkotyki oraz fałszywe pieniądze i jednocześnie radzić sobie na nieprzyjaznym terenie/przeżyć na morzu/zwieść przesłuchujących i opanować pięć prostych sposobów samobójstwa (trzy prawie bezbolesne).

Wymamrotałem pod nosem krótkie słowo nawiązujące do ukrytych atrybutów ciotek.

– Niech się pan rozpogodzi, Mortdecai! – ryknęła komendantka. – Będzie pan tu tylko trzy tygodnie, a najgorsze jest pierwsze dwadzieścia dni! – Musiała podłapać ten tekst z komiksu *Beano*.

– Ha, ha – odpowiedziałem grzecznie. – Dobranoc... eee... proszę pani.

– Dobranoc... och, chwilunia... łap! – Po czym rzuciła we mnie bibularzem.

Cóż, nie urodziłem się wczoraj, czego nie kryję. Pozwoliłem bibularzowi upaść, nie próbując go łapać, za to błyskawicznie dobyłem pistolet i wymierzyłem go w jej równik, zanim zdążyła wyciągnąć swojego starego webleya.

– Nieźle, Mortdecai! – zapiała. – Piątka z plusem!

– Stara sztuczka – skwitowałem, zamykając za sobą drzwi.

Jedyna przyjemność, jaka spotkała mnie tamtego dnia, nastąpiła dwie minuty później. W moim pokoju nie było nikogo: żadnych baranów ofiarnych, żadnych zidiociałych Amazonek, które chciałyby wyleczyć się z kompleksu kastracji, waląc mnie w łeb czy inne czułe miejsce. Ktoś jednak był tam wcześniej, bo zamek mojej walizki był otwarty – spodziewałem się tego, bo każdy uczeń... co tam uczeń, każdy tragarz z lotniska potrafi otworzyć zwykłą walizkę, i to w mig, używając jedynie zestawu szczelinomierzy, które można kupić w pierwszym z brzegu warsztacie samochodowym. Nie

przejąłem się tym, ponieważ mniejsza walizka to już twardszy orzech do zgryzienia, ma zamek szyfrowy z trzema cylindrami, każdy na dziesięć cyfr. Nie potrafię powiedzieć na poczekaniu, ile to stwarza kombinacji, ale przypuszczam, że przeciętnej pokojówce znalezienie tej właściwej zajęłoby milion lat. Nawet przeciętna pokojówka nie ma tyle czasu do stracenia, chyba że jest wyjątkowo brzydka i w hotelu nie przebywają akurat żadni zmęczeni biznesmeni.

– Błąd, Mortdecai – zaskrzeczał głośnik, kiedy z większej walizki wyjąłem piżamę. – Błąd. Lekcja numer cztery.

– Trzy – burknąłem.

– Nie, cztery. Nigdy nie zostawiaj żadnej kompromitującej rzeczy w walizce, którą łatwo otworzyć.

Pozwoliłem sobie na uśmiezek zadowolenia.

– Wszelkie kompromitu... to znaczy intymne rzeczy znajdują się w drugiej, mniejszej walizce.

– Miałam na myśli właśnie tę drugą, mniejszą walizkę – oświadczył głośnik.

Sprawdziłem mniejszą walizkę, tę nie do otwarcia. Ona także była otwarta. Kiedy się na nią gapiłem, znienawidzony głos zaskrzeczał znowu.

– Nasze badania wykazały, że ludziom w średnim wieku trudniej przychodzi zapamiętanie przypadkowych liczb, używają więc takich, jakich raczej nie zapomną. Jeśli już musi pan stosować jako szyfr swoją datę

urodzenia... trzydziesty dziewiątego, zgadza się?... to przynajmniej niech pan jej nie zdradza takim osobom jak Kitty. To była lekcja numer trzy.

Mruknąłem coś niewyraźnie.

– Próbowałam raz czy dwa tego, co pan sugeruje, Mortdecai. Żadna przyjemność, w każdym razie niewielka.

– Wyjeżdżam – odparłem kategorycznie. – I to zaraz.

– Cóż, to nie będzie takie łatwe. Wszystkie kwatery studentów są o określonej porze automatycznie zamykane i nie można ich otworzyć aż do czasu pobudki. Nie, niech pan nie patrzy na okno. Na zewnątrz kręci się sfora dobermanów Fiony, a dobermany są bardzo krwiożercze. Musiałby pan zastrzelić całą sforę, zanim dotarłby pan do ogrodzenia pod napięciem, ale Fiona bardzo by się zezłościła, gdyby pan skrzywdził któregoś z jej pupili. Żyje tylko dla tych psów. To słodkie dziecko, ale ma porywczy temperament i nosi przy sobie starego obrzyna.

Zacząłem pojmować, że głośnik usiłuje mi coś powiedzieć. Usiadłem na brzegu łóżka, bo zawsze lepiej wściekam się na siedząco. Skąd – zadałem sobie pytanie – ta stara lesba wie, że patrzę tęsknie na okno? Mój wzrok padł na duże lustro, przez które można było zobaczyć łóżko i drzwi do łazienki. Zgasilem światło, podkradłem się do niego i przytknąłem do jego tafli nos. Jasne, można było przez nią dostrzec nikłe światełko, blask żarzącego się papierosa, którym

zaciągała się podstarzała skautka. Jeszcze chwila i znalazłem zestaw pierwszej pomocy, obandażowałem lustro, po czym zapaliłem światło.

– O, dobra robota, Mortdecai, jednak będą z ciebie ludzie – odezwał się głośnik. – To miała być lekcja numer pięć, gdy już dziewczyny by sobie popatrzyły, jak wchodzisz do śpiwora, ha, ha!

Nie raczyłem odpowiedzieć. Pomaszerowałem do łazienki, żeby z wściekłością wyszorować zęby i ukryć jeden drobiazg czy dwa z tych, których nie było w żadnej z walizek. Na lustrze widniała nagryzmołona szminka wiadomość: „Proszę nie chować niczego w rezerwuarze. To tylko przysparza hydraulikowi roboty”.

Leżąc w niewygodnym łóżku, chciałem w ramach pracy domowej przestudiować najcieńszą z broszur, tę zatytułowaną *Pięć prostych sposobów na samobójstwo*, bo harmonizowała z moim nastrojem. Właśnie z drzeniem przedzierałem się przez akapit o tym, jak przegryźć sobie dużą żyłę u nasady języka i wdychać wypływającą krew, aż nastąpi uduszenie, gdy zgasło światło.

„A niech je” – pomyślałem i ułożyłem się do snu.

12. Mortdecai w końcu sobie uświadamia, że nie jest na wieczornym kursie samoobrony dla starszych pań

Bracia, chwilkę mnie zostawcie,
ledwie świt wśród niebios smug!
Pozostawcie, a gdy trzeba,
niech zawoła mnie wasz róg.

Zamek w Locksley,
przeł. Jan Kasprowicz

Nad ranem, w półśnie, kiedy człowieka nawiedzają najkoszmarniejsze i najprzyjemniejsze sny, mój wypoczynek zakłóciły wizje dominujących kobiet: Katarzyny Wielkiej, pani Bandaranaike, erynii, Indiry Gandhi, Lajli Chalid, Ulrike Meinhof, Marion Coyle, Fusako Shigenobu, Walkirii, Eleanor Roosevelt, Ermintrudy od Krwawego Miecza, Goldy Meir, Carrie Nation, cesarzowej Liwii... i wszystkie przedefilowały przed moim wewnętrznym okiem, perorujące, wyrzekające, machające zakrwawionymi po łokcie rękami. Liczyłem, że pocieszenie przyniesie mi wizja pani Margaret Thatcher, bo byłem zatwardziałym torysem, gdy ku mojej wielkiej uldze obudził mnie

szczęk zamka z regulatorem czasowym w drzwiach.

– Pobudka, pobudka, Mortdecai – zaskrzeczał zniecierpliwiony głośnik. – Trzy minuty na prysznic, jedna na szczotkowanie zębów, dwie na golenie. Za osiem minut odbierze pan od kwatermistrzynie dres, a za dziesięć stawi się w sali gimnastycznej. Jakies pytania?

– A herbata? – zapytałem niepewnie.

– Nie ma mowy, Mortdecai. Wuef. Dobrze ci zrobi. Możesz go sobie odpuścić, ale jedyne wejście do sali śniadaniowej prowadzi przez salę gimnastyczną.

Wuef był piekłem. Kazano mi wykonywać idiotyczne pajacyki, wspinać się na drabinki i z nich schodzić, skakać przez kozły albo na kozły i robić pompki. Potem rzucano we mnie monstrualnymi piłkami lekarskimi. Dyszałem i stękałem, aż w końcu rozległ się dzwonek i poszliśmy wszyscy pod prysznice. Były to wspólne prysznice. Kitty puściła do mnie oko, namydlając swój walizkowy tułów, a młodsze dziewczyny płatały mi różne psikusy.

Śniadanie jednak było wyborne. Należało do tych pysznych wiejskich śniadań, podczas których unosisz pokrywę srebrnych półmisek na kredensie i znajdujesz pod nimi jajka na twardo, cynaderki, kotlety, bekon, wędzone śledzie, łupacza, podsmażaną szynkę, grillowanego indyka, grillowane pomidory, a kiedy już usiądziesz przy stole, podają ci dwa gatunki herbaty, kawę, dżem i trzy rodzaje marmolady, potem zaś wciąż donoszą gorące tosty. Podjadłem sobie, bo

choć za tym wszystkim nie przepadam, wiedziałem, że muszę zachować siły, rozumiecie.

– Ostatni raz siedzi pan przy mnie u szczytu stołu – oznajmiła komendantka.

Wydałem odgłos żalu, stłumiony przez chrzęst grzanki (posmarowanej ciemną marmoladą z dużymi kawałkami owoców, będącą specjalnością Oksfordu), którą akurat pałaszowałem.

– Tak – podjęła – przed lunchem przyjedzie kolejny gość, który zasiądzie po mojej prawej ręce, bo to przywilej nowo przybyłych.

Otworzyłem usta, żeby rzucić żart w swoim stylu, ale czym prędzej go zaniechałem.

– Rozumiem – zabulgotałem tylko, splukując krnąbrny kęs grzanki kolejną filiżanką mocnej kawy.

– Proszę pań! – nagle wrzasnęła, zupełnie ignorując rachitycznych mężczyzn przy stole. – Proszę pań! Kapitan Mortdecai stawia się do raportu w zbrojowni za pięć minut, żeby przestrzelić nowy pistolet. Zgodnie z panującą w tym przybytku tradycją, kiedy stamtąd wyjdzie, stanie się na dwadzieścia cztery godziny zwierzyną łowną.

Wszyscy się zaśmiali, zaczęli wiwatować i tak dalej, a w gardle waszego Mortdecaia uwiązał zmierzający właśnie do żołądka kawałek grzanki.

– ? – zapytałem uprzejmie.

– To znaczy – wyjaśniła uprzejmie komendantka – że od dziesiątej dziesięć będzie pan wystawiony na strzał.

To taki nasz zwyczaj dotyczący nowych studentów, niezależnie od ich wieku, płci czy wagi. Ujmę rzecz tak: o wymienionej godzinie nastąpi otwarcie sezonu na C. Mortdecaia. Pańscy koledzy i koleżanki będą starali się nie wyrządzić panu poważniejszej krzywdy, bo to jedynie zabawa, rozumie pan. Niektórzy z pańskich poprzedników przeżyli takie polowanie, tracąc tylko ząb albo dwa.

Popatrzyła na masło topiące się na jej grzance i wydała westchnienie, które mogło być wyrazem nostalgii za lepszymi czasami – czasami, kiedy to ani odrobina masła nie ważyła się wsiąknąć w grzankę bez pisemnego rozkazu komendantki.

– Powodzenia, Mortdecai – rzuciła lekceważąco.

Nie przyszła mi na myśl żadna riposta.

To był zły dzień, fatalny dzień. (Jak skompresowana wersja najgorszego pierwszego semestru w czwartorzędnej szkole prywatnej, kiedy jesteś nękanym i prześladowanym, a nie możesz zamknąć się w toalecie i wypłakać, bo w toaletach nie ma zamków, i cały wolny czas nieprzeznaczony na naukę poświęcasz na pisanie rozpaczliwych, zalewanych łzami listów do rodziców, błagając ich, żeby cię stamtąd zabrali, i wiedząc z góry, że odpowiedzą w żartobliwym tonie i będą przywoływali takie frazesy jak „kształtowanie charakteru” i tym podobne). Kiedy powiem, że najprzyjemniejsze dwie godziny pierwszego dnia

w Terror College spędziłem wysoko na gałęzi daglezi czy innego ohydno czwartorzędnego drzewa iglastego, ostrzeliwany grafitowymi pociskami, to chyba wystarczy.

Nie straciłem ani jednego zęba, ale na kolacji pokazałem się z sińcem pod okiem, który stał się powodem niewybrednych dowcipów. Nic sobie z nich nie robiłem, gdyż kolacja znowu była wyśmienita, stanowiła balsam na wszystkie rany. Wprawdzie próbowano mi obrzydzić *navarin d'agneau*, wspominając, że teraz moja kolej na zmywanie naczyń, ale w tym punkcie zaparłem się kopytami. Są pewne rzeczy, których biały człowiek się nie tyka. Błagać o łaskę uzbrojone lesbijki, siedząc na daglezi czy innym iglaku – zgoda. Ale po nich zmywać – nie ma mowy.

Honorowe miejsce obok komendantki było puste przez całą kolację. Nowy gość – albo ofiara – nie wszedł na pokład. Byłem zadowolony, że tam nie siedzę i nie muszę prowadzić uprzejmej konwersacji z tą straszną babą ani odwracać wzroku od odrażającego i zdradliwego biustu Kitty. Na nowym miejscu, w połowie długości stołu, miałem po jednej stronie zabawnego, wykształconego Amerykanina, który powiedział, że mogę uważać go za kogoś w rodzaju sinologa, a po drugiej – chyba najponętniejszą dziewczynę w tym przybytku. Chichotała ujmująco i miała najbardziej zniewalające cycki, jakie tylko

możecie sobie wyobrazić; wprost rozsadały bluzkę. Obiecała, że wyręczy mnie w zmywaniu naczyń, a potem wyznała, że po południu trafiłem ją grafitowym pociskiem i zrobiłem jej ssstrasznego siniaka, którego nie mogła mi pokazać, bo na nim siedziała.

Kiedy więc korek utknął stanowczo w szyjce karafki z brandy, wymówiłem się zmęczeniem – co nie miało się z prawdą – i powłócząc nogami, poszedłem do swojego pokoju. Następnny ranek miał być poświęcony teorii, co oznaczało, że zanim udam się na spoczynek, muszę przyswoić sobie jedną czy dwie broszury instruktażowe. Najpierw jednakowoż przyswoiłem sobie potężny łyk whisky z jednej z piersiówek. Potem wybrałem broszurę *Naśladownictwo rasowe*, z którą poszedłem do łóżka. Rozdział pod tytułem *Somatyczno-etniczne wartości środowiskowe* wydawał mi się odpowiednim środkiem nasennym, ale znowu się pomyliłem – po raz jedenasty tego dnia. Wartości te bowiem okazały się zaiste fascynujące i przeczytałem o nich z żywym zainteresowaniem. Zdaje się, że chodzi w nich o to, co etolodzy nazywają *Umwelt* – czyli obszar bezpieczeństwa danego zwierzęcia, *id est* istoty ludzkiej. Otóż wszyscy rodzimy się z rasowym poczuciem własnego terytorium – albo je sobie przyswajamy. Poza tym wewnętrznym kręgiem „prywatności” znajduje się jeszcze zewnętrzna sfera „życzliwości”, którą inni mogą naruszać za naszym pozwoleniem albo obopólną zgodą. Dlatego jeśli rozmawiacie z kimś, kogo chcecie

poniżyć, nie robiąc tego werbalnie, sadzacie go na tyle daleko od siebie, żeby czuł się nieswojo i musiał mówić nieco głośniej, niż mu to odpowiada – a żebyś ty z kolei mógł groźnie podnieść głos. Tej sztuczki większość potentatów uczy się jeszcze na stanowisku kierownika – i nie była ona najmniej skuteczną tajną bronią Hitlera. Poproś natomiast faceta, żeby stanął za twoim biurkiem lub usiadł niedaleko ciebie, a od razu poczuje się dopuszczony do twojego kręgu komfortu oddechowego.

Na podobnej zasadzie, jeśli udajecie Araba albo Lewantyńczyka, powinniście rozmawiać z innymi Arabami czy też Lewantyńczykami, niemal dotykając ich brzuchem. Jeśli cofniecie się, uciekając przed wonią czosnku albo ubytków w uzębieniu, wzbudzicie podejrzenia, niezależnie od przebrania czy choćby mistrzowskiej znajomości języka.

Przeczytałem też o wielu innych fascynujących trikach, niektórych już mi znanych. Wiedziałem na przykład, że nie należy przykładać rąk do cudzych turbanów, co nigdy zresztą mnie nie nęciło. Wiedziałem, że muzułmanie nie tykają jedzenia lewą ręką, nie miałem jednak pojęcia, że dotknięcie nią niemal wszystkiego innego może zostać uznane w pewnych okolicznościach za śmiertelną zniewagę. (Muzułmanie posługują się lewą ręką w jednym celu. Braki wody na pustyni, rozumiecie). Wiedziałem również, że u Chińczyków uśmiech z zamkniętymi ustami znaczy: „Nie pojmuje”, ale nie miałem pojęcia, że szerszy

uśmiech to: „Wprawiasz mnie w zakłopotanie”, a uśmiech odsłaniający zęby znaczy jeszcze coś innego. Miałem przeczucie, że chińskie restauracje już nigdy nie będą dla mnie takie same. (W tamtym czasie byłem stosunkowo niewinny; gdybym mógł spojrzeć w przyszłość, w jednej chwili zwałbym przez okno, gotów zmierzyć się z dobermanami i prądem wzdłuż ogrodzenia).

Wciąż dumiałem nad tymi pożytecznymi mądrościami ludowymi, gdy zgasło światło, a trzydzieści sekund później lesbijski głośnik zapowiedział, że za chwilę zgaśnie światło.

Ułożyłem się do snu, wyobrażając sobie, gdzie moja czarująca sąsiadka z kolacji ma siniaka, o którym wspominała. Gdybym był młodszy i mniej skonany, takie wizje nie dałyby mi zasnąć.

13. Mortdecai odkrywa z niesmakiem, że stawką w tej grze nie są spinki do włosów ani nawet pieniądze

Ze świętoszkami za stróżów, wdowami za dziekanów,
I słodkimi absolwentkami o złocistych włosach.

The Princess

Przedpołudniowe zajęcia z teorii przebiegły znośnie. Kiedy przyszła moja kolej, całkiem przekonująco odegrałem Lewantyńczyka, bo wcześniej wyprosiłem w kuchni czosnek. Instruktorka wpadła w kompletną rozsypkę, kiedy się do niej zbliżyłem, utyskując, wymachując rękami i wydzielając trujące wyziewy księcia wszystkich warzyw.

Moja ładna sąsiadka przy lunchu także odsuwała się ode mnie z odrazą, ale przezornie zachowałem na tę okoliczność ząbek czosnku i panienka przeżuła go posłusznie.

– Ojej – wykrzyknęła chwilę później – nic już od ciebie nie czuję!

Zapytałem ją uprzejmie o siniaka i dowiedziałem się, że nadal wygląda ssstraszenie i że zamierzała natrzeć go maścią z arniki, ale nie mogła dosięgnąć tam ręką.

Popatrzyliśmy na siebie z namysłem.

To nie przeszkodziło jej jeszcze tego samego popołudnia próbować boleśnie mnie okaleczyć podczas zajęć ZZ („znajdź i zniszcz”) w gęstych krzakach i podszyciu; otóż figlarnie podszyła się pod taki krzak i z odległości dwudziestu stóp wystrzeliła grafitowy pocisk w zrolowaną parę wełnianych skarpet, które zapobiegawczo umieściłem tam, gdzie gracz w krykieta nosi suspensorium.

– Zapłacisz mi za to – mruknąłem, patrząc na szkarłatną plamę, która wykwitła w kroku moich bojówek. (Podczas tej *Kriegspiel* byłem po stronie Białych, a ona – Czerwonych, i nasze pociski były odpowiednio zabarwione). Zgodnie z regulaminem zgłosiłem sędzi swojej śmierć w walce, a ona, chichocząc, spryskała detergentem w aerozolu moją czerwoną oznakę honorową i odesłała mnie z powrotem na pole bitwy. Ja jednak przemyślnie przeczołgałem się przez trawnik do rowu, przemknąłem nim aż za zarośla, znowu się podczołgałem i zająłem pozycję w małej, nieprzeczesanej kępie krzaków na obrzeżach lasu. (Dawno temu uczono mnie, żeby na kryjówkę zawsze wybierać najbardziej niepozorną osłonę; jeśli znajdziesz się za najmniej oczywistym pagórkiem albo krzakiem, wykurzą cię stamtąd na końcu, a być może zdołasz jeszcze ostrzelać przeciwnika z flanki, gdy ten będzie wykurzał potencjalnych wrogów zza większych osłon. Nie wiem, czego uczy się żołnierzy teraz, w epoce

bomby atomowej. Pewnie modlitwy).

Dobrze wybrałem miejsce. Przez niemal godzinę nie pojawił się w pobliżu ani jeden śmiertelnik i usypiany wonią mirtu, igieł sosnowych i różnych innych przyjemnych smrodków, którymi botanicy napawają się w ciepłe popołudnia, już myślałem, że utnę sobie drzemkę. Tymczasem z zadumy wyrwało mnie ledwie słyszalne hyc, hyc, dobiegające – kto by pomyślał – od strony rowu. „Ha, ha – pomyślałem – mam cię!”, ponieważ byłem pewny, że to hyc, hyc powoduje moja apetyczna przyjaciółeczka. Przypuszczałem, że dziewczyna się podda albo zaproponuje mi pokazanie siniaka, a jeśli nie, to przynajmniej wystawi się na strzał, żebym mógł zrobić jej drugiego – do pary.

Nic z tych rzeczy. Studentka, która wyłoniła się z rowu, była niska i chuda i wbrew regulaminowi nie miała na sobie munduru polowego. Nosiła coś w rodzaju dresu z kapturem w kolorze szaroniebieskim – jak stary mundur polowy armii francuskiej – ale pasiastego, z ukośnymi ciemnozielonymi plamami, namalowanymi także na twarzy. A że nie jestem kapelusznikiem, po prostu strzeliłem jej w pierś.

Był to piękny strzał. Czy kiedykolwiek zamierzyliscie się na naprawdę szybkiego bażanta i naciskając spust, wiedzieliście, że nie możecie spuścić, że ptak spadnie na ziemię martwy, i to tak blisko waszych stóp, że pies nie będzie miał nic do roboty, jak tylko z aprobatą zamerdać ogonem? Nie? Ojej. Więc może kiedyś przy

grze w pokera dobraliście kartę do czwórki złożonej z siódemki, ósemki, dziewiątki i dziesiątki, absolutnie pewni, że dostaliście szóstkę albo waleta? Nie? Naprawdę nie? Więc pewnie jesteście golfistą i znacie to uczucie, o którym do znudzenia opowiadają wszyscy gracze – uczucie, jakie was ogarnia, kiedy już kończycie zamach, naprawdę udany, posyłając piłeczkę prosto na green i żałując, że gracie jedynie o złote kalesony.

Więc jak na tę odległość był to piękny strzał. Dziewczyna dostała w sam środek tułowia, dokładnie między pępkiem a obojczykiem. Gdyby to był prawdziwy pocisk, wyrwałby jej kawał mostka i przebiłby aortę, zabijając nie na miejscu, ale z półtorasekundowym opóźnieniem, aby jeszcze zdążyła pożałować, że nie wybrała innego zawodu.

Jej reakcja była zwolniona – a może dziewczyna po prostu nie należała do najbystrzejszych. Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała tępo na „ranę”, ze zdziwieniem dotknęła białego proszku, podniosła palce do ust i go skosztowała. Wystawiłem głowę z rowu i oznajmiłem jej wesoło, że nie żyje. I wtedy do mnie strzeliła – zupełnie nieregulaminowo. Nie traciłem czasu na protesty, gdyż wystrzelona przez nią kula trafiła w kamyk i odbiła się od niego z hukiem – nie był to bynajmniej grafitowy pocisk. „Suka!” – pomyślałem gniewnie i posłałem kilka kul w jej pomalowaną twarz – co także było wbrew regulaminowi. Jedna z nich musiała trafić w cel, bo dziewczyna zaczęła krzyczeć

i zamknęła oczy. Krzyczała jednak, o dziwo, w nieznanym mi języku, na pewno w żadnym z europejskich, jakie miałem okazję słyszeć, i w tonacji nie innej niż tenorowa. Był to głos mężczyzny.

Kiedy się wyprostowałem, znowu padł strzał, ale tym razem z drugiej strony, i poczułem silny ból w pasie pod bluzą. Z rowu wyłonił się drugi zamaskowany Azjata. Wiedziałem, że w magazynku został mi już tylko jeden pocisk – lity, pokryty miedzionikiem – ale zawsze przedkładałem własne bezpieczeństwo nad zdrowie tych, którzy dybią na moje życie. Strzeliłem więc typkowi w głowę. Skonał bez skargi, nie zgłaszając żadnych uwag.

Z rowu wyskoczył trzeci napastnik, w takim samym kamuflażu. Niedobrze, bo skończyły mi się pociski, a zapasowy magazynek zawierał naboje grafitowe. Gdy grzebałem w kieszeni, z lasu zza moich pleców dobiegł cichy dźwięk, przypominający bębnienie palców dyrektora banku po blacie biurka. Napastnik wyprostował się, łypnął ze zdziwieniem na swoją pierś, tak jak tamten pierwszy, a potem padł martwy na ziemię. Odwróciłem się, wciąż usiłując wydobyć magazynek z kieszeni.

Spośród drzew wyszła Johanna. Trzymała pistolet maszynowy dziwnego typu, marki, której nigdy wcześniej nie widziałem.

– Co nowego, kotku? – zagadnąłem dziarsko, choć drżącym głosem.

Złożyła na moim policzku małżeński, choć zdawkowy pocałunek i podeszła do rowu, rozglądając się za kolejnymi demonami w ludzkiej postaci. Ale nie znalazła już żadnego. Zabraliśmy więc faceta z podbitym okiem do szkoły.

Tam, przy herbacie w biurze komendantki – czy też, jak ona woli mówić, w „melinie” – ucieliśmy sobie pogawędkę o tym i owym. Herbatą Johanny było właściwie coś, co zwykła nazywać „generałem Montgomery”, czyli przerażający rodzaj wytrawnego martini, który zawdzięcza swoje miano proporcji ginu do wermutu, wynoszącej dwanaście do jednego. Moją natomiast – ciężko zasłużona whisky Red Hackle De Luxe, trunek stworzony po to, aby przywracać do życia ludzi stojących już nad grobem. Tymczasem komendantka ponuro sączyła stary, pocziwy marynarski rum. Dzbanek herbaty posapywał, niekochany, na tacy.

– Posłuchajcie – odezwałem się.

Zaczęły więc słuchać uprzejmie.

– Posłuchajcie, dlaczego ci okropni ludzie próbowali mnie zabić, hę? Hę?

– Nie próbowali – lakonicznie odparła komendantka.

– Nie nabierze mnie pani.

– Charlie, kochanie. Nie próbowali zabić ciebie w szczególności, to chciała powiedzieć Sibyl. Tak, kochanie, to Sibyl, ale będąc tutaj, zwracaj się do niej „proszę pani”. (Och, Charlie, kochanie, nie rozdziawiaj

tak ust). Oni infiltrowali stanowisko dowodzenia, rozumiesz.

Nie rozumiałem.

– A gdzie ono jest?

– Ależ tutaj, kochanie.

– Nie, nie, nie, mylisz się całkowicie, to Dingley Dell College, każdy ci to powie.

– Owszem, kochanie, ale nie tylko. Mieści się tu jeszcze kilka innych placówek.

Miałem paskudne wrażenie, że zaraz ktoś mi powie, abym nie łamał sobie ślicznej główki, więc się przymknąłem.

– Tak naprawdę – podjęła Johanna ze stosowną skromnością – to pewnie mnie próbowali zabić. Prawdę mówiąc, to się tego spodziewałam. Dlatego właśnie nie przyjechałam wczoraj wieczorem na kolację i nie usiadłam na... w porządku... po prawej ręce Sibyl. Zjawiłam się, ledwie zaczęło świtać, kiedy Fiona zamknęła swoje pieski, i spędziłam cały dzień w terenie... czy jak wy to nazywacie tu, w Anglii. Na szczęście... prawda, kochanie?... bo uratowałam ci życie.

– Rzeczywiście – przyznałem z goryczą. – Rzeczywiście. Wybacz mi, że nie podziękowałem ci za to wcześniej. Policzmy, który to już raz?

Rzuciła przeciągłe spokojne spojrzenie, które powinno było wyjść mi bokiem, a w każdym razie między łopatkami, ale nie dałem się speszyć, bo

w swojej karierze zaznałem już wielu takich spojrzeń. Potrzeba naprawdę przeciągłego spokojnego spojrzenia, żeby speszyć marszanda specjalizującego się w dziełach starych mistrzów.

– Kim więc były te anioły zemsty? – spytałem szorstko. – Kolejnymi łowcami fortun? Wzgardzonymi kochankami? Chyba mam prawo wiedzieć, rozumiesz.

Tym razem uniosła brew. Potrafię sobie radzić z przeciągłymi spokojnymi spojrzeniami, ale kiedy Johanna unosi brew, silniejsi ode mnie mężczyźni rozdierają szaty. Struchlałem. Moje pytanie było w złym guście.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Byli z czternaście K.

– Czyli Quai d’Orsay numer czternaście? – spytałem wesoło. – Pierwsza zasada zabójców: *Au quai*?

Spojrzały na mnie. Chyba struchlałem jeszcze bardziej.

– Nie, Charlie, kochanie, to znaczy Po Wah Road numer czternaście w Kantonie w Chinach. Kiedyś mieściła się tam główna kwatera czegoś w rodzaju tongu... teraz w gazetach nazywają je triadami... powołanego przez dawny rząd nacjonalistyczny, a dokładnie przez Madame Chiang, wnuczkę Sun Jatsena, co na jedno wychodzi... w czterdziestym piątym roku jako „bastion antykomunistyczny”. Wciąż są antykomunistami, ale w ciągu ostatnich dwudziestu lat zdywersyfikowali swoją działalność. Obecnie weszli na

dużą skalę w Złoty Trójkąt.

Ośłupiałem i oblałem się rumieńcem, jak zrobiłby na moim miejscu każdy facet, który wielokrotnie żartował sobie czule z młodej żonki i jej naturalnych blond włosów. Johanna rzuciła mi kolejne spojrzenie i nie było w nim cienia łagodności.

– Charlie, nawet ty musiałeś słyszeć o Złotym Trójkącie. To jeden z głównych obszarów produkcji opium na wzgórzach Birmy, Laosu i Tajlandii. Zorientowałeś się chyba, o co chodzi w tych paskudnych małych wojnach. Cóż, czternaście K desperacko potrzebuje bezwodnika octowego i może go dostać tylko od nas. Teraz rozumiesz?

– Nie – odparłem szczerze.

– O rany. Bezwodnik octowy służy do rafinacji morfiny. Jest w tym procesie niezbędny. Rafinacja opium w celu uzyskania morfiny powoduje zmniejszenie objętości towaru, a tym samym zwiększenie jego wartości. Rafinacja morfiny w celu uzyskania heroiny tak samo... tyle że w znacznie większej skali. W Bangkoku możesz kupić kilogram heroiny za paręset funtów. Ponieważ w Hongkongu jest warta w hurcie z sześć tysięcy funtów, w detalu, na ulicach, kosztuje, powiedzmy, trzydzieści tysięcy. Jeśli uda ci się przewieźć ją do Amsterdamu, możesz potroić tę kwotę, nawet po opłaceniu policjantów antynarkotykowych, którzy mają na głowie niedojadające kochanki i hipoteki do spłacenia.

W Nowym Jorku...

– Tak, tak – odrzekłem. – Wiem to wszystko, chociaż ceny rosną z każdym tygodniem. Słyszałem też o tym sierżancie policji z Hongkongu, który ma pięćdziesiąt kont bankowych. Ale kiedy mówiłem: „nie”, chciałem powiedzieć: „Nie, nie wiem, kogo masz na myśli, mówiąc «my»”... Chodzi mi o tych „my”, którzy trzymają łapę na bezwodniku, czy jak to nazywasz. Kim są ci „my”? – zapytałem, nie zważając na zawłości gramatyczne języka angielskiego.

Johanna wymieniła szybkie spojrzenie z komendantką.

– Och, rozumiem – rzuciła. – Cóż, chyba mogę ci to powiedzieć. „My” są... och, do diabła, zamąciłeś mi w głowie... „my” jesteśmy... „my” to Woh Singh Wo, chyba najstarszy tong w Chinach. Może nie tyle „my”, ile „oni”, bo raczej z nim trzymamy.

– Och, aha – odparłem słabo.

– No właśnie. Weszliśmy z nim w sojusz. To trochę zbyt skomplikowane, żeby teraz wdawać się w wyjaśnienia...

– Białe niewolnictwo? – zapytałem krótko.

Popatrzyła na mnie, a potem zachichotała irytująco, jak to ona, tym swoim perlistym śmiechem.

– Nie, Charlie, ty zawsze kombinujesz nie tak.

– Tylko czasami – przyznałem sztywno, bo nie wzdramam się mówić głośno o swoich upodobaniach seksualnych. – Ale co masz na myśli? Jesteśmy... my

jesteśmy... przeciwko białemu niewolnictwu?

– Cóż, chyba można tak powiedzieć. Uhm, to bardzo dobre, Charlie. – I znowu zaśmiała się perliście.

– Posłuchaj – powiedziałem, starając się panować nad swoim sławnym temperamentem – nie chcę być wścibski, ale może byś powiedziała, tak między nami trojgiem...

– Czworgiem – poprawiła mnie.

Przeliczyłem nas uważnie. Było nas troje.

– Hę?

– Nie Hę, Ho – rozległ się głos za moimi plecami.

Odwrociłem się szybko, powodując wiatr, czy raczej wiatry. Za mną rysowała się potężna sylwetka chińskiego dżentelmena w jedwabnym garniturze. Nie wiedziałem, skąd się tam wziął.

– Charlie, to mój znajomy, pan Ho. Panie Ho, to mój mąż.

Chińczyk wydał odgłos szacunku i jednocześnie niedowierzania. Opanowałem się i gorączkowo próbowałem wymyślić jakąś inteligentną odpowiedź.

– Jak się pan ma? – wyszło z tego.

– Jako tako – odparł.

Uśmiechnąłem się, nie pokazując zębów.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Pan Ho nie usiadł. Johanna i komendantka... w życiu nie przyzwyczyliłbym się mówić do niej „Sibyl”... opuściły wzrok na kolana, jakby miały tam jakieś ręczne robótki. Ciężar konwersacji spoczął więc na mnie.

– Panie... ach... Ho... – zacząłem jowialnie, z przesadną uprzejmością, z jaką zwracacie się do gościa, którego skóra jest nieco innego koloru niż wasza.

– Nie, Ho – rzucił.

– Hę?

– Nie, nie Hę, nie Ach Ho. Ho – upierał się.

Poczułem się jak obiekt żartów z płyty do nauki obcego języka. Postanowiłem zaznaczyć swój autorytet.

– Jaka jest pańska specjalność, panie Ho? – zapytałem jowialnie.

– Bór – odrzekł.

Ta odpowiedź zawierała tak mało treści, że jej nie złapałem i pozwoliłem, aby upadła na podłogę. Pomyślałem, że służąca zamiecie ją nazajutrz rano pod dywan.

– Charlie, kochanie, pan Ho chciał powiedzieć, że zawodowo sprawia ludziom ból. Z tego żyje, rozumiesz.

– Och, aha – odparłem.

– Charlie, kochanie, wyrażenie „och aha” jest bardzo niegrzeczne w dialekcie kantońskim.

Wypowiedziałem bardzo niegrzeczne słowo po angielsku i zapadłem w ponure milczenie.

– Panie Ho, zechce pan przyprowadzić jeńca? – odezwała się komendantka.

Nie odpowiedział. Spojrzałem na niego, ale już go nie było. Wydaje mi się, że potrafię przemieszczać swoją zewnętrzną powłokę naprawdę bezszelestnie, ale

ten człowiek był nie do pobicia, nawet lepszy od pocziwego sługi Woostera, Jeevesa, który, jak wiadomo, potrafił dla Anglii przenikać z miejsca na miejsce.

– Pan Ho jest czerwoną pałką Woh Singh Wo w Anglii – pospiesznie wyjaśniła Johanna. – To znaczy takim egzekutorem.

Tymczasem pan Ho pojawił się z powrotem w mgnieniu oka. Niósł na ramieniu jeńca tak niedbale, jak wy moglibyście nieść worek plażowy, gdybyście byli z gatunku ludzi noszących takie worki.

– Proszę go przesłuchać – poleciła komendantka – ale nie robiąc z niego miazgi. Ten dywan nie był tani.

Pan Ho strącił faceta na podłogę i rzucił mu foliowy płaszcz przeciwdeszczowy, który wyjął z kieszeni. Jeniec rozwinął go i położył się na nim na podłodze. Byłby prawie całkiem nagi, gdyby nie bandaż na twarzy w miejscu, gdzie trafiła go moja kula. Drugie oko miał jednak otwarte i patrzył nim czujnie. Nie wykazywał żadnych oznak strachu poza tym, że jego członek był nieco przywiedły, jakby właśnie wyszedł z zimnej kąpieli.

– Jeśli zamierzacie się nad nim znęcać, to wychodzę – oświadczyłem.

– Myśrę, że to niekonieczne – powiedział pan Ho. – Jeśri to profesjonarista, wie, że tak czy siak zmuszę go do mówienia, więc nie będzie zabierał nam czasu. Tortury są przeważnie do niczego, bawią tyrko

przesłuchujących, przez nie niewinni przyznają się do wszystkiego, winni kłamią, a głupi przedwcześnie kopią w kalendarz. Gestapowski kit. Profesjonarne tortury są proste. Po pierwsze, na początek zadać duży bór. Większość rudzi nie wie, jak bór potrafi boreć. Po drugie, pozbawić męskich narządów. Większość rudzi zaczyna mówić wcześniej. Po trzecie, wyłupić oczy. Po czwarte, obiecać szybką śmierć. I to wszystko. Patrzcie.

Wyjął czarną torbę lekarską. Zadrżałem na myśl o przerażających narzędziach, które zamierzał z niej wyjąć, ale jej zawartość okazała się nader niewyszukana. Najpierw jedno zwyczajne żelazko elektryczne, które – niepodłączone do prądu – postawił przy stopach przesłuchiwanego, a właściwie przy podeszwach. Jeniec podparł się na łokciu i patrzył na to beznamiętnie. Potem Ho położył przy każdej jego stopie zwój cienkiego drutu z drewnianymi uchwytami – takiego, jakiego używa się w sklepie spożywczym do krojenia sera – i identyczny umieścił na genitaliach faceta. Twarz tamtego nadal nie zdradzała żadnych emocji, ale jego członek jakby się skurczył. Wówczas Ho wyjął łyżeczkę do herbaty, którą umieścił na dywanie, obok zdrowego oka mężczyzny, oraz długi gruby gwóźdź, który z kolei położył na jego lewej piersi.

Jeniec zlustrował te pospolite przedmioty codziennego użytku – jakie to przezorne ze strony pana Ho, że nie nosi przy sobie nic podejrzanego – i podjął decyzję. Wydał serię uprzejmych, acz niechętnych

kwaknięć, prawdopodobnie w dialekcie kantońskim.

– No! – orzekł pan Ho łaskawie. – To profesjonalista. Mówi, że coś wie. Tyrko jedno. Zdradzi nam to, jeśli zabijemy go szybko, od razu. Dobra?

Po czym schował do torby wszystkie przedmioty z wyjątkiem długiego grubego gwoźdźdza, który pozostawił na piersi jeńca. Ten wyrzucił z siebie cały łańcuch sylab tym samym uprzejmym, pozbawionym emocji głosem, którym odzywał się poprzednio. Pani Ho zapisał wszystko na kartce i podaj ją komendantce.

– A co to ma być?! – huknęła.

Johanna wzięła od niej papier, pokręciła głową i podała go z kolei mnie.

– To współrzędne geograficzne – wyjaśniłem chłodnym tonem zaprawionego w bojach adiutanta. – LSE sześćdziesiąt cztery to numer mapy sztabowej. H sześć to kilometr kwadratowy. Sześć dwa pięć dziewięć siedem pięć to same współrzędne.

Komendantka wyrwała mi kartkę, wcisnęła guzik przy aparacie telefonicznym, kazała się połączyć z „biblioteką” i poleciła jakiejś Annie znaleźć mapę LSE64, i to migiem. Potem czekaliśmy w milczeniu i różnym stopniu napięcia. Nie licząc pana Ho, najmniej poruszonym uczestnikiem naszej popołudniowej herbatki był chiński jeńiec, który wpatrywał się intensywnie w spódnicę komendantki. Z zadowoleniem zauważyłem, że jego penis trochę doszedł do siebie. No cóż, co kogo kręci. Jeśli chodzi o mnie, nie chciałbym

odejść do krainy wiecznej szczęśliwości z obrazem gaci starej lesby, na zawsze wypalonym w siatkówce, ale przecież *de gustibus* i tak dalej, nieprawdaż?

Annie Bibliotekarka przyniosła mapę. Johanna i komendantka wzięły ją i popatrzyły na nią tak, jak patrzyły na mnie.

– Ojej – jęknęła Johanna.

– O cholera jasna! – rzuciła komendantka w swój szorstki sposób. – Wiedzą, gdzie jest... eee... nasz człowiek... wiesz który.

Próbowała rozszyfrować sześciocyfrowe współrzędne i aż prychnąłem ze zniecierpliwienia. Wytłumaczyłem, że pierwsze cyfry oznaczają współrzędną poziomą, a następne pionową.

– „W poziomie najpierw ustal cel, potem wchodzi pion, wie to każdy cwel” – wytłumaczyłem, powołując się na starą wojskową sztuczkę mnemotechniczną.

Popatrzyły na mnie uważnie, ale pozwoliły mi znaleźć to miejsce na mapie. Jak się okazało, był to Stary Fort przy głównej drodze biegnącej przez opuszczone wrzosowiska w Yorkshire.

– Musi tam pojechać Mortdecai – oznajmiła z werwą komendantka. – Tu jest niepotrzebny.

– Hola, hola! – zaprotestowałem.

– Sibyl nie chciała cię urazić, Charlie, kochanie – zapewniła mnie Johanna z niepokojem.

– Poza tym jest sprytny, to twardziel, nie najgorzej strzela – dodała komendantka, żeby mnie udobruchać.

Znowu rzuciła do głośnika: – Kuchnia, suchy prowiant na dwa dni, z dużą zawartością protein, żadnych tych waszych wymyślnych jajeczek ani sałaty, litr mocnej czarnej kawy, bez cukru, litr szkockiej. To wszystko ma znaleźć się w samochodzie pana Mortdecaia. Zostanie podstawiony pod drzwi dokładnie za pięć minut.

– Skąd pani wie, że nie słodzę? – spytałem buntowniczo.

– Żaden dżentelmen nie sładzi kawy. Poza tym cukier panu szkodzi. I nie mam tu na myśli pańskiej tragicznej talii. Cukier, zwłaszcza w połączeniu z alkoholem, powoduje wyrzut insuliny i hipoglikemię... która objawia się zakłóconą oceną, nieuzasadnionym zmęczeniem, niepokojem i wewnętrznym drżeniem.

– Te dwa ostatnie wystąpiły u mnie, gdy usłyszałem, że za pięć minut mam jechać, by odnaleźć człowieka nazwiskiem Wiesz Kto na opustoszałych wrzosowiskach Yorkshire – odciąłem się. – A tak przy okazji, jak rozpoznam tego gościa, jak on rozpozna mnie i co mam z nim zrobić, kiedy już go znajdę?

– Jeśli dopisze nam szczęście, będzie na piechotę – odpowiedziała zagadkowo. – Reaguje na imię Freddie. Niech mu pan zwyczajnie powie, co się stało, a wtedy od razu się zorientuje, że pan to pan.

– Dzięki Bogu, że nie będę musiał podejść do zupełnie obcego faceta i powiedzieć mu szeptem, że księżyc świeci jasno, a potem czekać, aby odpowiedział, że ryba z frytkami ma wkrótce zdrożeć – rzuciłem

dowcipnie.

– Staraj się tyle nie gadać, Charlie, kochanie.

– Jeśli to będzie możliwe, niech go pan szybko stamtąd zabierze i przywiezie tutaj w jednym kawałku. Jeżeli nie będzie mógł przyjechać z panem, niech przekaże wiadomość. A jeżeli... eee... nie będzie mógł mówić, niech go pan obszuka.

– Czego mam szukać?

– Nie wiem – odparła prosto.

– Rozumiem.

– A teraz niech pan biegnie na górę, spakuje ciepłe ubranie, solidne buty i kilka magazynków z nabojami. Prawdziwymi.

– A co z nim? – zapytałem, wskazując cierpliwego jeńca. – Wszystko to słyszał, prawdopodobnie rozumie po angielsku. I czy ktoś nie powinien zająć się jego nieszczęsnym okiem?

– To już nieważne – odparła z roztargnieniem. –

Obiecaliśmy mu szybką śmierć... to akt łaski, bo gdybyśmy go wypuścili, przyjaciele zafundowaliby mu powolną i naprawdę paskudną. Panie Ho?

Wręczyła oprawcy pół szklanki czystej wódki, a on podał ją nagiemu mężczyźnie. Ten wypił wszystko jednym haustem, po czym z aprobatą kiwnął głową. Pan Ho dał mu zapalonego papierosa. Facet zaciągnął się głęboko, z widocznym zadowoleniem, i zgasił peta na dywanie (na jego miejscu powiedziałbym, oczywiście, że usiłuję rzucić palenie; nie mógłbym sobie darować

takiej okazji). Potem położył się na foliowym płaszczu i nawet nie drgnął, kiedy pan Ho ukląkł przy nim, odmierzył odległość dłoni od jego lewego sutka i znalazłszy punkt między odpowiednimi żebrami, przytknął w to miejsce czubek długiego gwoźdźca, przytrzymując jego główkę palcem wskazującym. Następnie zwrócił się do mnie i zaproponował uprzejmie:

– Proszę, on próbował cię zabić... ty chcesz zabić jego?

– Wielkie nieba, nie – wybełkotałem – to znaczy bardzo dziękuję, ładnie z pana strony, bardzo ładnie, ale już dziś zabiłem jednego gościa i próbuję...

– Panie Ho – odezwała się komendantka – chyba będzie lepiej, jeśli zrobi to pan na zewnątrz. W psiarni znajdzie pan dziewczynę imieniem Fiona, ona panu pokaże, gdzie grzebiemy zwłoki.

Pan Ho demonstracyjnie opuścił biuro – chyba nieco dotknięty – jeniec zaś starannie złożył foliowy płaszcz, uprzejmie skinął nam głową i podreptał za nim.

Mam nadzieję, że gdy moje trzy pomarańcze pojawią się nad niebieską wyciskarką do owoców, pogodzę się z własną śmiertelnością tak samo godnie jak on.

– Żegnaj, Charlie – rzekła Johanna. – Jedź ostrożnie.

– Powodzenia, Mortdecai – rzuciła komendantka szorstko.

– Uhm – oto co odpowiedziałem.

14. Mortdecaiowe zainteresowanie ornitologią słabnie

Co mówi mała ptaszyna
w swym gnieździe u świtu dnia?

Sea Dreams

Muszę wyznać, że lubię mewy. W dzisiejszych czasach drobni przestępcy są kiepscy w swoim fachu – nie zgodzicie się ze mną? – podczas gdy mewy wykazują się w nim oddaniem godnym strażników miejskich i podchodzą do niego o wiele pogodniej. Zbierają się – to znaczy mewy – o szarym świcie, krzykliwie wymieniają brzydkie dowcipy i wybuchając sprośnym śmiechem, budzą takie śpiochy jak wy i ja, a kiedy już zdecydują, co będą robić w ciągu dnia, odlatują – i jak dobrze latają, nie tracą przy tym ani erga energii – aby zebrać, kraść, mordować i generalnie robić swoje w ekologii. W porze lunchu, gdy my połykamy naszą pierwszą tego dnia brandy z wodą sodową, one ponownie zbierają się na jakimś wielkim polu, wreszcie z pełnymi żołądkami, i stoją w ciszy, trawiąc spokojnie i wąłkoniąc się, aż przyjdzie czas na wtrząchnięcie kolejnego robaka czy dwóch (w przypadku mniejszych

mew, czarnogłowych) czy też smakowitego martwego psa (w przypadku większych, czarnogrzbietych drani). Jakież to krzepiące patrzeć na nie, kiedy krążą i nurkują w ślad za promem, czekając, żeby ci idioci, którzy kupili kanapki w bufecie brytyjskiego przewoźnika, z obrzydzeniem wyrzucili je za burtę po pierwszym kąsie! Już sama poezja tego ruchu!

Kiedy cały świat i ja byliśmy młodzi, a ludzie jeszcze znali swoje miejsce w życiu, mewy skupiały się nad morzem, tylko od czasu do czasu zapuszczając się na stały ląd, żeby obsrać ci nowiutki kapelusz przeciwsłoneczny i żeby potem niania dała ci za to do wiwatu. Dzisiaj widuje się je wszędzie: zamiast pływać w swojskich plamach ropy i jeść swojskie świeżo skażone bebechy śledzi, robią naloty na śmietniki albo stoją w kolejce do restauracji serwujących rybę z frytkami.

Mewy, które zebrały się u stóp Starego Fortu, nie wykazywały poezji ruchu, nie wałkoniły się ani nie krzyczały niczym rozpuszczone bachory, jak powinny. Zamiast tego czekały. Czekały wokół jakichś starych łachów. Gdy się zbliżyłem, wszystkie niechętnie wzbily się w powietrze, z wyjątkiem czarnogrzbietych drani (*Larus marinus*). Te, wielkie jak gęsi na dzień świętego Michała, pozostały na łachach, szukając tam czegoś. Zbliżyłem się biegiem. Z wyżartej ludzkiej twarzy wyłonił się mewi dziób, skubiąc coś białego i połyskującego, na czym wisiały czerwone pasy. Ptak

zabójczo łypnął na mnie okiem z żółtą obwódką, po czym beczelnie zatrzepotał skrzydłami. Nie miałem czym w niego rzucić.

Zwymiotowawszy, odwróciłem mężczyznę w łachmanach twarzą do dołu i zbiegłem po stoku na drogę. Oczywiście powinienem był go przeszukać, tak jak mi kazano, ale prawdę mówiąc, przerażała mnie myśl, że mógł jeszcze żyć. Pewnie wyda wam się to dziwne, ale przecież nigdy nie byliście w takiej sytuacji, prawda? Naturalnie zostawiłem samochód kilka mil dalej i przeszedłem przez wrzosowisko te kilka mil do punktu współrzędnych, Starego Fortu i mężczyzny w łachmanach. Teraz zatrzymałem przejeżdżający samochód i z wielkim trudem przekonałem kierowcę, telewizyjnego maniaka, że nie jestem z *Ukrytej kamery*, nie, nie jestem Robertem Morleyem, zanim w końcu niechętnie uwierzył, że naprawdę mówię o umarłym albo umierającym człowieku i że musi podwieźć mnie do najbliższego telefonu. Stamtąd zadzwoniłem do sekretarki Bluchera i przekazałem jej newsa w wersji nadającej się do druku.

– Proszę poczekać – poleciła.

Ponieważ miałem jeszcze półtorej kanapki oraz jedną prawie pełną piersiówkę whisky, spełniłem jej życzenie. Tymczasem zapadła noc. Sto lat i prawie pełną piersiówkę później wyłonił się z mroku policjant na motocyklu, rodem z Cocteau, a za nim chwilę później nadjechał samochód nieszczęście (to znaczy wóz

policyjny, *hypocrite lecteur* ¹¹) oraz karetka pogotowia. Zaprowadziłem wszystkich do Starego Fortu, kilka razy po drodze wykręcając sobie nogi. Doszło do paru sprzeczek. Kiedy sierżant zrugął mnie za to, że odwróciłem nadjezzonego faceta twarzą do dołu i „przez to zniszczyłem dowody”, wyjaśniłem mu spokojnie, że pewien skrzydlaty przyjaciel zniszczył dowody skuteczniej niż ja. Nie wierzył mi, dopóki nie przewrócili gościa z powrotem twarzą do góry. Wtedy szybki, nieustraszony gliniarz, który przyjechał na motocyklu, pochorował się sierżantowi na nowiutkie buty. Stało się to powodem kolejnego spięcia, które w połączeniu z gorzkimi wyrzekaniami facetów z karetki na nadgodziny niemal sprawiło, że zagrzmiały niebiosa. To wszystko wydało mi się niesmaczne.

– Trockistowska świnia!

– Dopiero co zapłaciłem za nie dziewiętnaście funtów dziewięćdziesiąt pięć!

– Nie mamy prywatnego życia w tej robocie, tak czy nie?!

– Brudny maoistowski rewolucjonista!

– Miały wyglądać na lekko przetarte lakierki, a zobacz, co się z nimi stało!

– Ale cóż, przynajmniej nie siedzę szefowi w kieszeni, tyle mogę powiedzieć...

– Kropla terpentyny i zaraz będą jak nowe...

– Szefowi może nie, kolego...

– I ty mnie nazywasz lizusem, frajerze?

Oddaliłem się, mamrocząc pod nosem „ojej, ojej” i snując refleksje o materializmie dialektycznym i majestacie prawa. Nie myliłem się: rzeczywiście zostawiłem w budce telefonicznej prawie pół kanapki. Pomyślałem, że jeszcze raz zadzwonię do Bluchera; może tym razem udałoby mi się ściągnąć go tu osobiście. Nie było mu do śmiechu, i to wcale. Czy przeszukałem tego człowieka? Dlaczego nie? Czy on nie żyje? Jak to „nie wiem”? Dlaczego nie zostałem przy nim, żeby obserwować poczynania gliniarzy? Już zacząłem się czuć jak Makbet w drugim akcie (scena druga), kiedy żona mówi do niego: „Kaleka na duchu! Daj te sztylety” [12](#), lecz nagle drzwi budki się otworzyły i sierżant zapytał ostro, do kogo dzwonię.

– Słodkich kudłatych snów, mój najdroższy kudłaty kotku – rzuciłem do słuchawki i odłożyłem ją z godnością, po czym odwróciłem się do faceta i lodowato uniosłem brwi. (Jeśli chodzi o unoszenie brwi, nikt mnie nie przebije; nauczyłem się tego od ojca, który uniosłby brew dla Wielkiej Brytanii, gdyby nie był taki wyniosły).

Sierżant skulił się nieco, jak ja się kuliłem, słysząc Bluchera w roli Królowej Śniegu. Gdy on się kulił, ja zyskałem czas na szybką kalkulację, jaką presję mógł zastosować Blucher – i wobec kogo – tudzież co mam zrobić – albo kim być.

Odbywszy pośpiesznie nieunikniony kurs do kostnicy, wszyscy stawiliśmy się na posterunku policji w stolicy

hrabstwa – zapomniałem jej nazwy, ale już na zawsze pozostanie w mej pamięci jako Heckmondwyke – gdzie dostałem wielki kubek herbaty i poznałem nadinspektora, który wręcz kipiał inteligencją, dobrze udawaną życzliwością. Zadał mi najbardziej naturalne i oczywiste pytania, a potem poinformował grzecznie, że u sprzątaczkii obsługującej oba miejscowe hotele zarezerwowano dla mnie pokój i że zostanę zawieziony na miejsce przez detektywa sierżanta. A tak, i przyjedzie on po mnie rano, żebyśmy mogli spotkać się w kostnicy.

– Nie wydawał się szczególnie przejęty, co? – rzuciłem nonszalancko, kiedy zajechaliśmy z sierżantem pod coś, co chyba należałoby nazwać hotelem.

– To był tylko stary włóczęga – zauważył sierżant.

– Ach, tak – odparłem.

Było już oczywiście po kolacji, bo tymczasem zrobiła się ósma, ale zgorzkniała wiedźma, gdy przekupiłem ją sówicie, podała mi talerz zupy i coś, co nazwała jajnaince. Zupa nie była dobra, ale baba przynajmniej zdjęła opakowanie, zanim nalała gorącej wody. O jajnaince wolę nie mówić.

Nie ma co udawać, że tamtej nocy dobrze spałem.

Nazajutrz rano zebraliśmy się w kostnicy, wszyscy czyści, ogoleni, pachnący wodą toaletową; kosztowne nawyki jak na nasze portfele. (Jeszcze kosztowniejsze w przypadku detektywa konstabla; policjanci w drogich

garniturach zawsze budzą mój niepokój). Nie miałem odwagi spojrzeć na brudne zwłoki, które spoczywały na stole sekcyjnym. Lodówka tylko trochę stłumiła bijące od nich wonie ludzkiego ciała. Trup miał szyderczo otwarte usta, a w nich niewiele zębów – i tylko nieliczne trafiały na siebie. Inspektor oglądał je dokładnie.

– Nawet włóczęga – odezwałem się gniewnie z głębi serca nękanego poczuciem winy i spomiędzy porządnie wyszczotkowanych zamków z kości słoniowej – nawet włóczęga mógł sobie załatwić protezę z państwowej opieki zdrowotnej.

– Rzeczywiście – odparł inspektor, wreszcie kończąc oglądać jamę ustną trupa.

Przeszliśmy do pomieszczenia, w którym na stole złożono żalosne ubranie rzekomego trampa i inne znalezione przy nim przedmioty, wraz z trzema kopiami listy tych rzeczy. W nozdrza uderzył nam ohydny, przesłodzony zapach lawendowego odświeżacza powietrza i inspektor sarknął na funkcjonariusza, który tam pracował.

– Może chciałem obwąchać te przedmioty – zauważył.

– Przepraszam, panie inspektorze.

– Co kogo rajcuje... – mruknął detektyw konstabl przy drzwiach.

Inspektor udał, że nie usłyszał; w obecnych czasach trudno o pracowników, poza tym pochwycił mordercze spojrzenie, jakie rzucił tamtemu detektyw sierżant – spojrzenie mówiące, że pewien detektyw konstabl

dostanie nazajutrz paskudną robotę po godzinach.

Leżące na stole rzeczy nie stanowiły przyjemnego widoku dla kogoś o wrażliwym żołądku. Jeśli chodzi o bieliznę, nieboszczyk najwyraźniej kierował się dewizą „żyj i pozwól żyć”, nie mówiąc już o „gromadź i pomnażaj”. Tej intymnej garderoby było kilka warstw i miejscowa policja najwyraźniej nie znalazła ochotnika, który by je porozdzielał. Inspektor zebrał się na odwagę i sam to zrobił – był człowiekiem ze stali. Potem sprawdził z listą skromną zawartość kieszeni i chlebaka ofiary. Robił to tak skrupulatnie jak prokurator przeglądający listę prezentów gwiazdkowych prezydenta Nixona.

Były tam też stare, bezimienne resztki czegoś, co kiedyś mogło być jedzeniem. Była wysłużona puszka po fasoli, z dwoma otworami w denku, żeby przeciągnąć przez nie drut; w środku znajdował się osad herbaciany, a na zewnątrz sadza. Była skręcona prymka tytoniu ze śladami zębów, ludzkich czy zwierzęcych, trudno powiedzieć. Był tani, stępiony scyzoryk z celuloidową rączką, z rodzaju tych, które dobrze się sprzedają. Wśród nastolatków. Coś mi się przypomniało. Był kawałek mydła, sękaty, brudny i kruchy. Blaszane pudełko zawierające tuzin zapalek z czerwonymi główkami i półcalowy ogryzek świecy. Kolorowe zdjęcie ze świerszczyka – jak to mówią, „bobry w zbliżeniu” – sfatygowane i zatłuszczone. Cebula, piętka gomółki sera i jakieś podsmażane ziemniaki,

starannie zapakowane w jedno z tych wyłożonych folią pudełek, których używa się w chińskich restauracjach z daniami na wynos. Brudne zawiniątka z papieru, w których były cukier, herbata, sól... no wiecie, takie tam. A może nie wiecie, szczęściarze.

A tak, i był jeszcze śliczny nowiutki banknot dziesięciofuntowy.

W końcu inspektor zakończył absurdalnie szczegółowy przegląd dobytku nieboszczyka, wydmuchał nos i otrząsnął się jak pies.

– To nie był włóczęga – orzekł. Mówił płaskim głosem. Nikogo nie oskarżał.

– Nie? – spytałem po chwili.

– Ale przecież... – rzucił sierżant po dłuższej chwili.

– Panie inspektorze! – zaprotestował detektyw konstabl.

– Używajcie oczu, panowie – powiedział inspektor. – Patrzcie, bo wszystkie fakty macie przed nosem.

Detektyw konstabl, specjalista od nosa, zamilkł. Od tej chwili zacząłem traktować inspektora poważnie.

Podpisawszy kwity i całą resztę, a także pozbywszy się podwładnych, zaprowadził mnie do kantyny na posterunku i podjął świetną herbatą oraz najpyszniejszymi i najbardziej kruchymi roladkami z szynki, w jakich kiedykolwiek zatopiłem zęby.

– Cóż – zacząłem, gdy ucichły odgłosy przeżuwania – powie mi pan czy nie?

– Zęby i paznokcie u stóp – rzucił tajemniczo.

– He?

– A tak. Nie winię pana za to, że nie zwrócił pan uwagi, ale ci kretyni podobno byli uczeni używać oczu.

Ugryzłem się w język. Mnie też dawno temu uczono takich rzeczy, ale nie było sensu opowiadać mu historii mojego życia, poza tym liczyłem, że podzieli się wnioskami z postronnym obserwatorem, bo nie ma nic ciekawszego niż słuchanie kogoś, kto jest naprawdę dobry w swojej robocie. A on był bardzo dobry.

– Po pierwsze – podjął, zlizując musztardę z jakże sprawnego kciuka – kiedy ostatnio widział pan w Anglii prawdziwego włóczęgę?

– Hm, teraz, gdy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że cholernie dawno temu. Kiedyś stanowili stały element krajobrazu, to fakt, ale nie mogę przyznać, że bym...

– Właśnie. Powiedziałem „prawdziwego” włóczęgę, w odróżnieniu od Cyganów, żebraków i innych. Nie sądzę, żeby od... och, od początku lat sześćdziesiątych... po drogach Anglii chodziło więcej niż sześciu prawdziwych trampów. Przytułki zostały zamknięte, podobnie jak noclegownie. Zajazdy są przekształcane w sieciowe hotele. Mówi się, że na pustkowiach Walii żyje jeszcze kilku starych wyjadaczy, ale to wszystko.

Co więcej, prawdziwy stary tramp miał swój teren obejmujący z dwieście mil, więc przechodził przez dany „rewir” może raz w lecie i ze trzy razy w zimie. Nawet ci idioci, którzy mienią się detektywami, z pewnością

znaliby każdego takiego obwiesia.

– Alkoholik, który pije metanol? – podsunąłem.

– Nie. Nic na to nie wskazuje. Poza tym tacy nie mają dość siły, żeby pokonać większy dystans. I zwykle można u nich znaleźć piersiówkę jakiegoś świństwa przyklejoną do kręgosłupa, na wypadek gdyby mieli zostać przymknięci. No i nie jedzą. A nasz nieboszczyk lubił jeść... jeśli to można nazwać jedzeniem.

– Więc?

– Więc po drugie – powiedział, oglądając palec w poszukiwaniu resztek musztardy – słusznie pan zauważył, że mógł sobie wstawić klawiaturkę z państwowego funduszu zdrowia. Już pierwsze spojrzenie na jego dziąsła i kły powiedziałyby policjantowi z prawdziwego zdarzenia, że facet miał kiedyś całkiem drogie mostki... bynajmniej nie z kasy funduszu... i rozstał się z nimi zaledwie kilka miesięcy temu. Mniej więcej wtedy też wziął ostatnią kąpiel.

– A po trzecie? – zapytałem niecierpliwie.

– Po trzecie – podjął, podnosząc środkowy palec gestem, który we Włoszech zostałaby uznany za wulgarny – po trzecie, brak nożyczek.

– Brak nożyczek – powtórzyłem niby-mądrze.

– Brak nożyczek. W dawnych czasach przeglądałem rzeczy wielu martwych włóczęgów znajdujących w rowach. Jedni mieli fotografie dziewczyn, przez które wylądowali na ulicy, inni – różańce, jeszcze inni – woreczki złotych suwerenów, a pewien gość, pamiętam,

miał nawet Nowy Testament w greckim przekładzie. Ale wszyscy zawsze nosili przy sobie porządne nożyczki. Nie uszedłby pan daleko, gdyby nie mógł pan obciąć sobie paznokci u stóp. Od stanu paznokci zależy być albo nie być takiego człowieka, można by powiedzieć. A nasz tramp nie miał nawet ostrego noża, prawda? Nie, to na pewno nie był włóczęga.

Wydałem pełen uznaniu odgłos, jak wtedy, gdy nauczyciel geometrii mówił triumfalnie: *quod erat demonstrandum*.

– Chcę też pana przeprosić – ciągnął – za to, co powiedziałem przy sierżancie i detektywie konstablu w związku z tym, że to nie włóczęga. Wiem jednak, że mogę liczyć na pańską dyskrecję, proszę pana – podskoczyłem trochę, słysząc tego „pana” – bo oczywiście żaden z nas dwóch nie chce, żeby tacy idioci jak oni zastanawiali się, dlaczego ktoś chciałby w tej części kraju uchodzić za trampa. – Co mówiąc, spojrział na mnie spod zmrużonych powiek.

Zrobiłem nieprzeniknioną minę, bo chciałem dać do zrozumienia, że dobrze wiem, co znaczy „ta część kraju”, i że być może mam za cholewką lewego buta specjalne pełnomocnictwo, na wypadek gdybym musiał wylegitymować się przed zwykłymi gliniarzami.

– Dziwna sprawa z tą nową dziesiątką, którą miał przy sobie – zagadnął inspektor. – Wyglądała, jakby dopiero co wyszła z mennicy, prawda?

– Owszem.

- Nie była nawet złożona, no nie?
- Właśnie.
- Nie zauważył pan przypadkiem, jaki miała numer?
- Zauważyłem – odparłem z roztargnieniem, niepotrzebnie. – Jot zet dziewięć osiem trzy trzy sześć siedem dwa, mam rację?
- Tak, zgadza się. Zabawne.
- Dlaczego zabawne? – spytałem. – Zabawne, że go zapamiętałem? Mam ejdetyczną pamięć, jeśli chodzi o liczby, nic nie mogę na to poradzić. Taki już się urodziłem.
- Nie zadał sobie trudu, żeby sprawdzić, czy to prawda – był dobry w swojej robocie, wiedział, że kłamię.
- Nie – odparł – powiedziałem „zabawne”, ponieważ banknot pochodzi z tej samej serii co duża liczba całkiem autentycznych dziesiątek, które według chłopców z Londynu dostały się do kraju niespełna miesiąc temu. Z Singapuru czy któregoś z tych miejsc. Musi pan przyznać, że to zabawne.
- Przezabawne – potwierdziłem.
- Cóż, w takim razie do widzenia, proszę pana, nie będziemy tu pana dłużej zatrzymywać.
- Ależ gdybym mógł jeszcze pomóc...
- Nie, proszę pana. Chciałem powiedzieć, że niestety nie możemy pana dłużej zatrzymywać. Pod naszą kuratelą, jak to mówią. Na przykład wsadzić na parę dni do separatki, a potem przy pomocy dwóch czy trzech ludzi próbować się dowiedzieć, o co tu chodzi. Chociaż

byłoby miło – dodał w zamyśleniu. – W każdym razie ciekawie. My, gliniarze, jesteśmy wścibscy, wie pan?

W tym momencie być może przełknąłem ślinę.

– Ale zdaje się, że ma pan potężnych przyjaciół, więc pożegnamy się w miłej atmosferze. Na razie. – Serdecznie uścisnął mi rękę.

Na zewnątrz czekał już jeden z tych pięknych czarnych samochodów, na które stać tylko siły policyjne. Kierowca w służbowym uniformie otworzył przede mną drzwi.

– Dokąd, proszę pana? – zapytał formalnym tonem.

– Cóż – odparłem – właściwie mam własny wóz, zostawiłem go niedaleko przy drodze. Jakies dwadzieścia mil stąd...

– Wiemy, gdzie jest pański samochód – rzucił.

15. Mortdecai traci wiarę w swoje małżeństwo,
przyjmuje pro tempore święcenia kapłańskie
i spotyka dentystę, który boi się bardziej od
swojego pacjenta

Lecz honoru dziś obrazę
okupuje złota brzęk.

Zamek w Locksley,
przeł. Jan Kasprowicz

Kiedy zatyka ci się zlew w kuchni i zarówno on, jak i służąca wydają niebezpieczne odgłosy, musisz wezwać hydraulika; wtedy rzeczony hydraulik odkręca gumowy dinks u dołu jakże stosownie nazwanego kolanka i z triumfem pokazuje ci wydobyty stamtąd kłęb śmieci, tak samo jak dumna młoda matka pokazuje wredny rozkwaszony pomidor, czyli, jak twierdzi, noworodka. Okazuje się, że to wielkie oślizgłe paskudztwo (mam oczywiście na myśli zawartość rury, a nie efekt wpadki w planowaniu rodziny) składa się ze zbitych obierek warzywnych, włosów łonowych i bezimiennej szarej tłustej substancji.

Próbuję w ten sposób opisać stan osłabionego umysłu waszego Mortdecaia po jego – czyli moim – powrocie

na stanowisko dowodzenia, czy co to było, w szkole działalności wywrotowej.

– A, Mortdecai! – huknęła szorstko komendantka.

– Charlie, kochanie! – wykrzyknęła Johanna.

– Drinka? – mruknąłem, opadając na fotel.

– Drinka! – rzuciła Johanna z roztargnieniem.

Komendantka skoczyła do barku i ze skwapliwością oraz pewnym nadmiarem wody sodowej zrobiła mi drinka. Odsunąłem tę dziwną skwapliwość w zakamarki umysłu, gdzie przechowuję wszystkie rzeczy, nad którymi muszę się zastanowić, gdy będę silniejszy. Następnie umieściłem whisky and s w najlepiej strzeżonej części systemu Mortdecaia i poprosiłem o następną.

– Więc go znalazłeś, Charlie, kochanie?

– Owszem. – Zafrapowała mnie pewna myśl. – Skąd wiesz? – (Bo, rozumiecie, dzwoniłem w tej sprawie tylko do pułkownika Bluchera).

– Po prostu zgadłam, najdroższy. No i nie wróciłbyś jeszcze, gdybyś nadal go szukał, prawda?

„Sprytne – pomyślałem z goryczą. – Sprytne, sprytne”. Często przychodzą mi na myśl takie słowa jak „sprytne, sprytne”, kiedy słucham tego, co mówią kobiety. Na pewno nie jestem w tym odosobniony.

– I jak się masz, Charlie? Mam nadzieję, że nie było to straszne przeżycie?

– Ależ skąd – odpowiedziałem z goryczą. – Tylko cudowna odmiana. Jak tydzień nad morzem. Stymulujące

doświadczenie. Odświeżające i krzepiące. – Pogulgotałem jeszcze chwilę.

– Opowiedz nam o tym – zamruczała Johanna, kiedy te odgłosy wreszcie ucichły. Opowiedziałem prawie wszystko. Od A, powiedzmy, do W, pomijając X.

– I oczywiście zapisałeś numer tego ładnego, nowego dziesięciofuntowego banknotu, Charlie?

– Oczywiście – odparłem.

Padły na mnie dwa pełne paniki spojrzenia.

– Ale tylko na kartach mej pamięci – dodałem szybko.

Dały się słyszeć dwa oddechy ulgi. Uniosłem brew jak moja matka, kiedy pastor głosił coś niestosownego podczas porannej modlitwy. Obie panie popatrzyły na mnie wyczekująco, ale udałem, że przeszukuję zasoby pamięci. Komendantka zrozumiała aluzję i ponownie napełniła mi szklanę. Wówczas w delikatny sposób podałem numer seryjny banknotu. Zanotowały go, po czym komendantka podeszła do swojego biurka, zaczęła majstrować przy absurdalnych sekretnych szufladach (w biurku jest dużo miejsc, w których może się kryć sekretna szuflada – każdy antykwariusz wam to powie) i wyjęła jakąś cienką książeczkę. Obie porównały numer, który im podałem, z jakimś nonsensem w cienkiej książeczce – najpierw zagniewane, potem poważne i wreszcie zaniepokojone, w wymienionym porządku, aż w końcu straciłem cierpliwość i wstałem. Gierki tajnych służb stają się doprawdy nudne, nawet w wykonaniu mężczyzn.

– Idę do łóżka – oświadczyłem. – Jestem zmęczony.
Muszę do łóżka.

– Nie, Charlie, kochanie.

– Hę?

– Chciałeś powiedzieć, że musisz do Chin, nie do łóżka.

Nawet nie wziąłem pod uwagę tej niedorzeczności.

– Bzdury! – wykrzyknąłem mężnie i wychodząc z pokoju, zabrałem karafkę z whisky.

Nie uszedłem daleko, ponieważ Johanna władczym tonem, zupełnie nieprzystającym młodej żonie, kazała mi wrócić.

– Spodoba ci się tam, Charlie.

– O nie, wykluczone, wystarczy, że na mnie spojrzą, i od razu ześlą mnie na reedukację polityczną do jakiejś kooperatywy w Hunanie. Na bank.

– Ależ, kochanie, nie miałam na myśli czerwonych Chin... w każdym razie nie teraz... tylko raczej Makau. To rejon niezależny, czy portugalski, czy coś w tym rodzaju... ale chyba na jedno wychodzi. To wielki ośrodek gier hazardowych, będziesz zachwycony.

– Nie – odparłem stanowczo.

– Polecisz jumbo jetem. Pierwszą klasą. Z barem.

– Nie – powtórzyłem, ale zauważyła, że zacząłem mięknąć.

– Apartament w najlepszym hotelu i konto w banku, żebyś miał za co grać. Powiedzmy, tysiąc.

– Czego? Dolarów czy funtów?

– Funtów.

– No dobra, niech będzie. Ale najpierw muszę się przespać.

– W porządku. To może nawet i lepiej.

– Przykro mi, ale nie mogę ci zaproponować małżeńskiego łóża – dodałem sztywno. – Moja prycza ma dwie stopy sześć cali szerokości, a w pokoju jest dość pluskiew, żeby wywołać epidemię.

– Jasne – odrzekła tajemniczo.

Kiedy wyszedłem spod prysznic, energicznie wycierając brzuszek waszego Mortdecaia, Johanna leżała na rzeczonej pryczy.

– Wyłączyłam pluskwy, Charlie.

– Taaa? – spytałem po amerykańsku.

– Taaa, bo tak się składa, że jestem szefową tej budy.

Skrzywiłem się.

– Nie wiedziałem – odparłem sztywno – zresztą w tym łóżku i tak nie ma miejsca dla dwojga.

– Założysz się, koleś?

Okazało się, że miejsce było. Bez żartów.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli zabiorę ze sobą Jocka – powiedziałem później w czasie przerwy na drinki. – W końcu co dwie pary oczu, to nie jedna, mam rację?

– Nie, Charlie. To by było zbyt podejrzane, ludzie by go zapamiętali, a ty nie rzucasz się w oczy, wtapiasz się w tło, wiesz, o co chodzi?

– Nie, nie wiem – odparłem z urazą, bo poczułem się

dotknięty.

– Poza tym to ksenofob, no nie? Zaczęłyby bić kogo popadnie i od razu zwróciłyby na siebie uwagę.

– Niech ci będzie – powiedziałem. – No to wracamy do roboty – dodałem, ale oczywiście nie głośno.

Następnego ranka Johanna odwiozła mnie do Londynu. Chociaż jest świetnym kierowcą, musiałem raz po raz używać ręcznego hamulca. Podróż była dla mnie jednym wielkim upokorzeniem. Wreszcie zajechaliśmy bez szwanku na Upper Brook Street, gmina Centrum, tylko na krótko zatrzymawszy się w jednym z tych miejsc, gdzie na oczekaniu robią ci zdjęcie do paszportu.

– Ależ ja już mam paszport – zaprotestowałem.

– Oj, kochanie, pomyślałam, że przyda ci się nowy, ładniejszy.

Po wejściu do mieszkania odbyła szereg konspiracyjnych rozmów telefonicznych z różnymi osobami. W efekcie jeszcze tego samego popołudnia stałem się dumnym posiadaczem biletu pierwszej klasy na boeinga 747 oraz watykańskiego paszportu z odpowiednimi wizami na nazwisko ojca Thomasa Rosenthala z Towarzystwa Jezusowego, sekretarza kurii. Nie wydawało mi się to wcale śmieszne i dałem wyraz swemu niezadowoleniu.

– Kochanie – odparła Johanna – zdaję sobie sprawę, że w twoim wieku powinienes być już kimś więcej niż

tylko ojcem, ale gdybyśmy zrobili z ciebie monsiniora, biskupa czy kogoś takiego, ludzie z linii lotniczych trzęśliby się nad tobą i nie byłbyś wcale bezpieczny, zgodzisz się chyba? Coś ci powiem, odeślę paszport i powiem im, żeby awansowali cię na kanonika. Co ty na to? Pasuje ci kanonik?

– Och, daj spokój, Johanno. Wcale się nie dąsam. Zaprzepaściłem karierę nie tylko w Kościele. Poza tym nie jestem pewny, czy rzymscy kanonicy i monsiniorzy nie muszą nosić fioletowych gaci.

– Och, to dobrze. Wiedziałaś, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, aby zostać zwykłym ojczulkiem. Masz w sobie cudowną skromność...

Uniosłem rękę, aby ją powstrzymać.

– Będę oczywiście potrzebował kilku różańców i brewiarza albo dwóch... na pewno o tym pomyślałaś.

– Charlie, kochanie, masz być jezuitą, pamiętasz? Oni się w takie rzeczy nie bawią.

– Jasne. Głupiec ze mnie.

Nie ukrywam, że lot sprawił mi przyjemność. Byłem jedynym pasażerem w pierwszej klasie i stewardesa poświęcała mi wiele uwagi. Naprawdę wiele. Zacząłem rozumieć, dlaczego Johanna tak troskliwie zajmowała się mną poprzedniej nocy, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. (Jeśli nie rozumiecie, to gratuluję niewinności).

Hotel był naprawdę *de luxe*, co mnie zaskoczyło: powiedzieć *tout le confort moderne* to mało, o wiele za

mało. To zupełnie nie to co w Bangkoku, gdzie trzeba co wieczór wytrzepywać pościel, żeby pozbyć się złotych dziewczątek, chociaż kierownictwo robi, co może. Ale nie chcecie przecież słuchać takich bezceństw, prawda?

Następnego rana wyskoczyłem z łóżka z radosnym okrzykiem i czym prędzej wskoczyłem do niego z jękiem. Nigdy nie byłem silny, nawet jako chłopiec, a tamtego ranka poczułem się tak osłabiony na ciele i umyśle, że wątpiłem, czy dałbym radę rzucić kapelusz na ziemię. Z pewnością nie byłem w odpowiednim stanie, aby bawić się w tajnych agentów ze złymi Azjatami. Za gardło, aby wymienić tylko jeden organ, złapało mnie zmęczenie wywołane zmianą stref czasowych tudzież inne czynniki. Zebrałem siły, żeby zjeść pierwsze przepyszne śniadanie, a potem, po dwugodzinnej drzemce na trawienie – drugie, popijając szklaneczką odżywczej brandy z wodą sodową, którego to drinka w takim hotelu możecie zamówić bez fatygowania obsługi hotelowej. Po prostu wciskacie odpowiedni pipek na konsoli drinków, która wygląda jak organy kinowe.

W porze lunchu poczułem się na tyle dobrze, żeby zejść do restauracji i odpowiednio wzmocnić siły. Zjadłem coś zielonego, chrupkiego i całkiem smacznego, co wyglądało na włosy łonowe syreny, ale kelner zapewnił mnie, że to smażone wodorosty. Potem były kawałki kaczki jakby w dzemie, pyszna papka

z pęcherza pławnego jakiejś niesamowitej ryby, coś w rodzaju pierogów smażonych w głębokim tłuszczu, każdy z wielką soczystą krewetką, i tak dalej, i tak dalej. Pomysłowość tych ludzi była wręcz nieskończona.

Do picia podano mi coś, co podobno zostało wydestylowane z ryżu. Miało zwodniczo niewinny smak, dzięki któremu pimm's no. 1 ¹³ tak bardzo pomagał nam na studiach uwodzić dziewczyny. Zadowolony, uśmiechając się do wszystkich razem i każdego z osobna, wróciłem do pokoju. Byłem w tym cudownym stanie lekkiego upojenia alkoholowego, kiedy z radością rozdaje się napiwki, a chętnych nie brakowało. Wcisnąłem nawet plik banknotów komuś, kto okazał się gościem z Ameryki. W odpowiedzi zapytał:

– Dobra, ojczulku, to na co masz ochotę?

Uświadomiłem sobie swoją pomyłkę – a także to, że jestem w ubraniu czy też stroju duchownym – machnąłem ręką i odparłem, żeby w moim imieniu zagrał za to w co chce; wygrana pójdzie na biednych. Później odszukałem swój pokój, walnąłem się do łóżka i dokończyłem kurację, przesypiając kilka godzin bez marzeń sennych.

Pod wieczór byłem już wyleczony i czułem się na tyle silny, aby otworzyć zaklejoną kopertę z instrukcjami, którą Johanna dała mi na lotnisku Heathrow.

Przeczytałem: „Lo Fang Hi. Lekarz stomatologii i ortodoncji”. Był to najwyraźniej kiepski żart, niemniej

zajrzałem do książki telefonicznej (nawet jeśli się wie, że Chińczycy umieszczają nazwisko tam, gdzie my imię, ich książka telefoniczna może przyprawić o obłęd) i znalazłem faceta. Zadzwoiłem pod podany numer. Ostry, wzburzony głos przyznał, że należy do doktora Lo. Powściągnąłem pokusę, aby rzucić po amerykańsku: *Hi!*, i zamiast tego powiedziałem, że sprzedaję pastę do zębów – bo tak mi kazano. On odparł na to, że mogę przyjechać, kiedy chcę, a nawet zasugerował, żebym zrobił to szybko. „Tak, tak, bardzo szybko, *please*”. Odłożyłem słuchawkę i zacząłem się zastanawiać. Koloratka boleśnie wrzynała się w szyję – to mi uzmysłowiło, że rzadko widuje się sprzedawcę pasty do zębów w sutannie, więc przebrałem się w dyskretny ciemnopomarańczowy letni garnitur, który uszył mi gość z rue de Rivoli jeszcze w czasach, kiedy codzienne spodnie z marynarką można było sobie sprawić za trzysta funtów.

Ku mojemu zaskoczeniu facet nie mieszkał bynajmniej przy „ulicy Tysiąca Piłeczek Pingpongowych, pod Rozkołysanym Cyckiem”, jak głosi stara ballada, ale przy ulicy Nathan w Koulun, która okazała się nieciekawa, przyzwoita i przypominała Grosvenor Square w centralnym Londynie. (Nie wiem, kim był pan Nathan ani dlaczego nazwano jego imieniem ulicę, tak samo jak nie wiem nic o panach nazwiskiem Grosvenor czy Piccadilly, choć mógłbym powiedzieć wam niejedno o panu Harleyu).

Taksówkarz mówił po amerykańsku z silnym chińskim akcentem. Był także dumnym posiadaczem poczucia humoru, najwyraźniej odbył kurs korespondencyjny u Bustera Keatona. Kiedy mu powiedziałem, żeby mnie zawiózł pod Lancaster Buildings numer 18 przy Nathan Road w Koulun, odwrócił głowę i obrzucił mnie denerwującym nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Nie mogę cię tam zabrać, koreś.

– O! A dlaczegoż to nie, jeśli można spytać?

– Mogę cię zawieźć przed Rancaster Buirdings, Nathan Rod, are nie pod numer osiemnaście.

– Dlaczego nie? – zapytałem, tym razem drżącym głosem.

– Numer osiemnaście jest na drugim piętrze. Taksówka nie wjedzie do windy.

– Ha, ha – skwitowałem sztywno – ale widzę, że licznik został złamany. Niech się pan śmieje na własny koszt albo w czasie jazdy najkrótszą drogą pod Lancaster Buildings przy Nathan Road.

– A ty co? Griniarz?

– Bynajmniej. Tak się składa, że sprzedaję pastę do zębów, jeśli już musi pan wiedzieć.

Pokiwał z respektem głową, jakby był pod dużym wrażeniem – albo rozbawiony. Potem sprawnie i na szczęście w milczeniu zawiózł mnie pod Lancaster Buildings. Wsiadając, obciąłem mu napiwek o dwa i pół procent – nie na tyle, żeby wywołać awanturę, ale wystarczająco, aby wyraźnie dać mu do zrozumienia, że

taksówkarze nie powinni sobie żartować z sahibów.

Numer 18 zaiste znajdował się na drugim piętrze Lancaster Buildings, a na drzwiach gabinetu doktora Lo widniał napis: „Dzwonić i wchodzić”. Zadzwoiłem, ale wejść nie mogłem, bo drzwi były zamknięte na klucz. Słyszając dochodzące zza nich głosy, kilkakrotnie z irytacją zastukałem w matową szybę, za każdym razem głośniejsze, przy czym wykrzykiwałem takie słowa jak „hop, hop!”. Nagle drzwi się otworzyły, wyłoniła się duża opalona łapa, chwyciła mnie za klapę ciemnopomarańczowego garnituru i wciągnęła do środka, a następnie posadziła na nader niewygodnym krześle. Właściciel opalonej łapy trzymał w drugiej ręce duży toporny automatyczny pistolet Stieczkina i machał nim ostrzegawczo. Natychmiast się zorientowałem, czego sobie życzy, ponieważ APS to nie jest w żadnym razie kobiecy pistolecik do torebki, i cicho jak myszka usadowiłem się na wygodniutkim krześle.

Na fotelu stomatologicznym siedział pacjent, którym zajmowali się dwaj dentyści. Początkowo wydało mi się dziwne, że są w granatowych płaszczach przeciwdeszczowych, tak jak facet ze stieczkinem, podczas gdy pacjent miał na sobie biały dentystyczny fartuch (pardon, biały fartuch dentystyczny). Zacząłem podejrzewać, że tym pacjentem jest sam doktor Lo, a dentyści bynajmniej nie są wykwalifikowanymi stomatologami, zwłaszcza kiedy zauważyłem, że gdy facet nie chciał otworzyć ust, na siłę próbowali użyć

wiertła do borowania. Gdy doktor Lo – bo to musiał być on – zemdłał po raz trzeci albo czwarty, oprawcy nie mogli go docucić. Do tej pory nie wypowiedział ani jednego słowa przez zaciśnięte usta, choć od czasu do czasu pojękiwał przez nos. Pamiętam, pomyślałem wtedy, że pan Ho osiągnąłby znacznie lepsze rezultaty, robiąc znacznie mniej syfu dookoła.

Faceci w granatowych płaszczach przeciwdeszczowych przez chwilę konwersowali ze sobą kwacząco, po czym zwrócili się do mnie.

– Kto ty? – zapytał jeden z nich.

Żałośnie przyłożyłem dłoń do szczęki i zacząłem robić miny osoby cierpiącej na ból zęba.

Facet odsunął moją rękę i zadał mi cios w szczękę swoim ciężkim pistoletem. Potem podniósł mnie z podłogi i z powrotem usadził na krześle.

– Teraz repiej, mniej bori? – spytał, a ja energicznie pokiwałem głową. – Rozpoznasz nasze twarze?

Tym razem nie musiałem udawać cierpienia.

– Ależ skąd! Wy wszyscy, panowie, wyglądacie tak samo dla... nie, to znaczy... zupełnie nie mam pamięci do liczb, a co dopiero do twarzy czy...

Facet przełożył pistolet do prawej ręki i znowu mnie nim zdzielił. Teraz już naprawdę potrzebowałem dentysty. Nie pozbawił mnie przytomności, ale dla celów praktycznych postanowiłem udawać, że tak się stało. Opuściłem głowę, jakby mi opadła. Nie uderzył mnie więcej.

Przez przymknięte powieki patrzyłem, jak faceci w płaszczach rozbierają nieprzytomnego doktora Lo. Był dobrze odżywionym dentystą, jak to oni. Jeden ze zbirów wyjął coś z kieszeni jego fartucha i odpakował, rzucając przez ramię kartonik, który wylądował u moich stóp. Widniała na nim nazwa „Bull-Stik” – był to jeden z tych przerażających klejów cyjanoakrylowych, dla których nie ma rozpuszczalników. Jeśli coś takiego przyklei ci się do palców, to bez operacji się nie obejdziesz. Jeden z trzech mężczyzn rozproszony klej po siedzeniu fotela stomatologicznego i posadził na nim nagiego doktora Lo – a wcześniej rozstawił mu nogi. Później robili inne podstępne rzeczy, o których wywolelibyście nie czytać, a ja chętnie zapomnę. Szczerze mówiąc, czym prędzej naprawdę zemdlałem. Opóźniona reakcja wstrząsowa, te rzeczy...

Kiedy odzyskałem przytomność, poczułem w ustach jakieś drobne twarde elementy, które wyplułem na dłoń. Tak, oczywiście, były to wszelkiego sortu plomby.

Trzej faceci w płaszczach przeciwdeszczowych tymczasem zniknęli, więc powlokłem się do fotela dentystycznego i siedzącego na nim doktora Lo. Miał mniej lub bardziej otwarte oczy.

– Policja? – zapytałem. Nie zareagował. – Posłuchaj – zacząłem – i tak będzie trzeba zadzwonić po pogotowie, a ci zawiadomią policję. Będzie wyglądało podejrzenie, jeśli od razu jej nie wezwiemy.

Powoli, ostrożnie kiwnął głową, jakby właśnie zdał

sobie sprawę, że jest bardzo starym człowiekiem. Tak naprawdę był po czterdziestce – w każdym razie jeszcze tego rana. Ja też miałem wrażenie, że postarzałem się w ciągu kilku godzin.

– Po pierwsze – podjąłem (nie mogłem mówić wyraźnie ze względu na wybity ząb, a on nie mógł mówić w ogóle ze względu na to, czego się zapewne domyślacie) – po pierwsze, co masz dla mnie?

Odwrócił z wolna głowę i wbił spojrzenie w ścianę przy drzwiach.

Podszedłem tam.

– To? – zapytałem, wskazując dość kiepski obraz na zwoju.

Pokręcił głową.

Wskazałem z kolei kilka oprawionych w ramki dyplomów mających upewnić klienta, że Lo Fang Hi ma licencję na wyrywanie zębów w granicach rozsądku. On jednak wciąż kręcił głową i patrzył niemo w ścianę. Nie było tam nic innego oprócz jakichś muszych odchodów i wulgarnej reklamy pasty do zębów, przedstawiającej wysokiego na stopę pana Tubkę z rękami i nogami, w otoczeniu ze dwudziestu naturalnej wielkości tubek wspomnianej pasty. To znaczy kiedyś był w tym otoczeniu, bo teraz tubki leżały rozrzucone po podłodze, każda otwarta i wyciśnięta przez zbirów. Przyjrzałem się samemu panu Tubce. Miał w środku drobny biały proszek.

Nie wiedziałem, jak smakuje heroina czy kokaina, nie

wziąłem więc proszku na palec i nie skosztowałem, jak to robią w telewizji, jeśli się nie śpi późną nocą, ale raczej nie miałem wątpliwości, że nie jest to talk dla dzieci.

Nigdy nie byłem prymusem w arytmetyce, ale ku mojemu przerażeniu szybkie obliczenia upewniły mnie, że stałem się oto dumnym, choć onieśmielonym posiadaczem ponad pół kilograma nader nielegalnego towaru. Wartego w Amsterdamie, powiedzmy, osiemdziesiąt tysięcy funtów. Albo, co gorsza, powiedzmy, pięćdziesiąt lat w pudle. Nie mogę powiedzieć, że bym się ucieszył. Wprawdzie, jak każdy, chętnie bym przyjął osiemdziesiąt tysięcy funtów – bo nie jestem pazerny jak mój brat – ale wolałbym, żeby zdeponowano je dla mnie dyskretnie w Union des Banques Suisses, a nie że bym musiał nosić je przy sobie w postaci chodzącego wyroku sądowego.

Doktor Lo zaczął wydawać rozpaczliwe odgłosy. Zawsze byłem współczującym człowiekiem, ale pierwszy raz w życiu wysmarkałem chińskiego dentystę. Bo oczywiście nie mógł oddychać przez nos. Wezwałem pogotowie i policję, a następnie dałem nogę, bo przecież jestem typem twardziela.

Znalazłszy się z powrotem w hotelu, zadzwoniłem do Johanny – macie pojęcie, że można z Chin zadzwonić do Londynu? – i powiedziałem jej konspiracyjnie, że z zębiastym przyjacielem nie jest dobrze i że z jej

małżonkiem też bywało lepiej. Poleciała mi, żebym załatwił sobie drobne, zszedł na ulicę i zadzwonił do niej ponownie z budki telefonicznej. Zrobiłem to, bo zawsze staram się zadowalać ludzi. Wkrótce wznowiliśmy rozmowę, już bez trzasków na linii.

– To nic trudnego, Charlie, kochanie – powiedziała Johanna, kiedy skończyłem wylewać czarę goryczy. – Masz ołówek albo długopis?

– Oczywiście, że tak – warknąłem – ale co, do diabła...

– Więc zapisz. Ukryć przy sobie... eee... proszek do mycia zębów. Wsiąść jutro rano do samolotu z Bangkoku do Delhi. Potem do samolotu z Delhi do Paryża. Później do samolotu Air France, lot zet zet sześćset dziewięćdziesiąt z Paryża na lotnisko J.F. Kennedy’ego w Nowym Jorku. Wiesz, jak to się pisze? To dobrze. Dalej: podczas lotu pójść do toalety... przepraszam, kochanie, nigdy nie nauczę się mówić „ubikacja”... i odkręcić panel za muszlą klozetową. Ukryć tam towar. Na lotnisku przejść przez odprawę i kupić bilet na lot zet zet osiemset osiemdziesiąt siedem z Nowego Jorku do Chicago. To ten sam samolot, ale lecący na trasie krajowej... nie ma odprawy, rozumiesz? Podczas lotu wyjąć towar. Zadzwonić do mnie z Chicago po dalsze instrukcje. Jasne?

– Nie – odparłem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, kochanie?

– To, że tego nie zrobię, nie ma mowy. Widziałem

film o więzieniu w San Quentin i bardzo mi się nie spodobał. Nie zrobię tego. Gdy tylko wrócę do hotelu, spuszczę towar w tym, co nazywasz toaletą. Proszę, nie próbuj odwozić mnie od tego zamiaru, bo podjąłem już decyzję.

– Charlie?

– Tak?

– Pamiętasz, jak zaraz po ślubie namówiłam cię na wazektomię?

– Tak.

– W tej przemiłej malutkiej klinice?

– Tak.

– Nie przeprowadzili wazektomii.

– Wielkie nieba! – wykrzyknąłem z oburzeniem. – Jeszcze będziemy mieli dziecko!

– Raczej nie, kochanie. Zamiast przeprowadzić wazektomię, wszczepili ci w okolice krocza kapsułkę z materiałem wybuchowym i kwarcowym mechanizmem zegarowym. Bomba eksploduje, policzmy, za dziesięć dni. Potrafi ją usunąć bez aktywacji tylko facet, który ją wszczepił, więc proszę, niech nikt przy niej nie majstruje, bo lubię cię takim, jakim jesteś, wiesz? Ej, Charlie, słyszysz mnie?

– Uhm – odrzekłem ciężkim głosem. – No dobrze. Tylko podaj mi jeszcze raz numery lotów. I... Johanno?

– Tak, kochanie?

– Temu gościowi, który wie, jak wyjąć ze mnie ten gadżet, powiedz, żeby bardzo, bardzo ostrożnie

przechodził przez ulicę, dobrze?

16. Mortdecai popija trochę więcej, niż mu to służy, i zostaje przestraszony przez kompetentnego straszyciela

Jako dobrze wychowany człek,
Zerkam nieznacznie w komin starego Lagganu (...)
Królik czy bekas – nawet miłsze stwory:
Jestże dłuższy tytuł – broń Boże?

The Old Poacher

Nie zabawiłem tam dłużej, niż wymagały obowiązki, nawet po to, żeby przegrać swoje tysiąc funtów przy stolikach w Makau; wrzuciłem wszystko – no, prawie wszystko – do walizki i udałem się do recepcji, aby uregulować rachunek i zarezerwować bilet na nocny lot. Recepcjonista – jak im się udaje wyglądać tak samo? – oznajmił, że ma dla mnie coś w sejfie. Gdyby było tam dokąd uciec, to pewnie bym uciekł. A ponieważ nie było, rzuciłem nonszalancko:

– Ach, tak?

Wówczas recepcjonista pogmerał przy sejfie, po czym wyjął z niego grubą kopertę, zaadresowaną niewprawnie: „Przyjaciół ubogich”, i podał mi ją, zapomniawszy wyrzucić przypiętą do niej kartkę

z adnotacją: „Dla otyłego faceta o wyglądzie Żyda, który nosi koloratkę tyłem do przodu i za dużo pije”. Ponieważ nie jestem dumny, otworzyłem kopertę. Zawierała liścik następującej treści: „Drogi Ojcze! Postawiłem Twoją forszę w craps i wygrałem pięć razy z rzędu, potem przelicytowałem kilku innych graczy i znowu mi się poszczęściło, od tego odjąłem pięć procent za swój czas i fatygę, mając nadzieję, że biedni pomodlą się za szczerze Ci oddanego...”. Poza tym w kopercie znajdował się niewiarygodnie gruby plik banknotów w walutach niemal wszystkich krajów. W takich hotelach jak ten, w którym się zatrzymałem, oddziały banków działają, oczywiście, dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc za całą wygraną (i znaczną część tysiąca funtów, które miałem przy sobie) kupiłem czek gotówkowy i zgodnie z tym, co nakazywało mi sumienie, wysłałem go biednemu. Jedynym biednym, jaki przyszedł mi wtedy do głowy, był C. Mortdecai z Upper Brook Street, Londyn, gmina Centrum. Na zawsze zachowam w pamięci tamtego miłego Amerykanina jako jedynego uczciwego człowieka, jakiego spotkałem na swojej drodze życiowej.

Tak bezbolesne zdobycie środków umożliwiających zakup kolejnego sztychu Rembrandta do albumu na czarną godzinę zazwyczaj działa kojąco na moje końcówki nerwowe, jednak w tym przypadku znowu zacząłem się trząść, i to jeszcze długo przedtem, zanim taksówkarz zawiózł mnie na lotnisko. Jednakże nie było

to takie złe. Gdybym bowiem przybrał pewną siebie minę, niewątpliwie zostałbym uznany za złoczyńcę, a tak, ponieważ aż podrygiwałem z przerażenia, celnicy i agenci bezpieczeństwa przepuścili mnie dalej jako typowy przypadek płasawicy albo parkinsona – chorób zawodowych wśród sekretarzy kurii.

Wszystko szło gładko jak sanie Świętego Mikołaja aż do przedostatniego etapu podróży, czyli lotu z Paryża do Nowego Jorku liniami Air France. Nawet trochę zbyt gładko, bo byłem już ździebko nawalony – no wiecie, wczorajszy, bo tamtego dnia do obiadu strzeliłem sobie kilka kolejek szkockiej – i w drodze do toalety całkiem niechcący usiadłem kolejno na kolanach kilku współpasażerom. Ich reakcje były zróżnicowane, od „Och, czy nie za śmiało pan sobie poczyna?!” przez *Oh, du lieber Augustin po Pas gentil, ça!*, a jeden spokojny dżentelmen z Chin zignorował mnie kompletnie, udając, że nie widzi pod sobą żadnego Mortdecaia. Zamknąwszy się wreszcie w klopie albo sraczu, jak kto woli, uświadomiłem sobie, że zapomniałem uzbroić się w niezbędny śrubokręt, którym mógłbym odkręcić panel za muszlą klozetową.

Wróciłem zatem na miejsce, już obserwowany uważnie przez stewardesę. Kiedy podeszła zapytać mnie o samopoczucie, postanowiłem uciec się do podstępu: powiedzieć, że zaciął mi się suwak u spodni, więc żeby dostać się do hydrauliki waszego Mortdecaia, potrzebuję śrubokrętu. Niestety, zawiodła mnie płynna zazwyczaj

znajomość francuskiego – a czy wy, będąc znietrzeźwieni, pamiętacie, jak jest po francusku „śrubokręt”? – i musiałem w pewnym momencie odwołać się do języka migowego. Energicznie wskazując swój rozpokreślenie, zacząłem głośno powtarzać słowo „śrubokręt”. Ona jednak znała angielski niewiele lepiej niż ja francuski.

– „Śrubo” ja rozumię – odparła skromnie – ale co to jezd ten „kręt”, co?

– „Kkrét” – podjąłem z pasją – „kręt” to jak... o, *conducteur*! – I znowu wskazałem energicznie tę część spodni, w której znajdował się mój osobisty odgromnik.

Wtedy złożyła dłonie, jakby doznała olśnienia.

– A! Teras ja rozumię! Kcesz mi powiedzieć, żebyś zrobił *conducteur*... pilotowi... to, co *général de Gaulle* całemu narodowi francuskiemu, *non*?

– O słodki Jezu, frytki i sos pomidorowy! – jęknąłem, osuwając się na fotel.

To ją zaskoczyło. Odeszła i sprowadziła koleżankę, poliglotkę o przydymionej karnacji i barytonie tenorowym.

– Ja nie mówię po angielski lepiej niż ona – ryknęła ta nowa. – Wyjaśnij, co kcesz.

Na szczęście wiedziała jednak, co to jest śrubokręt (po francusku to *tournevis*, jak powie ci każdy trzeźwy człowiek), i pięć minut później niebezpieczny proszek znalazł się bezpiecznie za panelem w toalecie, a ja brałem się w garść na podłodze.

– Weź się w garść – mówiłem sobie surowo. – Nie wolno ci wzbudzać podejrzeń. Nie możesz wylądować w cudzoziemskim mamrze z tykającą bombą zegarową w okolicy *vasa deferentia*. Musisz zachować dyskrecję.

Powędrowałem więc przejściem na miejsce, machając śrubokrętem, pogwizdując nonszalancko kilka taktów z *Così fan tutte* i świecąc celowo niezapiętym rozporkiem, żeby wszyscy zainteresowani domyślili się celu mojej wyprawy. Nie sędzę, żeby ktoś zaszczyił mnie drugim spojrzeniem.

Wszystko nadal szło cudownie gładko i – jeszcze bardziej wczorajszy, chociaż dzień się nie skończył – wkrótce znalazłem się w cudownym Chicago. (Podejrzewam, że osławiony jet lag, czyli zmęczenie spowodowane zmianą stref czasowych, to nic innego jak zwykły kac. Z całą bowiem pewnością nie czułem się wtedy gorzej, niż czułbym się normalnie o tej porze dnia).

Wiatry w Chicago to mocno przesadzona sprawa; ja miałem większe, ze strachu. W drodze do hotelu, patrząc przez okno taksówki, wyteżałem wzrok, bo liczyłem, że zobaczę jakichś mafiosów, rozwalających z rozpylaczy parszywych kapusiów albo załatwiających majchrem swoje babki, ale, niestety, żadnych nie zauważyłem. Kiedy poskarżyłem się na to taksiarzowi, zarechotał.

– Wystarczy, że mamy Nixona – rzucił przez ramię. – Komu potrzebny Capone?

Udałem, że załapuję. Oczywiście, słyszałem

o Caponem. Przejdzie do historii, prawda?

Mój hotel należał do tych samych hoteli, w których zatrzymuję się na całym świecie, tyle że był wyższy. Nigdy nie dorównają one Claridge'owi ani Connaughtowi, a już na pewno nie Bristolowi (w Paryżu we Francji) z dwupoziomowym apartamentem na ostatnim piętrze, ale przynajmniej wiesz, czego możesz się spodziewać. Wiesz, jakich rozmiarów będzie łóżko, jak sprężysty materac, jak potraktuje cię room service, kiedy już uda ci się do niego dodzwonić – i to, że lepiej nie wystawiać butów za drzwi.

Odwiędziłem klopa, czy raczej toaletę – dlaczego nie? – i jak zwykle zastałem na sedesie „opaskę sanitarną”. (To upewnia Amerykanów, że mogą bezpiecznie usiąść na desce klozetowej, bo, jak wiadomo, wszyscy oni panicznie boją się bakterii. Hotelowi menedżerowie uwielbiają tę sztuczkę, bo jest tania i skuteczna; wystarczy wytrzeć deskę kawałkiem papieru i spryskać aerozolem, zamiast ją porządnie umyć. Tylko Arabowie nie dają się na to nabrać i stają na muszli). Potem wzięłem szybki prysznic (był tak zaprogramowany, żeby cię albo poparzyć, albo zmrozić na kość, dzięki czemu nie stoisz pod nim godzinami; to kolejny tani i skuteczny trik, chwytacie) i narzuciwszy na siebie świeży ciuch czy dwa, odbyłem sam ze sobą krótką debatę. W jej efekcie zadzwoniłem najpierw do Bluchera, a potem do Johnny, z powodów, których się domyślicie.

Blucher wydawał się nadzwyczaj rozbawiony.

– Wydaje się pan nadzwyczaj rozbawiony – zauważyłem kwaśno.

– Cóż, panie Mortdecai, prawdę mówiąc, właśnie odebrałem telefon od pewnego dżentelmena z Chin... który właściwie dla mnie nie pracuje, ale czasami przekazuje mi pewne informacje, tak dla śmiechu, wie pan?... i dowiedziałem się od niego, że jakieś czterdzieści minut po starcie z Paryża... we Francji... usiadł mu pan na kolanach.

– Niespodziewana dziura powietrzna. *Conducteur...* przepraszam, pilot... nie umiał prowadzić i powiedziałem mu, co o tym myślę.

– Dziura powietrzna na wysokości trzydziestu tysięcy stóp? Taaa, oczywiście. A już ta historia ze śrubokrętem... tylko proszę mi nie mówić, że zastosował pan stary numer z panelem za muszlą klozetową. Naprawdę? Naprawdę pan to zrobił? – Gdybym nie wiedział, że to sztywniak, dałbym głowę, że tłumi śmiech.

– Hej – podjął – a skosztował pan tego przechwyconego towaru? Bo może to faktycznie proszek do mycia zębów?

– Z tego, co wiem, to bardzo prawdopodobne.

– Co? A tak, dobrze pan kombinuje. Cóż, teraz chyba powinien pan zadzwonić do swojej pani. Niech pan robi dokładnie to, co panu poleci. Kilku naszych ludzi będzie w pobliżu ze świeżymi pieluchami, ale żadnego pan nie

zauważy. I proszę do mnie nie dzwonić, dopóki nie wróci pan do Anglii, chyba że wyniknie coś, z czym naprawdę nie będzie pan umiał sobie poradzić. Czy to jasne?

– Ma pan na myśli coś takiego jak śmierć?

– O nie, broń Boże – odrzekł poważnie. – Jeśli pana zabiją, proszę w żadnym razie do nas nie dzwonić. Nie przyznamy się do pana, takie są zasady, rozumiemy się?

– Rozumiemy – odparłem z taką samą powagą. Potem rzuciłem jeszcze: – Przypuszczam, że nie powie mi pan, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ma pan rację – potwierdził. I odłożył słuchawkę.

Zadzwoiłem więc do Johanny.

– Kochanie! – zawołała, kiedy przekazałem jej wiadomości. – To cudownie! A teraz usiądź sobie wygodnie przy telefonie, a ja zaraz kogoś tam do ciebie przyślę.

– Czy wiesz, która jest tu godzina? – pisałem oburzony.

– Wiem, która jest tutaj, Charlie. A która jest tam u was, w Chicago?

– Godzina kolacji – warknąłem, bo lis młodego Spartanina wżerał mi się we wnętrzności.

– Ojej, usiądź i wypij jednego czy dwa drinki, kochanie. Osoba, która do ciebie przyjdzie, poda ci pyszną kolację, obiecuję.

– No dobrze – odparłem jak już nieraz.

Kolejna rewolta została słumiona, kolejny

przyczółek stracony. Po co narody płacą takie wysokie pensje generałom, gdy kobiety potrafią doskonale ich zastąpić, i to wcale nie używając sił zbrojnych? Postanowiłem umyć zęby – oczywiście nie zamiast napić się drinka, ale oprócz.

„Aj waj, aj waj, Mortdecai! – biadoliłem, szczotkując ocalałe zęby (moje inicjały to tak naprawdę C.S.v.C. Mortdecai, ale zostawmy to, zostawmy). – Dlaczego znosisz pociski zawistnego losu? [14](#)”.

Odpowiedź była prosta, bo pytanie miało charakter retoryczny: albo będę znosił pociski zawistnego losu, albo nie dotrzymam umowy, którą zawarłem z Blucherem, i stracę życie. Zasadniczo nie miałem nic przeciwko śmierci jako takiej. Załatwia sprawę rachunków do zapłacenia i składa na innych obowiązki ukrycia pornografii, nielegalnej broni, kompromitujących listów – wszystko to staje się mało ważne, gdy ma się nad sobą grubą warstwę ziemi. Jednakowoż – pamiętam wyraźnie, jak z powagą mówiłem „jednakowoż” do szczoteczki, kiedy ją spłukiwałem – jednakowoż, jak by wam to powiedzieć, wtedy jeszcze śmierć nie była czymś, czego bym pragnął. Przede wszystkim nie znajdowałem się w stanie łaski, a co gorsza, płonąłem żądzą zemsty na podstępnej Johannii, która wywinęła mi ten paskudny numer z wszczepieniem bomby zegarowej. (W samolocie zamierzałem poprosić stewardesę, aby przytknęła ucho do moich *vesiculae seminales* i powiedziała mi, czy

słyszysz jakieś tykanie, ale ponownie zawiodła mnie znajomość francuskiego. Zresztą niewykluczone, że uznałaby moją prośbę za nieco dziwną).

„Mówi się trudno!” – pomyślałem, a później powlokłem się na dół, do hotelowej drogerii, gdzie poczyniłem małe zakupy.

Pewnie nie widzieli tam jeszcze nikogo, kto by poprosił o pół kilo talku dla niemowląt. Nabyłem także kilka mocnych kopert i znaczki. Dużo znaczków. Wróciłem na chwilę do pokoju, potem znowu wyskoczyłem na pocztę i niebawem usiadłem, odprężony, w fotelu, skutecznie lecząc lekarstwem w płynie objawy jet lagu, chociaż wciąż wściekle głodny. Tylko taki człowiek z żelaza jak ja mógł się oprzeć pokusie zamówienia kanapki czy dwóch, ufałem jednak Johanniemu: a jeśli ona mówi, że ma w ofercie wyborną kolację, to obiecana kolacja w ofercie będzie.

Nie mogę jednakże powiedzieć, że czekając na zapowiadzanego gościa, nie czułem pewnego niepokoju. Gdy rozległ się dzwonek u drzwi, miałem już w głowie notowania: siedem do trzech, że będzie to mafioso z watowanymi ramionami, który zrewiduje mnie przed podaniem *spaghetti con le vongole*, młodych cukinii smażonych razem z kwiatami w głębokim tłuszczu i dużej ilości pepperoni jako dodatku, oraz dziesięć do siedmiu, że zjawi się seksowna sadystka płci żeńskiej, która obmaca mnie lekceważącym wzrokiem, a potem zażąda, żebym zabrał ją do Sardiego albo gdzie

indziej i postawił jej bażanta pod szkłem – najbardziej pozbawione polotu danie na całym świecie.

Myliłem się, zresztą nie pierwszy raz. Kiedy na dźwięk dzwonka podszedłem do drzwi i je otworzyłem, do apartamentu wkroczył nie kto inny, jak tylko korpulentny dżentelmen z Chin, któremu usiadłem na kolanach podczas lotu boeingiem 747.

– Dobryczór. Jak reci? – zapytał uprzejmie.

Zerknąłem na jego krawat.

– Idziemy na grilla? Ojej, przepraszam. Dobryczór. Reci dobrze. Wstąpi pan na drinka?

– Nie, ja dziękuję. Pan głodny? Niech pójdzie.

Poszłem. To znaczy poszedłem.

Pewnie się nie zdziwicie, kiedy wam powiem, że zostałem uraczony chińszczyzną, ale nie w zwykłej chińskiej restauracji, i wcale nie tak obskurnej, jak się spodziewałem po swoich pierwszych wrażeniach z Chicago – miasta, które jakby się uparło, aby sprowadzić wszystko do najniższego z najniższych wspólnego mianownika. (Spieszę donieść, że wśród moich najlepszych przyjaciół są mieszkańcy Chicago – choć może się z tym nie afiszuję – ale czuliście kiedyś zapach Chicago River, gdy toczy swoje oleiste wody pod dziewięcioma mostami w centrum Wietrznego Miasta? Mówi się, że uciekają z niej nawet aligatory, przytykając do nozdrzy uperfumowane chusteczki. A co do smrodu padliny dochodzącego od samego jeziora

Michigan, „fuj!” to zdecydowanie za łagodny komentarz).

Tamta restauracja, jak mówiłem, zanim zszedłem na ekologię, bynajmniej nie należała do tych, w których prostacy łączą ze sobą trzy czy cztery dania i jedzą powstałą w ten sposób papkę z czipsami i sosem sojowym, podczas gdy kelnerzy przyglądają się temu z kamiennymi minami i myślą nie wiadomo co. Nie, to był jeden z tych rzadkich przybytków, w których nie ma karty dań – po prostu stale donoszą ci tam małe porcje bezimiennych specjałów, a ty jesz je po kolei, każde z osobna, bez sosu sojowego. Starłem się nie zawieść tamtejszych oddanych kelnerów i niewątpliwie zdolnych kucharzy; usiłowałem też zasłużyć na opinię najszybszego użytkownika pałeczek na północnym Środkowym Zachodzie.

Jak się okazało, mój gospodarz miał na nazwisko Ree albo Lee, naprawdę nie wiem. W Oksfordzie mieliśmy wykładowcę Koreańczyka, który przedstawiał się śpiewnie jako „Ree”, a podpisywał jako „Lee”. Nie widział w tym żadnej niekonsekwencji.

Gdy moczyliśmy palce w miseczkach z wodą, mój uprzejmy gospodarz wymamrotał grzecznie, że rozumie, iż mam dla niego przesyłkę. Od tej chwili zacząłem moczyć w zamyśleniu.

– Może mam – odparłem ostrożnie – a może nie. A co?

Popatrzył na mnie spokojnie. Odpowiedziałem na to

równie spokojnie.

– Rzecz w tym, że nie dostałem żadnych instrukcji dotyczących rozdawnictwa próbek proszku czy też pasty do zębów w węższym czy szerszym gronie osób, niezależnie od tego, jak pysznie gotują.

– Panie Mortdecai – powiedział ciężkim głosem, tak ciężkim, jakim potrafią mówić tylko takie typy jak on – ma pan na pewno wystarczające doświadczenie, aby wiedzieć, że w tej konkretnie branży nie uważamy za stosowne, ani nawet wskazane, bawić się w kotka i myszkę. Zdaje pan sobie sprawę, że dysponujemy pewnymi środkami perswazji?

– Wielkie nieba, tak! – zapewniłem go pospiesznie. – Tak, wielkie nieba. Rzeczywiście, miałem przyjemność i zaszczyt poznać waszego pana Ho. I dlatego ja z kolei przedsięwzięłem pewne środki ostrożności. Jestem dość prostoduszny, rozumie pan, nikomu źle nie życzę ani nic w tym rodzaju, ale o wiele przyjemniej jest kierować się instynktem samozachowawczym niż autodestrukcją, nie zgodzi się pan ze mną?

– Jakie środki ostrożności pan przedsięwziął, panie Mortdecai?

– No, cóż, powierzyłem proszek do zębów poczcie amerykańskiej. Jak słyszałem, to niezawodna i nieprzekupna instytucja. Ani mróz, ani deszcz ze śniegiem, ani związki zawodowe nie przeszkadzają jej w dostarczeniu na czas... i tak dalej. Przesyłka jest w drodze pod bezpieczny adres. To staroświecki sposób,

wiem, ale najlepszy, jaki przyszedł mi do głowy. Na pewno pan rozumie.

– Panie Mortdecai – wymamrotał uprzejmie, nalewając mi kolejną filiżankę doskonałej herbaty – skoro poznał pan mojego podwładnego, pana Ho, musi pan zdawać sobie sprawę, że ten bezpieczny adres można będzie z pana wydobyć w krótszym czasie niż ten, w którym to mówię.

– O tak, dam głowę. Zdaję sobie z tego sprawę, ale ten adres nie stanowi żadnej tajemnicy, mogę go panu zdradzić, jeśli pan chce. Brzmi tak: „Attaché handlowy ambasady brytyjskiej w Waszyngtonie”... który zajmuje się także koordynacją spraw dotyczących bezpieczeństwa, czy jak się to nazywa, pewnie pan o tym wie. To mój kolega ze szkoły, zna moją twarz. W pewnym sensie nawet dla niego pracowałem w latach czterdziestych, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Jest trochę przeczulony na punkcie bezpieczeństwa, nie oddałby przesyłki nikomu innemu, tylko mnie. I to, oczywiście, mnie samemu, bez asysty. A jeśli nie wypowiedziałbym właściwego hasła, udzieliłby mi przytulnego schronienia w ambasadzie na tak długo, jak bym tylko zechciał. Czy jasno się wyrażam?

Zastanawiał się przez chwilę, ale nie demonstracyjnie.

– Jasno – odrzekł. (Anglik odpowiedziałby: „Jasne, że tak, jasne, że tak”, ale mój Azjata był oszczędny w słowach). – Ire pan chce?

– Ma pan na myśli pieniądze? – spytałem pogardliwie.

– Nie chcę forszy. Ani tym bardziej, broń Boże, żadnej części tego drogiego proszku do zębów, bo chyba wiem, co przydarza się ludziom, którzy mają coś, co chcieliby mieć inni. Nie, zależy mi tylko na pewnej drobnej informacji. Jestem już trochę zmęczony i zniecierpliwiony tym, że używa się mnie jako narzędzia w sprawach, na których zupełnie się nie znam. Te próby manipulacji ze wszystkich stron uwłaczają mojej inteligencji. Jestem gotów walczyć pod niemal każdym sztandarem, jeśli można dobrze na tym zarobić, ale najpierw wolałbym rzucić okiem na ten sztandar. Mam zbyt dużą nadwagę, żeby się bawić... eee... w kotka i myszkę.

Po tym, jak deliberował nad moimi słowami, poznałem, że to bystry gość. O ile bystrzejszy ode mnie, to oczywiście pozostawało niewiadomą.

– To całkiem zrozumiałe, panie Mortdecai – odpowiedział w końcu. – Odnoszę zresztą wrażenie, że pański oficer prowadzący zupełnie nie zważa na pańską inteligencję i... eee... inne cechy. Zgadza się, że powinien pan mieć prawo rzucić okiem na sztandar, pod którym pan warczy... are chyba zdaje pan sobie sprawę, że najpierw musiałbym zobaczyć jakiś dowód. Tak?

– Tak – ustąpiłem.

Zaprosił mnie do swojego biura. Weszliśmy do środka. To wydaje się proste, ale wejście do biura zakonspirowanego dżentelmena z Chin oznacza, że jest się lustrowanym przez różne wizjery, skanowanym

wykrywaczami metalu, a ponadto skazanym na słuchanie, jak właściciel tegoż biura mamrocze coś pod nosem do czułych na głos zamków – słowem, wszystko to, co w dzisiejszych czasach niszczy jakość życia. Śmierci również – doszedłem do wniosku. Chińczyk podał mi szklaneczkę autentycznej whisky rodem z Glenlivet Johna Smitha, a sam wykręcił tak wielocyfrowy numer, że musiał dzwonić gdzieś bardzo, bardzo daleko. Uprzejme spojrzenie, jakie mi rzucił, czekając na połączenie, nie nosiło żadnych znamion wrogości, sprawiło jednak, że poczułem się bardzo, bardzo daleko od domu i bliskich. Można by pomyśleć, że patrząc na mnie, szacował koszt drewna na moją trumnę – a może betonu i drutu do wiązania. Przestałem wciągać brzuch, żeby zniechęcić go do tego wydatku.

Tymczasem w końcu Chińczyk uzyskał połączenie.

– O! – rzucił.

– „...radości, iskro bogów” – mruknąłem, bo nigdy nie mogę się powstrzymać przed dokończeniem cytatu.

Popatrzył na mnie ostrzejszym wzrokiem i przeszedł na język, który brzmiał jak złośliwa parodia walijskiego prezentera wiadomości, a w rzeczywistości był zapewne jednym z wielu dialektów chińskich. Przez jakiś czas miauczał, stękał i zawodził, a potem słuchał z uwagą, podczas gdy od podobnych odgłosów wydawanych przez interlokutora słuchawka aż wibrowała mu w dłoni. Trwało to jakiś czas, aż nagle ni stąd, ni zowąd rzucił pięknie modulowaną, acz nieco staroświecką

francuszczyzną:

– *D'accord. Au'voir, re copain.*

Na pewno pragnął się popisać – uznałem.

Odłożywszy słuchawkę na widełki, powiedział do mnie:

– Chciałby pan umyć ręce, panie Mortdecai?

Obejrzałem rzeczony kończyny; w rzeczy samej były mocno spocone. Skąd on to wiedział?

Powróciwszy z jego bogato, lecz dziwnie urządzonej toalety, zaatakowałem niczym żołnierz oddziału szturmowego.

– No i jak, panie Ree?

– Dobrze, dziękuję – odparł.

Mój atak spalił na panewce. Poczułem się jak młodszy oficer, który wysłał pluton do walki przeciwko stanowisku artyleryjskiemu, zapomniawszy wcześniej nanieść je na mapę. (Słuchanie później uwag pułkownika nie jest ani w połowie tak nieprzyjemne jak konieczność napisania dwudziestu listów do krewnych ofiar, podczas gdy towarzysze broni w sali odpraw udają, że cię nie widzą. Najgorsza chwila przychodzi jednak wtedy, gdy ordynans przynosi ci kolację do okopu albo do namiotu i mówi: „Pomyślałem, że dziś wieczorem pan porucznik będzie zbyt zmęczony, żeby zjeść w kantynie”. Ale dość wspominków).

Wygłosiwszy owo miażdżące „Dobrze, dziękuję”, pan Lee czy Ree popadł w milczenie i znowu zaczął mi się badawczo przyglądać. Nie przerywałem tej ciszy,

czułem bowiem, że teraz jego ruch.

– Panie Mortdecai – zaczął po deprymującej przerwie – jest pan człowiekiem dyskretnym? Nie, proszę nie odpowiadać, to nie było pytanie, ale ostrzeżenie. Jeszcze trochę grenriveta? Trzymam go na specjalne okazje.

Słowa „specjalne okazje” delikatnie zawisły między nami w powietrzu.

– Mój przyjaciel – ciągnął – pozwoił mi zdradzić panu nieco więcej informacji dotyczących naszej pracy... żeby zniechęcić pana do darszych zabaw z towarem wartym dużo pieniędzy. Pod warunkiem jednak, że nie wspomni pan o naszej rozmowie pańskiej pięknej żonie, nie doniesie o niej żadnemu amerykańskiemu pułkownikowi, którego może pan przypadkiem znać (a tak, wiemy o tym, ale pańska żona chyba nie), i oczywiście nie powiadomi pan swojego przyjaciela z ambasady w Waszyngtonie, który, proszę mi wybaczyć, jest głupcem. W każdym razie ma w gabinecie podsłuch.

Westchnąłem. Ależ to życie się powtarza.

– Proszę mówić dalej – rzuciłem nonszalancko. Ręce znowu zaczęły mi się lepić od potu.

– Po pierwsze, pańska żona ma do pana słabość, ale w tych okolicznościach zostałaby pan przez nią uznany za „sparonego” i zlikwidowany. Zakopałaby pana Fiona, ta dziewczyna od psów ze szkoły. Być może pańska żona ma na tyra duże wpływy, aby przed pogrzebem sprawdzić, czy na pewno pan nie żyje, ale nie byłbym

tego pewny.

Nie wzdrygnąłem się, nigdy jeszcze nie pozwoliłem, aby cudzoziemiec widział, jak się wzdrygam, pan Ree musiał jednak dostrzec kropelki potu, które zaczęły wyskakiwać mi na czole jak piłeczki pingpongowe.

– Po drugie, jeśliby przekazał pan te informacje pewnemu amerykańskiemu pułkownikowi, stałby się pan dla niego zbędny, a on być może zechciałby podrizać się swoim przełożonym... którzy nigdy nie aprobowali tego, że pozwoił panu zostać przy życiu... i kazałby pana „zlikwidować ze szczególnym okrucieństwem”, jak to się mówi. Naturalnie najpierw wzięłby pana na przesłuchanie, a to by borało.

– Pewnie tak. – Zadrżałem. Nie muszę wam mówić, że nienawidzę bólu.

– I wreszcie stałby się pan wrogiem mojej organizacji. I to trzeciej kategorii.

– Tylko trzeciej? – zapytałem z oburzeniem jak kiedyś zapewne królowa Wiktorja, gdy otrzymała abisyński Order Czystości drugiej klasy: – Co to ma znaczyć?

– To ma znaczyć, że nie zabiribyśmy pana.

– O, to dobrze.

Mięsień na jego twarzy zadrgał, jakby facet był oficerem brytyjskiej kawalerii, który usiłuje się zorientować, czy ktoś nie żartuje, a jeśli tak, to czy wypada się uśmiechnąć, czy nie.

– Nie – kontynuował, najwyraźniej rezygnując

z uśmiechu. – Nie zabiribyśmy. Wrogów trzeciej kategorii nie zabijamy. Are po jakimś czasie sam zacząłby pan nas błagać o śmierć. A my nie chcieribyśmy spełnić tej prośby. Po korejnych dwóch, trzech dniach... zareźnię od pańskiej wytrzymałości i żywotności... powiedzmy, że po dwóch... wypuścilibyśmy pana w pobriżu przejazdu korejowego. Z białą raską... bo do tego czasu, oczywiście, straciłby pan wzrok... więc z białą raską przykrejoną do tego, co zostałoby z pańskiej ręki... i z dziesiędorarowym banknotem, który wsadzilibyśmy panu między dziąsła. Przykro mi, tak, między dziąsła... bo naturarnie wszystkie zęby też by pan do tego czasu stracił.

– Naturarnie – przyznałem dzielnie.

– Te dziesięć dorarów dałby pan komuś, żeby przeprowadził pana na drugą stronę torów. Bo w takim stanie potrzebowałby pan pomocy, rozumie pan.

Pozbierałem się do kupy, przypominając sobie, że w końcu jestem po części Brytyjczykiem. My, Brytyjczycy, nie kulimy się w obliczu barbarzyńców ani nie ulegamy obcym groźbom. (No dobra, Suez to był wyjątkowy przypadek, nieprawdaż?)

– Panie Ree – zacząłem tak rzeczowo, jak tylko pozwalały na to słowa – proszę mi coś powiedzieć. Czy to prawda, że jeśli Chińczyk nie wypróżni się co najmniej dwa razy w ciągu dnia, to uważa, że ma zaparcie? Gdzieś o tym czytałem i bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy to prawda.

Przez chwilę zastanawiał się nad moim pytaniem, zdradzając zaskoczenie w takim stopniu, w jakim pozwalała na to typowa nieprzenikniona mina.

– Tak – odparł po półminucie. – Tak, to prawda. Are nie rozumiem, draczego pan o to pyta. Czy nie ma spraw niemar równie ważnych...?

– Pytam – wyjaśniłem, zachowując brytyjską rzeczowość – ponieważ boję się o pańskie zdrowie. Mam wrażenie, że od kilku minut z pańskich ust wydobywają się ścieki... eee... odchody. Pański system trawienny jakby zupełnie stracił poczucie kierunku. Krótko mówiąc, jeśli mi pan wybaczy, zaczyna mnie pan nudzić.

– Ach – odrzekł.

– Jednakowoż – ciągnąłem – rozumiem pana, a nawet od dziesięciu minut zgadzam się z panem. Jeśli powie mi pan teraz, własnymi słowami, tyle, ile pozwolili panu wyjawić przełożeni, może pan być pewny, że nikomu tego nie przekażę. Po pierwsze, jestem człowiekiem honoru. Po drugie, nie jestem bohaterem.

– Ach – odparł znowu. – Are, panie Mortdecai, nasze akta na pański temat muszą zawierać błędy, bo przeczytałem w nich, że potrafi pan kłamać jak prostytutka i czasami jest pan zdorny do wręcz absurdarnej brawury. Jak również, że jest pan rozsądny, a to cecha myrona często z tchórzostwem.

Spojrzałem na zegarek i kulturalnie powściągnąłem ziewnięcie.

– Panie Ree – podjąłem – przestraszył mnie pan zgodnie ze swoim zamiarem. To nie było konieczne, bo byłem już przestraszony. Pańskie akta na mój temat nie kłamią w jednej kwestii: jestem rozsądny. Niech mi pan powie prawdę. Obaj wiemy, że może pan mnie zabić i że pan to zrobi, jeśli tak zdecyduje... i dopóki ja nie zabiję pana, czego na razie nie mam w planach. A tymczasem mogę nalać sobie jeszcze wspaniałej whisky? I poznać kilka faktów, które by mnie skłoniły do rozstania się z proszkiem, hę?

Taki byłem mężny. Pan Ree podał mi chusteczkę higieniczną. Otarłem nią pot z czoła. A on tymczasem wreszcie zaczął mówić.

– Pańską żoną jest Johanna Mortdecai.

Cóż, to oczywiście nie była dla mnie nowość, jednak nie zamierzałem się wdawać w żadne gierki. Nie skinałem nawet głową.

– Jest główną finansistką... przepraszam, *financière*? ... Towarzystwa Dominacji Kobiet. A także jego szefową.

– Ma pan na myśli Towarzystwo Wyzwolenia Kobiet, prawda? – zauważyłem z zakłopotaniem, z jakim poprawia się cudzoziemców, którzy przekręcają słowa.

– Nie, panie Mortdecai. Towarzystwo Wyzwolenia to przykrywka, która miała na ceru... eee... wysondowanie gruntu i odwrócenie uwagi od innych posunięć. To pozwoiło sprawdzić, ile głupich kobiet jest gotowych... jak by tu powiedzieć... na złość babci

obciąć sobie uszy. – To miał być żart.

Uśmiechnąłem się, nie odsłaniając jednak zębów.

– Słuszna uwaga – rzuciłem – bo gdyby Pan Bóg nie chciał, żebyśmy nosili pas przepuklinowy, nie zesłałby na nas przepukliny, prawda? – On jednak się nie uśmiechnął.

– Towarzystwo Dominacji Kobiet to bardzo poważna organizacja. Prawdopodobnie najbogatsza prywatna organizacja na świecie, bogatsza nawet od Frontu Wyzwolenia Palestyny... z którym zresztą pozostaje w przyjacielskich stosunkach.

Już miałem powiedzieć coś aroganckiego o tym, jak mało mnie obchodzą środki i przestępcza działalność FWP, gdy nagle przypomniałem sobie, że ze czterdzieści lat wcześniej obiecałem wiekowej cioci, iż nigdy nie będę kłamał. (Zrobiłem to w zamian za karmelki Mackintosha. Już od dawna ich nie produkują – zresztą nie są dobre na zęby dla panów w średnim wieku – ale jak Mortdecai coś obieca, choćby tylko cioci, to dotrzyma słowa). Więc ugryzłem się w język.

– Członkinie tego towarzystwa – podjął pan Lee – zamierzają przejąć panowanie nad światem.

Rzuciłem mu spojrzenie – wyćwiczone przed lustrem – jakie zwykle rzucam innym graczom w pokera dobieranego, stawiającym na czwartą kartę. Ale nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia.

– Jak może im się to nie udać? – zapytał. – Po pierwsze, groźna Amerykanka w średnim wieku

kontroruje trzy piąte bogactwa najzamożniejszego państwa na świecie. Po drugie, kobiety za „zasłoną”... w haremach muzułmańskiego świata... kontrorują środki, których nie jest w stanie poriczyć nawet Zurych. Po trzecie, interektuaristki z Izraera i Indii trzymają porityków... eee... za jaja. Po czwarte, kobiety kierują się kompleksem kastracji. To odpowiednik kompleksu niższości, pod wpływem którego mari mężczyźni zostają tyranami. Areksander Wierki był bezbronny wobec kobiet, Hun Attyra umarł, próbując osiągnąć erekcję, Naporeon miał absurdarnie małego penisa (trzydzieści sześć mirimetrów... kirka rat temu został sprzedany na aukcji w Sotheby's), a Adorf Hitrer, jak wszyscy wiedzą, tyrko jedno jądro.

Zacząłem niespokojnie wiercić się na krześle. Opowiadał takie bzdury, jakie często wydają się bardziej sensowne, niż to dyktuje poczucie sensu. Poza tym gorączkowo usiłowałem przeliczyć w pamięci mirimetry na cale – a może stopy?

– Po piąte – ciągnął, rozkładając na blacie elegancko wymanikiurowane palce – kto im się sprzeciwi? Jest jakieś państwo... oprócz Chin... które nie byłoby przezarte zgnirizną od góry do dołu? Może pan wymienić choć jednego porityka na wysokim stanowisku, który byłby sirnym mężczyzną... mężem stanu?

To nie było pytanie retoryczne. Przerwał, żeby dać mi czas na odpowiedź. Skorzystałem z tego czasu.

– Nie – odparłem w końcu.

Przekrzywił głowę o kilka milimetrów.

– Po szóste i ostatnie, mają przyjaciół, jak już mówiłem. A przede wszystkim mają nas.

– Nas, czyli kogo?

– Issywiu.

Wytrzeszczyłem na niego oczy, jak jeszcze nigdy w życiu nie wytrzeszczałem. „Issywiu” – tak berlińczycy wymawiali nazwisko Christophera Isherwooda, człowieka, który przejdzie do historii jako autor żartu o „ostatnim z małych Spenderów” [15](#). Pozwoliłem sobie unieść brew. Przeliterował więc to słowo.

– ICWU. Internationar Chinese Waiters Union, czyli Międzynarodowy Związek Chińskich Kernerów. Nie, proszę się nie śmiać. Nasza organizacja... nie nazywamy się tak, ale prawdziwa nazwa panu nic nie powie... to jedyna międzynarodowa organizacja z prawdziwego zdarzenia na świecie. Jedyna bez absurdalnych afiriacji politycznych. Jedyna taka, w której pracownicy mają takie samo prawo głosu jak pracodawcy. Muszą mieć. I co najważniejsze, jedyna, która nie ma kłopotów z łamistrajkami. Tacy rudzie dostają godzinę na zrozumienie, że związek jest ich matką i ojcem. Tym bystrzejszym udaje się to pojąć w znacznie krótszym czasie. A głupsii... cóż, wysyłamy ich rodzinom prezent w postaci pieniędzy... i niespodzianki.

– Jak ucho? – zaryzykowałem pytanie.

– Owszem, coś w tym rodzaju. Are takie przykre incydenty nareżą do rzadkości. My, Chińczycy, jak wie cały świat, jesteśmy notorycznymi hazardzistami. Jeśli pójdzie pan do swojej urubionej chińskiej restauracji i zobaczy pan, że przeszła w inne ręce, to będzie oznaczało, że właściciel przegrał ją przy stole.

– To wiem – odparłem.

– Nowy właściciel tyko taką restauracją zarządza, rozumie pan. Jest winien związkowi dużo pieniędzy, podobnie jak kernerzy, w zarezności od stanowiska. Zdaje pan sobie sprawę, że to wymaga dużego zaprecza finansowego, większego, niż mogą zapewnić składki członkowskie. Pańska czarująca żona wspiera nas poprzez swoją organizację. Częściowo podtrzymując naszą płynność finansową, a częściowo udostępniając swoje zdorne młode damy w charakterze kurierek, żebyśmy... mogri nadażyć z międzynarodową wysyłką medykamentów na cały świat. Myślę, że więcej nie musi pan wiedzieć.

– „Piękno jest prawdą, prawda pięknem!... oto co wiesz na ziemi i co wiedzieć trzeba” – powiedziałem, czerpiąc z urny greckiej.

– Słucham?

– Keats [16](#).

– Kits?

– Tak... to znaczy kociątka.

– Aha. Mogę załatwić...

– Proszę, niech pan nie robi sobie kłopotu. Po prostu

przyjąłem do wiadomości, że udzielił mi pan wszystkich informacji, jakich tylko mógł udzielić.

– Byłem z panem szczerzy, panie Mortdecai. Mam nadzieję, że mi pan wierzy.

– Oczywiście. A Święty Mikołaj żyje. Dostanie pan swój cukier puder. Spotkajmy się jutro w Waszyngtonie, dobrze?

17. Charlie przekazuje pewien niebezpieczny produkt spożywczy i z mniejszą niż zwykle uległością przyjmuje cios

Mężczyzna z głową, z sercem kobieta,
On, żeby rządzić, ona, żeby słuchać;
Inaczej tylko zamęt.

The Princess

– Hej, Charlie! – zawołał następnego dnia Humphrey, kiedy wprowadzono mnie do jego gustownie urządzonego sanktuarium, czyli gabinetu w ambasadzie.

– Hej, hej, Humpers! – odparłem grzecznie.

Wymieniliśmy jeszcze parę uprzejmości, swobodnie przerzucając się bardzo użytecznym „hej”. Zwalnia ono od konieczności myślenia, pamiętania, czy rozmówca jest żonaty, rozwiedziony, innej orientacji i tak dalej. A nade wszystko oszczędza ryzyka związanego z pytaniem o rodziców. Humphrey jest potomkiem dość starej irlandzkiej rodziny, co oznacza, że przynajmniej jeden z jego krewnych, bliższych albo dalszych, siedzi przykuty łańcuchami w ciemnym lochu, o chlebie i wodzie, i dla zabicia czasu odgryza szczerom głowy.

Co więcej, hejowanie dało Humphreyowi okazję do

wyjęcia z kieszeni wizytówki, na której widniały starannie wystukane na maszynie słowa: „Pokój jest na podsłuchu”. Pokiwałem energicznie głową, co pewnie uznał za nieme „aha”, choć miało to być w gruncie rzeczy nieme „owszem”. Uderz w stół, a nożyce się odezwą – jeśli wolicie.

– Pewnie jeszcze za wcześnie na drinka? – zapytał, zerkając na zegarek.

– Wręcz przeciwnie, za chwilę będzie za późno – odparłem, niepotrzebnie patrząc na swój. – Wjeżdżaj bezzwłocznie z wodą życia.

Podszedł do kredensu, odemknął go z klucza i wyjął dwie grube koperty, które wcześniej mu wysłałem. Unosząc brwi, zapytał:

– Szkocka czy burbon?

– Poproszę jedną i drugą – rzuciłem wesoło.

– Ty pijaku. – Ze śmiechem podał mi obie paczki, a potem wręczył dużą brandy z wodą sodową, bo wiedział, że o tej porze dnia dobrze mi zrobi. (Tacy faceci jak on nie dostają się do wywiadu tylko dzięki urokowi osobistemu; nie słuchajcie tego, co mówią producenci wód po goleniu).

Powoosterzyliśmy [17](#) sobie jeszcze przez chwilę, chichocząc bezgłośnie na myśl o zaciśniętych szczękach gości z FBI i ściągniętych brwiach facetów z CIA, gorączkowo wysyłających w ramach kodu pomarańczowego numer 5 rozkazy wytropienia takich chlub Klubu Trutni, jak Ooffy Prosser i Barmy

Fotheringay-Phipps. (Miejmy nadzieję, że wzięli Klub Trutki za kryptonim nowej tajnej londyńskiej siedziby Firmy – chociaż kto wie, może ona naprawdę tak się nazywa).

Gdy tak przerzucaliśmy się woosteryzmami – zarówno on, jak i ja słyniemy z przerzucania się czymś takim – Humphrey podsunął mi bloczek, na którego kartkach napisałem wystarczająco dużo informacji, aby z nawiązką odwdzińczyć mu się za pomoc. Dokładnie rzecz biorąc, napisałem wszystko, co wiedziałem, że według mojej wiedzy wie pułkownik Blucher, jeśli jasno się wyrażam, i dorzuciłem jeszcze kilka sensacji, które dałyby mu przewagę w grze i pozwoliły zyskać coś na wymianę w negocjacjach z Blucherem. Starannie wyeliminowałem fragmenty, które lepiej było pominąć; i tak by mi nie uwierzył, a poza tym dotyczyły mojego osobistego bezpieczeństwa. („Leniwy, inteligentny, podstępny; typ walczącego o przeżycie” – tak głosiło podsumowanie mojej charakterystyki na świadectwie szkolnym z ostatniej klasy i od tego czasu się nie zmieniłem. Żebyście nie pomyśleli, że jestem niestały).

Raz jeszcze przyssawszy się dla pokrzepienia do cycka z brandy, pożegnałem się z przyjacielem, przed wyjściem przekazując pozdrowienia dla Freddiego Widgeona i Honorii Glossop. Humphrey uprzejmie odprowadził mnie do drzwi i przystanąwszy na moment przy lampie, w której musiała znajdować się pluskwa, szepnął do mnie chrapliwie:

– Charlie, nie wierz w ani jedno słowo starego Mullinera.

Z wrażenia wciągnąłem powietrze, ale śmiejąc się w kułak, obiecałem, że nie będę.

Pan Ree zgodnie z zapowiedzią czekał na spotkanie ze mną, patrząc grzecznie w przestrzeń jak człowiek dokonujący w pamięci skomplikowanych obliczeń. Albo obmyślający morderstwo doskonałe, którego ofiarą ma być jego żona. Zaproponował mi drinka, ale widać było, że nie wkłada w to serca, a ja z kolei chciałem już załatwić sprawę, nawet za cenę spadku poziomu alkoholu we krwi. Szczerze mówiąc, wolałbym przenieść ulicami irlandzką bombę zegarową niż paczkę heroiny. Jeśli to była heroina.

Przeszliśmy przecnicę do miejsca wybranego przez pana Ree, gdzie nie mogli nas zobaczyć głupi, nieudolni chłopcy z brytyjskiego wywiadu. (Smutny to będzie dla świata dzień, w którym dżentelmeni ze Wschodu wreszcie zrozumieją, że zachodnia nieudolność to w gruncie rzeczy wschodnia przebiegłość. Cóż, przynajmniej w znacznym stopniu). Podkradliśmy się do wejścia. Chińczyk otworzył dużą teczkę. Ja wrzuciłem do niej grubą kopertę. On nieznacznie skinął głową i posłał mi ciężkie, przeciągłe spojrzenie, a potem wskoczył do wielkiej, wulgarnej, czarnej limuzyny, która stała na jałowym biegu przy hydrancie przeciwpożarowym pod pobłażliwym okiem dobrze opłacanego policjanta. Nie spodobało mi się to ciężkie,

przeciągłe spojrzenie pana Ree; było to jedno z tych spojrzeń, które zdają się mówić: „Mortdecai, lepiej, żeby ten towar okazał się tym, czym ma być, bo mamy sposoby, żeby zmusić cię do mówienia”. Nonszalancko machnąłem ręką, pewny, że nikt gołym okiem nie zobaczy, jak w moim żołądku buzuja kwasy. Potem spojrzałem na kartkę, którą pan Ree przed odjazdem wcisnął mi do ręki. Nie był to, jak liczyłem, hojny zaskórniak, ale coś lepszego, o wiele lepszego. Przeczytałem bowiem: WIADOMOŚĆ OD ŻONY DWUKROPEK IMPLANT Z BOMBĄ ZEGAROWĄ TO TYLKO ŻART KROPKA NIE BÓJ SIĘ KROPKA PROSZĘ NIE BĄDŹ ZŁY SERDECZNOŚCI HANNA KROPKA KONIEC.

– Kropka koniec, rzeczywiście – warknąłem.

Zanim limuzyna znalazła się poza zasięgiem wzroku, przy krawężniku zatrzymała się inna, jeszcze bardziej wulgarna i czarna – jak w powieściach. Przelotnie obrzuciłem ją wyniosłym spojrzeniem, jednocześnie próbując zatrzymać gestem którąś z przejeżdżających taksówek. Ale amerykańscy taksówkarze najwyraźniej nie rozumieją brytyjskich gestów. Gdy moje obawy zaczęły przechodzić w prawdziwie brytyjską irytację, uświadomiłem sobie, że z limuzyny – tej drugiej, dłuższej i jeszcze bardziej wulgarnej – wysiadają poważni, nobliwie wyglądający panowie. Nie zwracając na nich uwagi, dalej usiłowałem władczyimi ruchami ręki zatrzymać przemykające taryfy. I w tej chwili

zostałem zdzielony w tył głowy.

Ci z was – proszę, wybaczcie – którzy z braku czegoś lepszego do roboty czytają opowieści o prawdziwej trudnej miłości, takie jak ta, na pewno mieli okazję przeczytać, jakie to uczucie zostać zdzielonym w potylicę. Przed oczami stają gwiazdy, ćwierkają drozdy, wybuchają fajerwerki, dzwonią dzwony i tak dalej. To wszystko bzdury. Nic z tego nie wyszło spod pióra kogoś, kto naprawdę doświadczył takiego walnięcia.

Przemawiając jako ten, kto w swoim czasie otrzymał nie jeden podobny zdradziecki cios ani nie dwa, mogę przedstawić towarzyszące mu efekty w formie naukowej, jaką chętnie przyjąłby do druku każdy poważny periodyk medyczny. Otóż więc:

(A) Ofiara czuje wyraźne walnięcie w tył głowy vel czaszki. Przez chwilę ma wrażenie, że umiera.

(B) Pod wpływem walnięcia nowicjusz mówi „Aaaach!” albo coś w tym rodzaju, zależnie od grupy etnicznej. Weteran, któremu takie walnięcie nie jest obce, osuwa się cicho, żeby nie zostać walniętym drugi raz.

(C) Zdzielony zapada w najspokojniejszy w świecie sen, bardziej pozbawiony marzeń sennych, niż tego doświadczył od czasu dojrzewania.

(D) Budzi się niechętnie, aby stwierdzić, że dokucza mu straszliwy ból głowy i okropne pragnienie. A co więcej, że znajduje się w otoczeniu potężnych, szpetnych mężczyzn, którzy jego przebudzenie przyjmują chłodno,

ponieważ grają właśnie w pinochle, amerykański odpowiednik bezika. Zasypia więc znowu. Ale tym razem śpi niespokojnie.

(E) Zostaje obudzony ponownie, tym razem przez jednego z potężnych, szpetnych mężczyzn, i to w sposób tak szorstki, że nie potrafię go opisać w tekście o charakterze familijnym.

(F) Pełen oburzenia, pałający żądzą zemsty et cetera, wymierza swemu oprawcy śmiertelny cios karate, nie zdając sobie sprawy, jak wkurzająco to podziąła na profesjonalnego zbira. Śmiertelny cios karate mija cel zaledwie o kilka cali. Szpetny typ nawet się nie uśmiecha, tylko łapą wielkości łopaty wali ofiarę na oślep, gdzie popadnie, tu i tam, i gdzie indziej. Na Brooklynie chyba opisuje się to tak: „łup, łup, bang, bang”.

(G) Płacząc gorzko ze wstydu i wściekłości, ofiara pada na dywan. Szpetny typ litościwie stawia ją na nogi, ciągnąc za włosy.

Wszystko to przydarzyło się i mnie, w wymienionym porządku, na dowód czego mam kilka neuroz. Zostałem zabrany do łazienki albo toalety – nie, poczekajcie, w Stanach to się nazywa ubikacja – a tam pozwolono mi się pochorować, umyć twarz i jak powiedziałyby moja babka, „obciągnąć woal”. (Swoją kolekcję eufemizmów zapiszę w testamencie National Trust [18](#)).

Poczułem się nieco lepiej, ale oburzenie nie przeszło mi ani trochę. Słyszę, że wielu facetów przyjmuje cios

w czaszkę z niezachwianym spokojem. Niektórzy, jak się zdaje, uważają, że to sprzyja medytacji, inni robią sobie wyrzuty, że nie dość kochają bliźnich. Ja nigdy do takich nie należałem. Walnięcie czy zdzielenie w łeb zawsze przepełnia mnie nieracjonalną irytacją. My, korpulentni tchórze w średnim wieku, mamy do wyboru niewiele niedrogich form rekreacji, a pełen oburzenia gniew – dopóki ciśnienie krwi nie przekracza 120/80 – jest zarówno tani, jak i satysfakcjonujący.

W tamtej chwili stałem się więc wściekłym i bezlitosnym Mortdecaiem, któremu potężni, szpetni mężczyźni brutalnie wytarli twarz i podciągnęli spodnie, a potem zawlekli go do ciemnego pokoju i rzucili na zaskakująco wygodne krzesło. Wtedy przez minutę albo dwie pieklił się on z lubością – to znaczy ja się piekliłem, dopóki niczym czarna pantera nie spadł na mnie sen i nie zatopił kłów w tym, co zostało z mojego mózgu. W następnej kolejności nawiedziły mnie dziwnie rozkoszne sny z udziałem nader dojrzałych uczennic ze szkoły – nienadające się jednak do przedstawienia na tych czystych kartach. (Często zwracano uwagę, że mężczyźni stojący w obliczu śmierci na polu bitwy czy nawet na szubienicy gorączkowo szukają pocieszenia w akcie seksualnym. Ta sama zasada działa w przypadku zwykłego kaca: surowe jajko wbite do sosu worcester czy tabasco stanowi skuteczne placebo w przypadku nowicjusza; pinta zwiertzałego ciepłego piwa to radykalny specyfik/środek wymiotny dla ludzi o strusich

żołądkach, podczas gdy dwie duże brandy postawią na nogi doświadczonego ochlapusa, który wie, że potrzebuje kopa, aby szybko powrócić w szeregi przedstawicieli rasy ludzkiej. Możecie mi wierzyć, jedyna uniwersalna kuracja dla nas, ludzi z żelaza, to pięć minut energicznego bara-bara, jak szorstko określa to Jock. To niezawodny sposób, żeby ściągnąć pajęczyny z najbardziej zafraszowanej głowy, i sprawdza się w każdym domu. Wypróbujcie już jutro. Nie gwarantuję, że kupicie go w każdej dobrej aptece, ale możecie złożyć na niego zamówienie w każdym przedstawicielstwie handlowym w jednym z większych miast. To dygresja, wiem, lecz przydatna, już sama ta rada jest warta ceny wpisowego).

Z tych dziwnie rozkosznych snów, o których mówię, brutalnie wyrwał mnie snop oślepiającego światła i delikatne szarpnięcie za ramię. Niechętnie otworzyłem oczy, usiadłem i zwróciłem wzrok najpierw na szarpiącego, którym okazał się najniższy i najgrubszy z moich szpetnych oprawców. Wyglądał na niezadowolonego. Spojrzałem na niego poważnie, a potem zapatrzyłem się w przestrzeń nad ciągnącym się przez jakąś milę biurkiem z czarnym szklanym blatem i dostrzegłem przepaszającą twarz, która rysowała się w pewnej odległości. Kiedy złapałem ostrość, rozpoznałem w tej przepaszającej twarzy rysy pułkownika Bluchera.

– Hej, panie Mortdecai, dobrze się pan czuje? – spytał

z wyraźnym niepokojem.

– Brrr – warknąłem, bo ani twierdząca, ani przecząca odpowiedź nie mogła wyrównać rachunków między nami.

– Niech pan posłucha, panie Mortdecai, naprawdę bardzo, bardzo przepraszam za to, że został pan trochę... eee... sponiewierany...

– Brrr – powtórzyłem, przepajając ten odgłos jeszcze większym jadem niż poprzednio.

– ...ale rozumie pan, musieliśmy szybko zabrać pana z ulicy, a nie mogło to wyglądać na przyjacielskie spotkanie, więc ponieważ w tej części miasta nie dysponuję fachową ekipą, a ci ludzie... eee... dostali, zdaje się, rozkazy od kogoś innego i byli... jak by to powiedzieć... wrogo nastawieni...

– Jeszcze raz.

– ...byli... jak by to powiedzieć... wrogo nastawieni... więc tacy ludzie, gdy już mają kogoś zdjąć, to zdejmują go naprawdę dobrze, przyzna pan chyba?

– Chce mi pan powiedzieć, pułkowniku, że przekroczyli kompetencje?

– Tak bym to określił.

– I pan im to uświadomi, oczywiście?

– O tak, czemu nie? Hej, Elmer – zwrócił się do szpetnego typa stojącego wciąż przy moim krześle – Elmer, może wyskoczysz na jakąś chińszczyznę?

Gdy Elmer ruszył w stronę drzwi, wstałem szybko i paskudnym, ochrypłym tonem, którego nauczyłem się,

będąc adiutantem w gwardii, warknąłem:

– Elmer?

Odwracając się do mnie zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, natknął się na mój lewy sierpowy wymierzony w jego wątrobę i przez to jeszcze spotęgował jego siłę. To znaczy praktycznie się na niego nadział. Wszyscy słyszeliśmy o tych cudownych ciosach na głębokość „nie większą niż cztery cale”, prawda? Cóż, ten mój musiał osiągnąć głębokość jakichś dwudziestu cali i niósł ze sobą ze sto osiemdziesiąt funtów wagi, na którą składały się mięśnie, tłuszcz i mściwość. Szpetny typ jęknął: „Ooooooooooch”, czy coś w ten deseń, po czym złożył się jak sfuszerowana żaluzja wenecka. (Jock powiedział mi dawno temu: „Jeśli chce pan przywalić gościowi w brzuch, to niech pan nie myśli o jego bebechach ani ścianie jamy brzusznej; niech pan sobie wyobraza, że wali w jego cholerny kręgosłup... od frontu, rozumie pan?”. Jock zna się na tych sprawach).

Blucher musiał nacisnąć brzeczki, bo do pokoju weszli dwaj pozostali szpetni faceci i gdy ich szef wykonał nieznaczny gest małym palcem, zabrali złożonego wpół kolegę, zanim ten zdążył nieodwracalnie zniszczyć dywan.

Opadłem z powrotem na krzesło, już w nieco większej harmonii z nieskończonością. Blucher nie wyraził ani aprobaty, ani przygany, chociaż mam wrażenie, że zadrgał mu kącik ust, co u kogoś innego

mogłoby oznaczać rozbawienie.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytałem swobodnie.

18. Mortdecai nie wyczuwa dobrych wibracji

Kłamstwo, co całe kłamstwem jest,
zwalczyć można bez trudu,
Jednakże kłamstwo, co częścią prawdy,
trudniej już pokonać.

The Grandmother

Blucher wykonał uprzejmy gest, dając znak, że zamienia się w słuch i jest na moje usługi. Rozejrzałem się po biurze. Najwyraźniej nie należało do niego, ale zostało mu udostępnione przez jakiegoś Midasa, czyli współczesnego biznesmena, bo ściany były upstrzone niezwykle drogimi grafikami Muncha, Braque'a, Picassa, Légera i reszty. Nawet jeśli się lubi taką sztukę, wykraczało to poza wszelkie wyobrażenia o bogactwie, a już z całą pewnością poza możliwości finansowe Bluchera z jego poborami, i zdecydowanie nie pasowało do standardu zatrudniającej go agencji. Niemniej jednak większość gabinetów w Waszyngtonie znajduje się na podsłuchu i wszyscy to wiedzą, nieprawdaż?

Pchnąłem ciężką paczkę z proszkiem po zamarzniętym czarnym jeziorze biurka. Wylądowała na kolanach Bluchera z satysfakcjonującym „pac”, któremu

towarzyszyło męskie stęknienie odbiorcy.

– Jestem gotów powiedzieć panu wszystko – mruknąłem do niego – ale nie w tych ścianach. Jestem typem walczącym o życie i mam na to certyfikat dyrektora szkoły, do której chodziłem. Wybierzmy się na spacer. Obu nam dobrze zrobi trochę świeżego powietrza.

Popatrzył na mnie obojętnie, co oczywiście oznaczało, że gorączkowo myśli. Niemal słyszałem, jak trzeszczą i strzelają jego synapsy – niczym śniadaniowe płatki zbożowe. W jego krótko ostrzyżonym łbie tłuło się pytanie: „Czy kłamstwa, które ewentualnie wydobyliby z niego moi ludzie, mogą być cenniejsze niż półprawdy, jakie sam jestem gotów zdradzić?”. W końcu podjął decyzję; przecież takim jak on płaci się właśnie za podejmowanie decyzji – to jak zbieranie kopru morskiego, „groźne rzemiosło” [19](#).

– Hej, świetny pomysł, Charlie! – zawołał. – Chodźmy.

W przedpokoju dwaj potężni, szpetni faceci grali w pinochle, ale teraz tylko na dwie ręce, bo zza otwartych drzwi łazienki czy ubikacji dochodziły wydawane przez Elmera miarowe „ojej, ojej”. Zatrzymałem się przy ich stole i chrząknąłem. Żaden z nich nie podniósł głowy.

– Powiedzcie Elmerowi – odezwałem się głosem przepłacanego lekarza – że powinien więcej ćwiczyć, a mniej pić. Jedyne, co ma twarde, to wątrobę.

Pierwszy ze szpetnych facetów nie odrywał oczu od kart (i kto mógłby go za to winić, zwłaszcza że szybkie zerknięcie powiedziało mi, iż gość potrzebuje tylko czwartej królowej, aby mieć to, co gracze w pinochle nazywają czworokątem), jednakże drugi powoli podniósł wzrok i posłał mi swoje najlepsze i najzimniejsze spojrzenie w stylu Edwarda G. Robinsona – takie, które ma przywieść ci na myśl spluwy, betonowe buciki i płyty chodnikowe wrzucane do Potomacu razem z drutem przywiązany do twoich stóp. Widziałem już takie spojrzenia w lepszym wykonaniu.

– No to na razie, chłopaki – pożegnałem się uprzejmie w ich dialekcie.

Żaden z nich nie odpowiedział, natomiast Elmer tylko jęknął w łazience.

W Waszyngtonie, żeby przespacerować się na świeżym powietrzu, należy złapać klimatyzowaną taksówkę. Tak też zrobiłem. Wsiadłem do pierwszej, która nadjechała, a wtedy Blucher spojrzał na mnie z irytacją. Cóż, pewnie myślał, że jestem zbyt sprytny, aby wsiąść do pierwszej taksówki; ale to właśnie druga była podstawiona przez niego, dlatego wybrałem tę pierwszą. O rany, ale byłem wtedy bystry – zaledwie rok temu!

Kierowca spojrzał na nas przymrużonymi oczami zza zbrojonego szkła swojej przytulnej klimatyzowanej kabiny (możliwość dostania w łeb to także ryzyko

zawodowe taksjarzy) i zapytał uprzejmie, czym może nam służyć. To znaczy tak naprawdę rzucił: „Tak?”, ale można powiedzieć, że było to całkiem cywilizowane „tak”.

– Po prostu proszę jechać trasą turystyczną, okej? – rzucił Blucher. – No wie pan, pomnik Granta i tak dalej.

– I National Gallery, poproszę – zacząłem – a właściwie National Gallery w pierwszej kolejności. Och, i czy zechciałby się pan zatrzymać przed sklepem, gdzie mógłbym kupić małą latarnię?

– To znaczy latarkę, w zwykłej drogerii – wyjaśnił Blucher.

Kierowca nawet nie wzruszył ramionami. Woził kretynów przez cały dzień i nawet nie zapadlibyśmy mu w pamięć na tyle, żeby wieczorem miał opowiedzieć o nas żonie moczącej mu w wodzie haluksy.

– Zacznie pan wreszcie mówić? – zapytał Blucher.

Rzuciłem mu zalęknione, ostrożne spojrzenie, jednocześnie zerkając znacząco na kierowcę.

– No dobra, ale dlaczego akurat National Gallery, co?

Wreszcie poczułem się panem sytuacji. Potrafię położyć uszy po sobie, ale jeśli tylko pozwalają na to okoliczności, czuję się znacznie lepiej w dominującej roli.

– Po pierwsze – odparłem – chcę tam pojechać. Po drugie, obejrzawszy te przerażające grafiki w pańskim gabinecie, pragnę ucieszyć wzrok jakimś dobrym malarstwem. Po trzecie, NG, jako dostojna świątynia

sztuki, stanowi prawdopodobnie jedyne miejsce w tej pięknej metropolii, które nie jest na podsłuchu. Po czwarte, już od dawna jestem umówiony z niejakim Giorgiem del Castelfranco, autorem wystawionego w tej galerii obrazu, wobec którego żywię zarówno pożądanie, jak i pewne podejrzenie. Czy to jasne?

– Pewnie – skwitował z niewinnością policjanta – ma pan na myśli tego gościa, który był w Wenecji uczniem Belliniego... w czasie gdy Kolumb odkrywał Amerykę? Zgadza się? Tego, którego my, cymbały, nazywamy Giorgionem?

– Tak, niestety – odrzekłem z goryczą. – I nie musi pan mówić slangiem.

– O rety, naprawdę podobał mi się pański zeszłoroczny artykuł na jego temat w „Giornale delle Belle Arte”. Zrobił pan z tego Berensona głupiego żydka... o rety, przepraszam, Charlie...

– Nic się nie stało – odpowiedziałem. – Już bardziej mnie obrażano.

Ale byłem obrażony przez całą drogę do National Gallery i uparłem się, żeby samemu zapłacić za kurs. Taksówkarz uważnie, z ciekawością przeliczył mój napiwek, po czym oddał mi go z litościwym spojrzeniem.

Znalazłszy się w galerii, pewnym krokiem minąłem wszystkie te śliczne dzieła sztuki, wciskane przez lorda Duveena Kressowi, Widenerowi i im podobnym w starych dobrych czasach, kiedy lord Mortdecai

(owszem, mój papa) oferował pastisze członkom pomniejszych europejskich rodów królewskich, których czeki były równie dobre jak ich słowo. Z ważną miną zatrzymałem się przed Giorgionem i oświetliłem go latarnią czy tam latarką. Natychmiast jednak dopadła mnie strażniczka i wyrwała mi to narzędzie, czyniąc raban jak samica sępa składająca pierwsze jajo. Podałem tej damie swój portfel, otwarty na legitymacji historyka sztuki, i zasugerowałem, żeby pokazała ów dokument kuratorowi muzeum. Wróciła za sekundę albo dwie, cała w lansadach, zwracając się do mnie per „doktorze Mortdecai” i mówiąc, że mogę świecić latarką na wszystko. Na co tylko zechcę.

– Dziękuję pani – odpowiedziałem, ignorując sugestię.

Poświeciłem latarką na tę i tamtą część obrazu, wydając odgłosy godne historyka sztuki, takie jak „ach”, „hm” i „ojej”, podczas gdy Blucher marudził i przestępował z nogi na nogę.

– Niech pan posłucha, panie Mortdecai – odezwał się w końcu. – Zechce mi pan powiedzieć, czego pan szuka? Bo musimy...

Rzuciłem mu przez ramię protekcyjnalne spojrzenie.

– Szukam śladów ręki Tycjana z około tysiąc pięćset dziesiątego roku – odpowiedziałem. – Ale nie widzę pociągnąć jego pędzla. Zdaje się, że byłem w błędzie co do tego obrazu.

– O rety – on na to – ale przecież tabliczka głosi, że to

płótno Giorgionego...

– I na razie niech tak pozostanie – odrzekłem bardziej napuszenie niż zwykle i wrzuciłem latarnię czy też latarkę do najbliższego kosza na śmieci. (W USA kosz na papiery nazywają koszem na gazety, co wiele mówi o tamtejszym systemie wartości. Lubię amerykańskich realistów. Amerykańscy idealisci, oczywiście, nie różnią się niczym od idealistów pozostałych nacji – to ludzie, którzy zabijają bliźnich).

– Ale oto coś, na co czekałem – dodałem.

Blucher wytrzeszczył oczy. Do świątyni sztuki wlewała się grupa rozchichotanych trzynastolatek, nerwowo pilnowanych przez jedną z tych kobiet, które urodziły się, żeby zostać belferkami – na pewno dobrze znacie ten gatunek. Niektóre z nich mają całkiem zgrabne nogi, choć grube w kostkach, ale zdradzają je obwisły biust i zimna panika wyzierająca zza szkieł kontaktowych. Znam faceta, który o mało nie ożenił się z jedną taką. Dał mi wszystkie wskazówki potrzebne do ich identyfikacji. Nie pamiętam już, co powiedział Blucher, ale gdyby był Anglikiem, powiedziałby: „He?”.

Wziąłem go pod ramię i poprowadziłem w rozpełzający się tłumek. Dziewczęta chichotały, nawet ocierały się o nas, podczas gdy nauczycielka mówiła swoje, ja jednak wreszcie byłem bezpieczny. Nie ma takich mikrofonów kierunkowych, które potrafiłyby wyłowić słowa podstępnego Mortdecaia z paplaniny dorastających panienek. Blucher zrozumiał, o co mi

chodzi, chociaż wyraźnie uważał moją ostrożność za zdecydowanie przesadną. (Jest bowiem – muszę uważać, żeby nie powiedzieć „był” – jednym z tych, którzy chętnie by oddali życie za pentagońską ideę demokracji, gdy tymczasem ja należę do tych prostych ludzi wyznających zasadę, że przeżyją najlepiej przystosowani. Nie mam synów, z czego jasno wynika, że najlepiej przystosowany jestem ja sam, na pewno to widzicie).

– No dobra – mruknął mi do ucha na tyle głośno, żeby jego głos przebił się przez świergot i szczebiot przyszłorocznego towaru do bzykania. – Wywal pan to świństwo, panie Mortdecai.

– Pomyśli pan, że jestem idiotą – zacząłem.

Spojrzał na mnie dziwnie.

– Nie nabiorę się na ten tekst, nawet gdyby to miało uratować moją duszę – oznajmił.

Udałem, że tego nie słyszę.

– Widzi pan, ta paczka z proszkiem, którą zabrałem z samolotu... Cóż, zapewniłem sobie coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej na życie. Otóż bowiem przygotowałem duplikat tej paczki, tyle że z talkiem dla dzieci... ależ patrzyli na mnie w drogerii!... wsadziłem je obie do kopert i wysłałem specjalną pocztą w bezpieczne miejsce. Kiedy się upewniłem, że facet, który się ze mną skontaktował, to właściwy człowiek, zabrałem koperty z bezpiecznego miejsca i zgodnie z umową dałem mu jedną z nich. – Nie patrzyłem

Blucherowi w oczy, ale dałbym głowę, że je zmrużył.

– Którą? – zapytał tak, jakby mrużył przy tym oczy.

– Na tym polega kłopot – jęknąłem przekonująco. – Tego nie wiem. Widzi pan, oznaczyłem je literami „A” i „B”... odpowiednio... ale gdy przyszło co do czego, nie mogłem sobie przypomnieć, która to „A”. Ani, jeśli o to chodzi, która „B”.

Zamilkliśmy obaj. Belferka rozwodziła się pożytecznie o Palmie Starszym, chociaż obraz, który omawiała, stanowił dzieło Palmy Młodsze. Ale to i tak było bez znaczenia, bo nikt jej nie słuchał. Nimfetki groźnie zmawiały się przeciwko nam i zacząłem sobie wyobrazać, jak to jest być piosenkarzem. Blucher jedną rękę przyciskał do marynarki, tam gdzie zwykle znajduje się kabura, a drugą do rozporka przy spodniach czy gaciach.

– Najgorsze jest to – ciągnąłem – że właściwa paczka, jak słusznie pan zauważył, od początku mogła zawierać proszek do mycia zębów, istnieje więc duże prawdopodobieństwo, że mój... eee... kontakt...

– Pan Lee – odpowiedział usłużnie.

– Albo Ree – zgodziłem się – będzie na mnie bardzo, bardzo zły i że pan też zacznie podejrzewać, iż nie gram fair.

– Owszem – powiedział tylko. I na tym poprzestał.

Nauczycielka przeszła do kolejnego wybranego przez siebie ważnego dzieła, rzucając nam nienawistne, a swoim podopiecznym rozpaczliwe spojrzenia.

Ruszyliśmy za nią. Szeptem wyjawiałem Blucherowi niemal wszystko, czego dowiedziałem się od pana Ree. Odwrócił się i popatrzył na mnie.

– I pan w to wierzy? – spytał sceptycznie.

– To dotąd same fakty – odparłem, opędzając się od nobliwej nastolatki, która nader impertynencko prowokowała mnie [super!] przy użyciu wibratora – ale jeśli ma pan bardziej prawdopodobną wersję wydarzeń, to z przyjemnością jej wysłucham.

Zastanowił się, po czym otworzył usta – nie, wręcz podskoczył, jakby nagle doznał olśnienia.

– Olśnienie? – zapytałem uprzejmie.

– Nie, dziewczynka. Wynieśmy się stąd do cholery, proszę. Nie wiedziałem, że dziewczynki stać na coś takiego, a pan?

– Cóż, ja wiedziałem. Ale czytam różne świńskie pisemka, pułkownika.

Jednak faceci w typie Bluchera nie chwytają takich aluzji. Osłupiał na chwilę, po czym ponowił swoją prośbę, żebyśmy się stamtąd wynieśli. Uległem jego życzeniu. Znowu złapaliśmy taksówkę – tym razem pozwoliłem mu wybrać – i pojechaliśmy do jakiejś jadłodajni, gdzie podano nam coś, co smakowało jak martwy policjant na grzance. Blucher myślał intensywnie, trawiąc swoją porcję padliny (kawa w takich miejscach bywa całkiem dobra, mocno popijajcie nią jedzenie; wprawdzie to cholernie szkodzi na wątrobę, ale skutecznie zabija smak). Ja też myślałem

intensywnie, jak tylko człowiek potrafi, bo mój wyćwiczony umysł nie miał wątpliwości, że ślepa furia ostrzy już przerażające nożyce, żeby przeciąć nić życia Mortdecaia. Powtarzam, że specjalnie nie boję się śmierci, bo najwybitniejsze autorytety twierdzą, że nie jest ani bardziej bolesna, ani śmieszniejsza niż narodziny, ale naprawdę wolałbym mieć coś do powiedzenia w kwestii, kiedy, gdzie i jak do mnie przyjdzie. A zwłaszcza jak.

– Blucher – zacząłem, odsuwając talerz z chłodną już i prawie nietkniętą porcją. – Blucher, mam wrażenie, że niewielu ludzi, jeśli w ogóle, jest zainteresowanych tym, żeby utrzymać mnie przy życiu. Ja sam chciałbym je zachować z powodów, którymi nie będę w tej chwili zwracał panu głowy. Chętnie więc wysłucham pańskich sugestii.

Zwrócił ku mnie twarz, przeżuł po raz ostatni to, co miał w ustach, i popatrzył na mnie z powagą. Na brodzie miał smużkę tłuszczu.

– Ma pan smużkę tłuszczu na brodzie – mruknąłem.

Otarł ją.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytał.

– Mówiłem, że miło by było zostać przy życiu i że może podsunąłby mi pan jakieś sugestie.

Tym razem zrobił obojętną minę, a zaraz potem wręcz życzliwą. Zwrócił się do kuchcika czy też pomocnika truciciela i poprosił o dolanie kawy oraz wykałaczkę. Potem spojrział na mnie ponownie. Teraz

miął wręcz dobroduszny wyraz twarzy – nie miałem pojęcia, że potrafi w tak krótkim czasie przywołać tyle środków ekspresji.

– Wiesz co, Mortdecai, naprawdę pana lubię. W tym kraju przydałoby się ze stu takich jak pan. – Po czym wyciągnął rękę i po bratersku uścisnął mi ramię. Miał dużą i ciężką dłoń, ale się nie skrzywiłem ani nie krzyknąłem.

– A jeśli chodzi o zostanie przy życiu...? – zapytałem.

Znowu spowaźniał. Powoli, ze współczuciem pokręcił głową.

– To wykluczone – odrzekł.

19. Mortdecai wchodzi w posiadanie pewnego dzieła sztuki, bez którego mógłby przeżyć, i dowiaduje się ciekawych rzeczy o wdowach po policjantach oraz o kotlecikach rybnych

Zachodnich ziem potężna córo,
Pijemy za ciebie zza mórz.

Hands All Round

Nie jestem z tych, co płaczą, bo zauważyłem, że to nic nie daje. Nawet się nie zmoczyłem, chociaż odpowiedź była druzgocąca. Nonszalancko zapaliłem papierosa, używając do tego celu jedynie czterech zapałek, i tylko lekko przyfajczyłem sobie cenny krawat marki Sulka. Blucher, najwyraźniej pod wrażeniem mojej brytyjskiej *sang-froid*, pospieszył z szorstkim słowem pocieszenia.

– Na razie, dopóki nie skontaktuję się z kontrolerem z Agencji – zaczął – nie mam rozkazu, żeby... eee... pana zlikwidować. Jak mówiłem, nawet pana lubię. Powiedziałbym, że ma pan z osiemdziesiąt-dziewięćdziesiąt minut, zanim dostanę taki rozkaz. Każdego, kto do tego czasu próbowałby pana zastrzelić, może pan uznać za człowieka księcia kiełków bambusowych i wodnych kasztanów.

– Do widzenia więc – rzuciłem, wstając.

– Powodzenia – odparł.

Wyszedszy na chodnik, poczułem się dziwnie nagi. Nigdy wcześniej nie doznałem tak gorącego pragnienia, aby mieć niebieskie okulary, sztuczny nos i wielką rudą brodę, było jednak za późno na żal, że nie przedsięwzięłem tak elementarnych środków ostrożności. Uczynny taksówkarz sprawnie zawiózł mnie na lotnisko – w niespełna sto lat. Kiedy odzyskałem swoją walizkę i kupiłem bilet na lot do Londynu, na pewno wyraźnie posiwiały mi korzenie włosów.

Początkowo w samolocie nie zauważyłem ani jednej osoby pochodzenia chińskiego. Dopiero tuż przed startem na pokład maszyny wszedł z młodym rodakiem pan Lee. Żaden z nich nawet na mnie nie spojrział. Jeśli o to chodzi, ja też po tym pierwszym razie na nich nie patrzyłem – spoglądałem prosto przed siebie jak kierowca, który został zatrzymany za przekroczenie dozwolonej prędkości i nie chce, żeby policjant poczuł jego oddech.

Próbowałem znaleźć jakieś wytłumaczenie tej sytuacji. Bo przecież nie mogli wiedzieć, że będę leciał tym właśnie samolotem, nieprawdaż? Czy mogli? A może Johanna kazała im czuwać nad moim bezpieczeństwem. A może pan Lee codziennie latał na tej trasie albo wracał do Soho na chiński Nowy Rok, z torbą wypchaną prezentami dla wnuków. Wyglądał na

takiego, co ma chmary wnucząt i wszystkie je rozpieszcza. A może to wcale nie był pan Lee, bo przecież powszechnie wiadomo, że wszystkie te żółtki są do siebie podobne. Moja chora wyobraźnia podsuwała mi najbardziej fantastyczne odpowiedzi, aż w końcu wznieśliśmy się w powietrze i przez głośniki rozległ się skrzeczący głos pilota, który jak zwykle cudownie szczerze życzył pasażerom przyjemnego lotu.

– Ha, ha – skomentowałem to gorzko, przyciągając paskudne spojrzenie niepijącej damy, która siedziała na sąsiednim fotelu.

Głos poinformował, że będziemy lecieć na bardzo wielu tysiącach stóp (piloci to ostatni bastion opierający się przyjęciu systemu metrycznego) i że nasza prędkość osiągnie ogromną liczbę mil na godzinę. Miałem ochotę zaprotestować przeciwko tej szybkości, bo niespieszno mi było do zakończenia podróży – już lepiej podróżować w poczuciu beznadziei niż przybyć do celu.

Kiedy podeszła stewardesa, żeby zapytać, czego się napijemy, moja sąsiadka poprosiła o schłodzoną wodę, ja zaś potwierdziłem jej najgorsze obawy, zamawiając dwie duże brandy i butelkę piwa, bez lodu. Z dumą zauważyłem, że prawie nie zadrżał mi przy tym głos. Kiedy otrzymałem już swoje życiodajne napoje, mimowolnie zapytałem stewardesę, czy przypadkiem nie wie, kiedy wypada chiński Nowy Rok.

– Ojej, nie, proszę pana, chyba nie wiem, bardzo mi przykro. Ale tam, z przodu, siedzą dwaj dżentelmeni

z Chin. Gdy tylko skończę roznosić drinki, zapytam ich o to.

– Oj, nie, nie – pisałem. – Nie chciałbym...

– Ależ to żaden kłopot, proszę pana. Chętnie panu pomogę.

I niebawem zobaczyłem, jak pochyła się przy fotelach tych dwóch chińskich dżentelmenów, energicznie wskazując miejsce, gdzie siedziałem, cały drżący. Nie spojrzeli jednak w moją stronę. Stewardesa tymczasem wróciła.

– Nie ma pan szczęścia, proszę pana, powiedzieli, że Nowy Rok był trzy tygodnie temu. Och, i bardzo im przykro, że go pan przeoczył.

– Dziękuję pani. To bardzo miłe z pani strony.

– Nie ma za co. – Nadgorliwa suka.

Z wystudiowaną nonszalancją rozpostarłem „Timesa”, położyłem go na teczce i wziąłem się do rozwiązywania krzyżówki. Nie należę do tych, którzy rozwiązują krzyżówki w czasie, w jakim powinno się gotować jajko na miękko, ale w dobry dzień średnio trudna krzyżówka leży u moich stóp rozpracowana już po półgodzinie. To nie był jeden z takich dni. Szybko zgadłem hasło „kontroler biletów, ptak zwykle nazywany zdrobniale (5)” i śmiejąc się sarkastycznie, wpisałem: „kanar”, ale później nie mogłem się skupić. Winiłem za to teczkę, która jakoś nie spełniała funkcji płaskiej podkładki. I właściwie wcale nie była płaska. Zbadałem ją palpacyjnie i rzeczywiście znajdował się

w niej, ułożony ukośnie, jakiś cylindryczny przedmiot. Mimo roztargnienia, w które ostatnio popadłem, byłem pewny, że nie posiadam przedmiotu tych kształtów i wymiarów, a jeśli nawet, to niewątpliwie nie znajduje się w teczce. Otworzyłem więc zamek, podniosłem wieko i ostrożnie wsunąłem pod nie rękę. I moje palce trafiły na sztywny kartonowy walec, mierzący z osiemnaście cali długości i cztery cale szerokości. Zamknąłem wieko i – trzęsąc się już, jak nie trzęsłem się nigdy w życiu – sięgnąłem po niewypitą jeszcze brandy. Spłynęła ona obok mojego języczka, migdałków, krtani i gardła, nie dotykając ścianek przełyku. Potem położyłem się na odchylonym do tyłu fotelu i próbując oddychać miarowo, zacząłem gorączkowo myśleć. Bomba albo inne antymortdecaiowskie urządzenie? Na pewno nie, pan Lee przebywał przecież w tym samym samolocie. Zresztą wykrywacze metalu na lotnisku z całą pewnością wykryłyby coś takiego. Monstrualna tuba czekoladek Smarties od życzliwej osoby? Ale żadna taka życzliwa osoba nie przychodziła mi do głowy.

Zżerany już prymitywną ciekawością i pałając żądzą zemsty, ponownie zajrzałem do teczki i wyjąłem walec. Był lekki. Wykonany z kartonu, wyglądał dokładnie tak jak tuby, w których przechowuje się i przenosi druki, rysunki i tym podobne. Podniosłem jeden jej wylot do oka i kierując go w stronę okna, łypnąłem do środka. Stwierdziłem, że patrzę na lewą część piersi mojej

niepijącej sąsiadki. Kobieta trzepnęła w tubę i wydała odgłos przypominający syfon, w którym kończy się nabój. Chyba powiedziałem na to: „Ojej”, ale nie jestem pewien.

W tubie nie było nic z wyjątkiem zwoju grubego papieru, wsunąłem więc do wnętrza dwa palce, pogmerałem nimi wprawnie i wyciągnąłem go niczym smakowitego *escargot* w maśle. Po rozwinięciu okazało się, że to porządna kolorowa reprodukcja gwaszu Rouaulta, a po bliższych oględzinach – że raczej jego dobra kopia wykonana ręcznie techniką gwaszu. Mówię „kopia”, ponieważ oryginał, sławne *Après-midi d'un clown* tegoż malarza, znajduje się w kolekcji Peggy Guggenheim albo jednym z tego rodzaju miejsc. Była naprawdę piękna, stanowiła raczej podróbkę niż kopię, bo kopista sporządził ją na żakonecie i dodał nawet *cachet de vente*, kilka oznaczeń kolekcjonerskich i muzealny numer referencyjny. Cmoknąłem i syknąłem kilka razy, bo została źle zwinięta, wierzchem do środka – praktyka znana każdemu marszandowi aż za dobrze. Moja korpulentna sąsiadka płci żeńskiej znowu zaczęła wydawać odgłosy syfonu, co mi uświadomiło, że malowidło jest chyba trochę zbyt *explicit*; w czasach Rouaulta klauni spędzali *après-midis* naprawdę dziwacznie. (Jeśli o mnie chodzi, nigdy szczególnie nie interesowałem się sztuką nowoczesną; moim zdaniem to temat, który wymaga znacznie mniej poszukiwań badawczych). Gdy zwinąłem gwasz i schowałem go

z powrotem do tuby, z drugiego jej końca wypadła kartka. Napisano na niej na maszynie: „Może ci się to przyda na lotnisku Heathrow”. Podarłem kartkę na tak drobne kawałeczki, jak się tylko dało, jednocześnie myśląc boleśnie. Nieczęsto bowiem kopie słynnych gwaszy Rouaulta niepostrzeżenie wkradają się ludziom do teczek, a jeszcze rzadziej okazują się przydatne na lotniskach. Zachciało mi się do toalety, ale to oznaczałoby konieczność przejścia obok pana Lee i jego przyjaciela, którzy mogli na mnie spojrzeć, gdy będę wracał na miejsce. Nie byłem w na tyle dobrej formie, żeby narażać się na coś takiego. Wybrałem tchórzowskie wyjście, wcisnąłem odpowiedni guzik i poprosiłem stewardesę o „następne piwo i tak, może jeszcze kropelkę brandy”. Moja sąsiadka – która już na zawsze pozostanie w mojej pamięci jako Carrie Nation ²⁰ – szepnęła jej coś z naciskiem. Stewardesa spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Odpowiedziałem uśmiechem, ale chyba wyszedł mi z tego raczej pożądlivy grymas. Chwilę później Carrie Nation przesiadła się na inny fotel i co ważniejsze, w try miga przyniesiono mi brandy.

Napiłem się, pomyślałem, znowu się napiłem. Jednak wszystko nadal wydawało mi się bez sensu. Przypuściłem kolejny atak na krzyżówkę. Ułożył ją ktoś, kto wyraźnie lubił słowo „sianokosy” – podejrzewam, że Adrian Bell ²¹, więc bez trudu

odgadłem hasło „zdobyć względy torysowskiego przywódcy: mieć siano w głowie”, ale reszta przerosła moje siły. Oddałem się zatem myślom o tym, jak by tu przeżyć, ująć z życiem i tak dalej. Jedynym efektem tych myśli czy też przemyśleń była refleksja, że ludzie z ochrony na lotnisku ze swoimi wykrywaczami metalu nie znaleźli w mojej teczce kopii Rouaulta, natomiast migiem wykryli srebrną piersiówkę. To oznaczało, że dwaj chińscy dżentelmeni raczej nie mieli przy sobie nic bardziej śmiertcionośnego niż tekturowy sztylet. Spluwy, majchry i inne przedmioty stanowiące zagrożenie dla porządku publicznego musiały się więc znajdować w ich walizkach, w brzuchu samolotu. Z tego wynikało, że po przylocie na Heathrow w Londynie nie powinienem czekać, aż dotknięty obstrukcją system dystrybucji wydali mój bagaż, lecz go zostawić, szybko przejść przez odprawę tylko z teczką, wziąć taksówkę i czym prędzej pojechać do Walthamstow czy innego absurdalnego miejsca, gdzie miałbym przyjaciela. Tymczasem Chińczycy będą się zżymać przy karuzeli z bagażem, niecierpliwie czekając na swoje narzędzia zbrodni.

Jak przytomnie się człowiekowi myśli po wypiciu odrobiny brandy więcej, niż się powinno wypić. Z zadowoleniem spłotłem ręce na tej części korpusu, która znajduje się na południe od wątroby, i uciałem sobie małą drzemkę. Kiedy się obudziłem, zadowolenie mi nie przeszło. Ponownie wziąłem krzyżówkę

z „Timesa”, rzuciłem jej władcze spojrzenie i rozprawiłem się z nią w dwadzieścia minut, tak że zaczęła błagać o łaskę.

Zawsze śmiałem się kulturalnie z tych kretynów, którzy gdy tylko zgasną silniki samolotu, zrywają się z miejsc, chwytając swoje bachory i inny bagaż podręczny, po czym stoją przez dziesięć minut, czekając, aż obsługa łaskawie zechce otworzyć drzwi. Tym razem jednak sam wysforowałem się na czoło i popędziłem rampą, znacznie wyprzedzając pozostałych. Gdyby to był tor wyścigowy w Newmarket, postronny obserwator wyposażony w lornetkę i stoper pospiesznie udałby się do najbliższego telefonu i odbył rozmowę ze swoim bukmacherem.

Ignorując wszelkie znaki mówiące ludziom, gdzie mają czekać na bagaż, pogalopowałem prosto do odprawy celnej, w stronę błogosławionego znaku TAXI, machając celnikowi przed nosem niewinną teczką.

– To tylko stara teczka z papierami! – zawołałem wesoło. – Nie będę pana zatrzymywał, na pewno ma pan mnóstwo roboty...

– Proszę ją otworzyć – powiedział jednak.

– Oczywiście, oczywiście, oczywiście – zażartowałem – ale niech się pan pospieszy, bo zajmą mi wszystkie taksówki. W środku nic takiego nie ma, zapewniam pana.

Co jakiś czas natykam się na ludzi, którzy z jakichś

powodów nie żywią do mnie sympatii. Zaliczał się do nich właśnie tamten celnik. Oglądał każdy przedmiot, który miałem w teczce, jak stary *coureur* grzebiący w swojej kolekcji włosów łonowych. Na koniec zostawił sobie tekturową tubę.

– A to co, proszę pana? – spytał.

– Rysunek albo obraz – rzuciłem niecierpliwie, zerkając raz po raz w stronę stanowiska odbioru bagażu, gdzie moi współpasażerowie, jeśli mogę ukuć takie słowo, czekali na swoje kłamoty. – Zwykła kopia. Bez wartości komercyjnej ani nie na sprzedaż.

– Naprawdę? – spytał. – Mogę rzucić okiem?

Niechętnie wyjąłem i rozwinąłem rzeczony dzieło sztuki.

– Ze zbiorów Weltschmerzer Foundation? – zagadnął.

– O tak, właśnie, świetnie powiedziane. Ze zbiorów Weltschmerzer, oczywiście. W Chicago.

– Nie, proszę pana, bynajmniej.

– ?

– Bo należała do ich zbiorów aż do ostatniej środy. Wtedy włamały się tam jakieś łotry i nakradły tego starego dziadostwa na milion dolarów.

Otworzyłem i zamknąłem usta, znowu je otworzyłem i zamknąłem, naśladowując nieme „o”, jakie robią rybki, gdy chcą, żeby wymieniono im wodę w akwarium. Uprzejme kasznięcie, które rozległo się za moim lewym ramieniem, oszczędziło mi trudu szukania wytłumaczenia całej tej sytuacji. Spojrzawszy w tamtą

stronę, zobaczyłem uprzejmego zwalistego faceta w prochowcu albo płaszczu przeciwdeszczowym. A obróciwszy się o jakieś dwieście siedemdziesiąt stopni, dostrzegłem za swoim prawym ramieniem podobnego gościa z dobrotliwą miną.

Pozwólcie mi na krótką dygresję. Każda poważna, profesjonalna banda złodziei ma „mózg”, który planuje przestępstwo, „menedżera”, który organizuje kapitał inwestycyjny, „pasera”, który kupi i sprzeda towar, zanim jeszcze zmieni on właściciela, „złotą rączkę”, który wie, jak unieruchomić system alarmowy i otworzyć zamek, niezależnie od stopnia ich skomplikowania, „sopera”, który umie rozpruwać sejfy palnikiem albo wysadzać je poprzez wlanie do zamka jakiejś płynnej substancji, i to ciszej niż we śnie pierdzi jaskółka, „chuligana” – niestety – który w razie potrzeby unieszkodliwi ciekawskiego przechodnia żelazną lagą, „swojego” strażnika albo pracownika firmy ochroniarskiej, który jest gotów dostać w łeb za pięćset funtów, mały procent łupu, i wreszcie kogoś, o kim nigdy nie słyszeliście – „latarnika”. Wasz „latarnik” nie bierze aktywnego udziału we włamaniu i kradzieży, chodzi sobie tylko z rękami w kieszeniach. Ma jednak pewien zwykły, dany mu przez Boga talent. Potrafi wyczuć glinę, psa, krawężnika, stróża bezpieczeństwa, czyli każdego policjanta, choćby w cywilnych ciuchach, z odległości dwustu metrów ciemną nocą. Nikt – a już na pewno nie sam „latarnik” – nie wie, jak to robi, ale robi,

i to skutecznie. W całym Londynie jest tylko trzech takich godnych polecenia specjalistów i dostają oni taką samą dolę jak „chuligan”.

Chcę przez to powiedzieć, żeby gdybym pochodził z innej warstwy społecznej, nieźle bym zarabiał jako „latarnik”. Dwaj faceci, którzy stali za moimi plecami, byli nieomylnie gliniarzami.

– Dzień dobry – powiedziałem.

– Jestem detektyw inspektor Jaggard – odparł facet po mojej lewej stronie – a to detektyw sierżant Blackwell. Pracujemy w Wydziale Sztuk Pięknych.

Zerknąłem jeszcze raz na stanowisko odbioru bagażu. Karuzela ruszyła i moi współpasażerowie zaczęli tłoczyć się wokół niej. Nagle zrozumiałem, dlaczego anonimowy „życzliwy” zapewnił mnie enigmatycznie, że Rouault może mi się przydać na lotnisku.

– Proszę pokazać blachę – rzuciłem głosem Bogarta.

– Słucham? – zapytał detektyw inspektor.

– Chciałbym zobaczyć legitymacje obu panów.

Spojrzeli na siebie, wymieniając krzywe uśmieшки.

– Detektywi nie noszą blach – wyjaśnił detektyw inspektor – ale oto moja legitymacja służbowa, która robi prawie tak samo dobre wrażenie, a w przeciwieństwie do blachy, o której pan wspomniał, nie można jej kupić w sklepie z zabawkami.

Wyglądało na to, że jest to bardzo wiarygodna legitymacja.

– Dobrze – odparłem radośnie. – Proszę mnie

zaprowadzić do najbliższego lochu. Och, a może sierżant Blackwell będzie tak uprzejmy i odbierze mój bagaż, podczas gdy pan i ja pójdziemy do czarnej mańki. To walizka marki Gucci ze świńskiej skóry, ma moje inicjały, nie można jej pomylić z żadną inną.

– Czyli to będzie „CM”, jak Charlie Mortdecai, tak, proszę pana? – zapytał sierżant.

– Tak. – Kiwnąłem głową.

– To dlaczego – zagadnął detektyw inspektor – ma pan wpisane do paszportu „ojciec T. Rosenthal, sekretarz kurii”?

Jak każdy dowcipny Piłat nie czekał na odpowiedź, ale zaprowadził mnie uprzejmie do jednego z tych wielkich czarnych samochodów, którymi jeżdżą policjanci wyższej klasy. Minutę później dołączył do nas detektyw inspektor, który odebrał moją walizkę. Jednak mi jej nie oddał. Usiadłszy za kierownicą, najwyraźniej nie zamierzał jechać do czegoś, co w nazywacie Scotland Yardem, a gliniarze Kwaterą – zawiózł nas za most Battersea, do tego nowego budynku na południowym brzegu rzeki, który po napadzie na pociąg (pamiętacie?) stał się siedzibą Brygady do spraw Poważnej Przystępności i w którym znajdują się obecnie wszelkiego sortu ezoteryczne ramiona sprawiedliwości. Takie jak C II, w którym wymyśla się przestępstwa, jeszcze zanim wpadną na nie złoczyńcy, tak że ludzie już siedzą i na nie czekają. C I, znane pod pieśzcotliwą nazwą Gumowe Obcasy, które zatrudnia

naprawdę paskudnych gliniarzy; Special Power Group nieboszczyka Martlanda, czyli Spółgę, i oczywiście Wydział Sztuk Pięknych, którego pracownicy są tak dobrze wyszkoleni, że wiedzą, jak powiesić Picassa. (Picasso oczywiście nie może już tego zweryfikować). Całe to miejsce jest tajne i pilnie strzeżone, chociaż każdy londyński taksówkarz zawiezie was tam na bank.

W przytulnym pomieszczeniu na parterze oficjalnie postawili mi zarzut nielegalnego wjazdu do kraju czy jakiś inny, równie mętny, i zatrzymali mnie do rana w areszcie. Później wielką windą pojechaliśmy na trzecie piętro, pod okiem telewizji przemysłowej przeszliśmy przez ciężkie żelazne drzwi, wcisnęliśmy się do innej, znacznie mniejszej windy i zjechaliśmy osiem pięter w dół. Nie jestem wielkim miłośnikiem trzewi ziemi, jednakże wtedy nie pragnąłem znaleźć się nigdzie indziej. W dużej mierze były zaludnione, i to przez angielskich policjantów płci męskiej – gdziekolwiek okiem sięgnąć, nie było widać żadnych Amerykanów, chińskich kelnerów ani wojowniczych bab. Wprowadzili mnie do skromnie umeblowanego, jasno oświetlonego pokoju, podłączyli telefon do kontaktu i do magnetofonu, a następnie, w ramach przysługujących delikwentowi praw, pozwolili mi z niego skorzystać. Zachodziłem w głowę, do kogo mam zadzwonić. Wybrałem numer pani Spon, najlepszej dekoratorki wnętrz w Londynie i jedynej zaradnej osoby, jaką znałem. Opisałem jej z grubsza swoją

sytuację, poprosiłem, żeby skontaktowała się z „papugą” (jak my, podziemne szczury, nazywamy naszych adwokatów), porozumiała się z Johanną i w moim imieniu poleciła Jockowi warować przy telefonie okrągłą dobę.

– Niech mu pani powie – mówiłem z naciskiem – że ma nie wychodzić z domu, chyba że dostanie ode mnie albo od pani ustną instrukcję. Jeśli już musi grać w domino, niech zaprosi kumpli. Mogą napić się mojego piwa, ale w granicach rozsądku. Och, pani Spon, i proszę powiedzieć papudze, żeby nie wyciągał mnie stąd na siłę... żadnych nakazów *habeas corpus*... bo zanim odetchnę świeżym powietrzem, chciałbym oczyścić swoje imię z tych podłych zarzutów.

– Kapuję – odparła.

Odłożyłem słuchawkę z pewnym zadowoleniem. Kiedy pani Spon mówi, że kapuje, to znaczy, że kapuje. Założę się, że wprowadziłaby Wielką Flotę do akcji już w dziesięć minut po odebraniu instrukcji od mata. Nosi cudownie drogie ciuchy i ma twarz jak dawno nieużywany kamieniołom.

– No dobra – zwróciłem się do swoich dwóch porywaczy – pewnie chcieliście mnie teraz... eee... trochę wymaglować, co?

Spojrzeli na siebie, potem znowu na mnie i jednocześnie pokręcili głowami.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli poczeka pan na swojego adwokata – zauważył inspektor Jaggard.

– Dla pana własnego dobra – dodał sierżant Blackwell.

Nie udało im się mnie przestraszyć. Na podłodze stały moja walizka, teczka i plastikowa torba zawierająca zwolnione od cła brandy i papierosy, które kupiłem na lotnisku. Sięgnąłem po nią. Żadnego bicia. Powędrowałem do pobliskiej toalety i przyniosłem stamtąd dwie szklanki do mycia zębów. Pociągnąłem brandy z gwinta, po czym nalałem jej do szklanek.

– Chyba jesteśmy na służbie, nie sądzi pan, sierżancie?

Blackwell spojrział na zegarek.

– Trudno powiedzieć, panie inspektorze.

Obok szklanki Jaggarda położyłem trzy paczki bezcłowych papierosów, a obok szklanki Blackwella – dwie, po czym znowu taktownie udałem się do toalety. Kiedy wróciłem, szklanki były puste, a papierosy zniknęły, ale nie miałem złudzeń. Tacy gliniarze jak oni nie są łasi na łyk brandy czy kilka fajek, dali się nimi poczęstować, aby zrobić na mnie wrażenie ugodowo nastawionych. Zwróciłem uwagę na ich oczy. Były to oczy policyjnych karierowiczów, zupełnie inne od zaciętych oczu zwykłego gliniarza, którego można przekupić. Zaoferowałem obu panom klucz do mojej walizki, mówiąc, że jeśliby mieli ochotę ją przeszukać, to mógłbym skorzystać z jej zawartości, czyli mydła, świeżej bielizny i tak dalej. Blackwell przejrzał ją rutynowo, a Jaggard nawet nie rzucił okiem w jej

stronę, bo wszyscy trzej wiedzieliśmy, że nie ma w niej nic nielegalnego. Później napomknąłem, że położyłbym się na chwilę, a oni odparli, że właśnie kończą służbę i że być może ich szef, detektyw nadinspektor, zejdzie tu do mnie po przybyciu mojego prawnika. I wreszcie zamknęli mnie samego w pokoju. Zupełnie się tym nie przejąłem – są takie chwile, kiedy zamknięcie przynosi ulgę. Szybko wyszczotkowawszy przetrzebione zamki z kości słoniowej nie bez kozery sławioną pastą do zębów dla palaczy pana Eucryła, rzuciłem się na kozetkę i zapadłem w objęcia Morfeusza. Zasypiając, pomyślałem z zadowoleniem, że nie rozcięli podszewki mojej walizki. Bo to bardzo kosztowna walizka, rozumiecie.

Nie spałem dłużej niż godzinę, ponieważ szcęknął zamek u drzwi. Od razu zerwałem się na równe nogi – bez spodni – gotów drogo sprzedać życie. Ale w progu stanął tylko poczciwy umundurowany klawisz, który chciał spytać, co sobie życzę na kolację.

– Niedaleko stąd, przy drodze, jest chińska knajpka z daniami na wynos... ojej, dobrze się pan czuje, proszę pana?

– Świetnie, dziękuję. Świetnie, świetnie. Tylko że właśnie nabawiłem się alergii na chińszczyznę. Zjem cokolwiek, co tylko macie w kantynie.

– Dziś są kotlety siekane.

– Doskonale, doskonale. Nie ma nic lepszego. Niech pan z nimi wjeżdża. Będzie do tego kapka brązowego

sosu czy czegoś w tym rodzaju, prawda?

– Tak, i sos, i keczup, proszę pana.

– Ach, sierżancie... – rzuciłem, gdy ruszył do wyjścia.

– Tak, proszę pana? – zapytał konstabl.

– Czy w kantynie pracuje wielu Chińczyków?

– Dobry Boże, nie, proszę pana. Zatrudniamy tylko wdowy po oficerach policji. Czasami są kłótlive, ale gdy się postarają, robią najlepsze kotleciki rybne na południe od Tamizy. Akurat jutro je serwują. Będzie tu pan?

– Mam taką nadzieję – odparłem szczerze. – Od dobrych kotlecików rybnych nikt jeszcze nie oderwał mnie nawet końmi.

Kotlety siekane reprezentowały sobą wszystko, czego tylko może sobie życzyć ich wielbiciel. Towarzyszyła im fasolka z mrożonki i doskonałe tłuczone ziemniaki, nie wspominając o pełnych butelkach rzeczonoego brązowego sosu i keczupu. Były także chleb i masło w dużych ilościach oraz wielki blaszany kubek mocnej pomarańczowej herbaty, jaką umie parzyć tylko Jock, a przynajmniej tak dotąd myślałem. Łzy napłynęły mi do oczu, gdy wsuwałem do kieszeni życzliwego starego klawisza paczkę bezcłowych papierosów.

Zaspokoiwszy potrzeby żołądka, już miałem ponownie rzucić się na kozetkę, kiedy mój wzrok padł na telefon, który Jaggard i Blackwell zostawili niefrasobliwie w moim pokoju czy też celi. Podniosłem

słuchawkę i przyłożyłem ją do ucha. Usłyszałem sygnał zgłoszenia, co oznaczało, że aparat jest podłączony do otwartej linii.

„No naprawdę” – pomyślałem. Bo ludzie nie dochodzą do stopnia detektywa inspektora ani nawet detektywa sierżanta, zostawiając działające telefony w celach złodziei światowych dzieł sztuki. Zacząłem się zastanawiać, jak najsprytniej ich tu załatwić. W końcu postanowiłem zmącić studnie technik dochodzeniowych, dzwoniąc do Pete’a Walijczyka – gościa, którego często zatrudniam. Powinienem w tym miejscu wyjaśnić, że wszyscy, którzy pracują dla marszandów – podszewkarze, konserwatorzy, ramiarze et cetera – to genialni kłamcy i złodzieje. Widzą, że ich zlecniodawcy często mijają się z prawdą, i szybko się uczą, że aby dobrze zarobić na handlu sztuką, wystarczy tylko odrobina fałszu i matactwa. Nie można bardziej się mylić. Pete jest jednocześnie Walijczykiem i człowiekiem żarliwie wierzącym, dzięki czemu bije na głowę wszystkich innych kolegów po fachu. Wykręciłem jego numer.

– Cześć, Pete – powiedziałem. – Wiesz, kto dzwoni, prawda?

– Zdaje pan sobie sprawę, do cholery, która jest godzina w nocy? – warknął.

– Posłuchaj, Pete, oszczędźmy sobie towarzyskich uprzejmości. Chodzi o interes. Słyszałeś o tej dużej robocie...?

– Aha – skłamał bez wahania.

– Daj sobie z nią spokój – rzuciłem. – Zapomnij o niej. Nigdy nic nie widziałaś. Rozumiesz?

– Uhm – odparł.

Postronny słuchacz – a wiedziałem, że jest kilku takich – musiał odnieść wrażenie, iż Pete dobrze wie, o czym mówię. I tu by się pomylił.

Odłożyłem słuchawkę.

Byłem przekonany, że ta krótka pogawędka zapewni mi kolejne dwadzieścia cztery godziny bezpieczeństwa w tym solidnym, przytulnym pudle. Postanowiłem uciąć sobie drzemkę na trawienie. Zasnąłem, marząc o kotlecikach rybnych, które czekały mnie nazajutrz.

20. Mortdecai, opętany myślą o kotlecikach rybnych i przerażony myślą o wolności, ma gdzieś sąd i wszystko inne

To szaleństwo spadło na nas za grzechy nasze.

The Holy Grail

Obudził mnie mój prawnik, który powiedział, że tego wieczoru nikt jednak nie zamierza mnie przesłuchać, i zapytał, czy jeszcze czegoś sobie życzę. Półprzytomny, odpowiedziałem nieroztropnie, że nade wszystko życzylibym sobie zabawić w tym pokoju czy też celi jak najdłużej, bo próbuje mnie wymacać palec kapryśnego losu i zanim zostanę stąd wypuszczony, muszę się jakimś sposobem dowiedzieć, kto gra po czyjej stronie – ponieważ miałem pewność, że po mojej nie gra nikt. Mówiąc, że odpowiedziałem „nieroztropnie”, mam na myśli to, że gdybym był przy zdrowych zmysłach, domyśliłbym się, że w tamtym miejscu musi być więcej pluskiew niż w schronisku misyjnym dla marynarzy. On potwierdził odbiór, znacząco unosząc brwi – tylko prawnicy w dzisiejszych czasach potrafią dać sygnał brwiami, nawet menedżerowie banków stracili już tę cenną umiejętność – więc się zamknąłem. Potem

powiedział, że będzie rano w sądzie, i ostrzegł mnie ze smutkiem, ale puszcżając znacząco oko, że muszę się przygotować na wielotygodniowy pobyt w areszcie. I wreszcie życzył mi dobrej nocy. Przebrałem się w piżamę i niebawem spałem już snem niesprawiedliwego, czyli pozbawionym marzeń, tak jak sen sprawiedliwego, jeśli ma na szafce nocnej literkę red hackle'a.

Obudziło mnie przybycie kolejnego wielkiego kubka pomarańczowej herbaty oraz talerza jajek na bekonie. Jutrzenka była już jedną nogą na niebie. Jajka na bekonie zapewne nie wywołałyby błogiego uśmiechu na gębie Egona Ronaya [22](#), niemniej jednak pożądlwie chwyciłem za nóż i widelec, wiedząc, że muszę wzmocnić siły. Oczywiście miałem na myśli podróż do sądu. Droga do niego była niewątpliwie gęsto obsadzona chińskimi snajperami *faisant la haie*.

Jak się okazało, moje obawy były bezpodstawne, bo ten luksusowy dom glin miał na miejscu własnego sędziego – i minisąd. Stanowił on kameralne zgromadzenie: jeden źle ogolony Mortdecai, eskortowany przez jednego uprzejmego klucznika, jeden urzędnik, zdradzający wszelkie cechy gryzpiórka, który się nie wyspał, jeden adwokat, posyłający mi obojętne spojrzenie, które mówiło „trzymaj mordę na kłódkę i zdaj się na mnie”, jeden wymizerowany detektyw inspektor Jaggard ze wzrokiem wbitym w notes, jakby usłyszał ode mnie coś nieuprzejmego,

jeden zmęczony życiem pisarz sądowy i – ku mojej konsternacji – jedna Johanna, która wyglądała naprawdę przepięknie w kostiumie i kapeluszu barwy pierwiosnka.

Pisarz przez jakiś czas uczenie smęcił w prawniczym slangu; Jaggard przybrał ton policjanta z dowcipów i zaglądając do notesu, zrelacjonował, jak to na podstawie otrzymanych informacji przystąpił do... ale nie będę zanudzał was szczegółami – jestem pewien, że sami byliście kiedyś w sali rozpraw. Jednak gdy już spodziewałem się usłyszeć błogosławione słowa o zatrzymaniu oskarżonego C. Mortdecaia w areszcie na tyle to a tyle tygodni, żeby mógł objadać się kotlecikami rybnymi z dala od szalejących triad, spadł na mnie cios. Wstał bowiem mój zdradziecki prawnik i zgłosił, że małżonkę oskarżonego, panią C. Mortdecai, odwiedził poprzedniego wieczoru ojciec T. Rosenthal z kurii, który wyjaśnił, że wskutek jakiegoś bałaganu podczas kontroli paszportowej znalazł się w posiadaniu paszportu na nazwisko Mortdecai. I spytał, czy mógłby odzyskać swój paszport. Nie, nie mógł stawić się w sądzie, gdyż udał się na rekolekcje do Heythrop, gdzie sama spowiedź zajmie mu ze dwanaście godzin, nie mówiąc już o pokucie. To tylko absurdałne nieporozumienie – zakończył mój papuga, starannie omijając mnie wzrokiem. Jesteśmy wdzięczni policji za czujność i tak dalej, i tak dalej.

Otworzyłem usta, aby powiedzieć, że przecież jestem złodziejem światowych dzieł sztuki i zasługuję na

więcej względów, ale wtedy sobie przypomniałem, że oskarżono mnie jedynie o nielegalne przekroczenie granic dóbr Jej Królewskiej Mości. Nikt nie wspomniał o Rouaulcie ani jego gwaszach.

Sędzia pospieszył z przeprosinami pod moim adresem, wyraził nadzieję, że zbytnio nie ucierpiałem, i uwolnił mnie od zarzutów bez żadnej plamy na honorze. Byłem wolny i mogłem sobie pójść.

Rozejrzałem się wokół gorączkowo. Klucznik życzliwie kiwał głową, Jaggard sarkał, Johanna uśmiechała się promiennie jak uszczęśliwiona małżonka, możecie to sobie wyobrazić. Wiedziałem jednak, że w chwili gdy wyjdę na ulicę, będę trupem – i o dziwo, przypomniałem sobie o niezrównanych kotlecikach rybnych. Nawet moi najlepsi przyjaciele nie będą się upierać, że należę do szybko myślących; choć jednak lubię się zastanowić nad problemem przez dzień czy dwa, teraz nie było na to czasu. Wykonałem wokół klucznika czy strażnika więziennego obrót godny Freda Astaire'a i z wyciągniętą przed siebie prawicą pokonałem schodki prowadzące do sędziego. Jego mina wyraźnie świadczyła, że nie ma ochoty na takie kontynentalne wyrazy uczuć, ale po chwili wewnętrznej walki także wyciągnął rękę. Chwyciłem ją, pociągnąłem jego drobne ciało, aż wstał z ławy, i krawędzią dłoni dałem mu fangę w nos. Wcześniej nieco śpiący, teraz w jednej chwili zasnął na dobre. Z drewnianych ław zerwały się hordy skutecznych ludzi, które

unieszkodliwiły mnie sprawnie (czyli spuściły mi łomot), ale nie ucierpiałem za bardzo od ich ciosów, bo w okamgnieniu znalazłem się z powrotem w swojej przytulnej celi, spokojny o to, że ktoś, kto zdeformował oblicze urzędnika państwowego, nader rzadko zostaje zwolniony za kaucją. Pozwoliłem sobie na jeden głębszy, a resztę whisky przelałem do plastikowej torby ze sklepu bezcłowego, na wypadek gdyby mściwy gliniarz próbował zabrać mi alkohol.

Nie jestem jednym z tych, co w stresie siedzą na brzegu łóżka, obgryzają paznokcie i wyklinają owego głupca czy łajdaka, który stworzył ten padół łez. Należę raczej do tych, którzy kładą się na wspomnianym łóżku i ucinają sobie drzemkę. Kiedy w porze lunchu drzwi się otworzyły, ja stanowczo trzymałem oczy zamknięte. Głos, który mógł pochodzić tylko od jednego z tych młodych groźnych policjantów, rzucił:

– Lunch.

Pozostałem głuchy i niemy. Usłyszałem, że chłopak podnosi z podłogi pustą butelkę po whisky, potrząsa nią i głośno, z niesmakiem odstawia na stół. Potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz. Policzywszy do dziesięciu, otworzyłem jedno oko. Przyniesiony lunch mieścił się w trzech małych kartonowych pudełkach nakrytych folią aluminiową jak chińskie dania na wynos. Wylałem trochę whisky z plastikowej torby, wymieszałem ją z wodą i wróciłem do łóżka. Moje ślinianki już prędzej zareagowałyby na zdechłego

szczura niż na kiełki fasoli i sos sojowy.

Niebawem zajrzał do mnie sierżant Blackwell. Spojrzał na nietknięty lunch i zauważył:

– Co za szkoda!

– Może pan w nią wejść, proszę bardzo – rzuciłem.

– To nie miejsce na żarty – skomentował.

Miał rację, oczywiście.

Potem zaprowadził mnie do pokoju oskarżeń, gdzie oskarżył mnie o napaść, spowodowanie obrażeń fizycznych, znieważenie sądu i wiele innych rzeczy, włączając w to, jeśli się nie mylę, zbyt długie przesiadywanie na nocniczku we wczesnym dzieciństwie, a ja słuchałem tego wszystkiego ze zwieszoną stosownie głową.

Po powrocie do celi poprosiłem o coś do czytania. Wrócił po dziesięciu minutach ze sfatygowaną Biblią.

– Chyba już to czytałem – odparłem.

– Nic innego nie mamy – odciął się. – Enid Blyton [23](#) trzymamy tylko dla więźniów uprzywilejowanych.

Święta księga była wydrukowana na cienkim papierze i kilka pierwszych kartek zostało wyrwanych przez świętokradców, którzy zrobili z nich skręty (czyli papierosy), tak że Księga Rodzaju zaczynała się od fragmentu, w którym Kain mówi: „Zbyt wielka jest kara moja, abym mógł ją znieść. Skoro mnie teraz wypędzasz z tej roli, i mam się ukrywać przed tobą, i być tułaczem i zbiegiem na ziemi, każdy, kto mnie spotka, będzie mógł mnie zabić!”. Nigdy się nie dowiedziałem, co

stało się z Kainem, oprócz tego, że udał się do kraju Nod, na wschód od Edenu. Dołączyłem tam do niego.

Był to jeden z tych dni, kiedy człowiek po prostu nie może porządnie się wyspać. Wydawało mi się, że ledwie zamknąłem oczy, a tu już stary klawisz z nocnej zmiany zapowiedział, że mam się ogolić na rozprawę o godzinie szóstej. Wręcz z podziwem w oczach przyglądał mi się, gdy manewrowałem składaną brzytwą. Jak powiedział, wielu przestępców przysięgało, że skuje temu sędziemu mordę, ale dotąd żaden z nich nie spełnił swojej groźby. Wyraźnie też nie mógł uwierzyć, że jedynym motywem tej mojej śmiałej akcji była perspektywa sławnych kotlecików rybnych na kolację.

Ekipa na sali sądowej była z grubsza taka sama jak poprzedniego ranka, tyle że tym razem pilnował mnie znajomy klawisz, sędzia był jednym z tych sentymentalnych, przejętych gości, którzy chętnie słuchają o rozbitych rodzinach i trudnym dzieciństwie, a Johanna wyglądała nader apetycznie w cynamonowej sukni, jaką można kupić za kupony premiowe zbierane przez całe życie. Owszem, i był jeszcze jakiś sflaczały facet o wielkiej twarzy, którego nigdy wcześniej nie widziałem i który najwyraźniej należał do facetów z Harley Street, biorących od ciebie pięćdziesiąt gwinei za radę, abyś odbył długą podróż morską i więcej ćwiczył.

Detektyw inspektor Jaggard bezbarwnym głosem wyrecytował fakty dotyczące mojego haniebnego zachowania poprzedniego dnia. Miałem wrażenie, że sędzia pozwolił sobie na nieznaczny uśmiezek, słuchając, jak to się stało, że jego kolega po fachu już na zawsze się zmienił w okolicach nosa. Mój adwokat powołał na świadka Johannę, która kilka razy otarła batysem łzę, opowiadając mężnie, że walczę z... eee... z pewną straszliwą ułomnością i jest gotowa stać przy moim boku, dopóki nie wygram. Ja ze swojej strony tylko przyglądałem się temu wszystkiemu szeroko otwartymi oczami. I pewnie miałem się tylko przyglądać. Później wezwano na świadka sflaczałego faceta. Myliłem się, rezydował nie przy Harley, lecz przy Wigmore Street.

Wyglądało na to, że leczył mnie od ponad roku i osiągał całkiem dobre efekty. Prowadzonej przez niego terapii nie oparł się cały szereg chorób psychicznych, których nazw nie zdołałem zapamiętać. Moja lekka, choć głęboko zakorzeniona agresja w stosunku do przedstawicieli prawa już szybko zanikała, a on sam był gotów zaręczyć swoją reputacją, że ten drobny incydent, którego się dopuściłem, stanowi jedynie objaw postostatecznej sublimacji orgazmicznej, stanowiącej w gruncie rzeczy – choć nie wszystkim może się to podobać – bardzo dobry znak, świadczący, że jestem już prawie wyleczony. Miał także zapewnienie mojej żony, że jest mi ogromnie przykro i że zapłacę za

ten nos.

Pokręciłem z podziwem głową. Taki wyborczy kłamca marnował się na Wigmore Street. Były takie chwile podczas jego przemówienia, że sam zaczynałem mu wierzyć.

Pewnie zauważyliście, że sędziowie, chcąc mądrze wyglądać, spoglądają znad okularów. Ten podążał jednak za trendami. Odsunął bryle na czoło i spojrzał spod nich. Zapytał kłamliwego medyka, czy mógłby szerzej naświetlić okoliczności łagodzące, powiedzieć, czy oskarżony pochodzi z rozbitej rodziny, miał trudne dzieciństwo i tak dalej.

– O tak, tak, bardzo – odparł kłamca, mówiąc w większym stopniu prawdę, niż zdawał sobie sprawę – ale... eee... na tym etapie... na pewno Wysoki Sąd rozumie... – Tu nieznacznie wskazał głową w moją stronę.

– A tak, a tak – uprzejmie zreflektował się sędzia.

I uśmiechając się do mnie promiennie, zasunął mi sto funciaków za zdefasonowany nos swojego kolegi po fachu – mniej już nie mógł, jak się zorientowałem – dodał kilka szylingów za obrazę sądu, zobowiązał mnie pod kaucją do dobrego sprawowania i poprosił jak ojciec, żebym słuchał rad lekarzy oraz bliskich, którzy wiedzą, co jest dla mnie najlepsze. Nie zalecił tylko, żebym rzucił palenie.

Schodząc po schodach, wolny jak ptak i przerażony jak rzutek, zagadnąłem Jaggarda.

– Niech mnie pan oskarży o buchnięcie gwaszu – poprosiłem jękliwie. – Przyznam się do winy, to autentyczna kradzież.

Popatrzył na mnie z kamienną miną, jak potrafią tylko detektywi inspektorzy.

– Niestety, sir – powiedział (słowo „sir” z lekka uwięzło mu w gardle) – wygląda na to, że tego Rouaulta jeszcze przed rabunkiem kupiła od pani Gertrude Weltschmerzer pańska żona. Dla pana, w prezencie ślubnym. Rozmawiałem z panią Weltschmerzer przez telefon. Potwierdziła to. – Mówił gorzkim tonem policjanta zmuszonego żyć i pracować w świecie, w którym „prawo i porządek” stały się wytartym frazesem. Naprawdę mu współczułem.

– Hm, cóż – wybełkotałem – to bardzo ładnie z jej strony, nieprawdaż? Może nawet kupię jej jakiś antyczny wisior.

– Na pchlim targu? – zapytał.

Przestałem mu współczuć.

Na dole zebrałem swoje rzeczy, oddałem plastikową torbę z whisky życzliwemu klawiszowi, dorzuciłem jeszcze ostatnie bezcłowe papierosy – kto wie, kiedy znowu przyda mi się przyjaciel w policji – i usiadłem obok Johanny w jej ślicznym małym jensenie interceptorze. Gdy jechaliśmy na Upper Brook Street, nie padł ani jeden strzał. Moja żoneczka wyglądała pięknie za kierownicą, jak wszystkie atrakcyjne kobiety za kierownicami sportowych wozów. Jedyne, co

powiedziała, to:

– Och, Charlie, Charlie, Charlie.

Na co odrzekłem tylko:

– Uhm.

Jock był w domu i wyglądało na to, że na coś się przydaje. Zapomniałem mu przywieźć amerykańskie komiksy, ale nie dąsał się z tego powodu. Wziąłem go na stronę i szeptem wydałem instrukcje dotyczące kolacji. Moja rozmowa z Johanną była dość lakoniczna.

– Charlie, kochanie, nie trudź się relacjonowaniem mi swoich przygód. Większość z nich znam, a reszty potrafię się domyślić... Charlie, kochanie, dlaczego trzymasz się z dala od okien w taki dziwny sposób?... Charlie, co to za podejrzane brązowe rzeczy, które jesz?

– To kotleciki rybne – wymamrotałem z pełnymi ustami i ciężkim sercem. – Przyrządzone przez wdowy po policjantach.

– Rozumiem... Charlie, pewnie jesteś bardzo zmęczony?

– Bardzo.

– Za bardzo zmęczony?

– Tego nie powiedziałem.

21. Mortdecai zwiedza zakład produkcji żywności i nieustannie doskonali umysł

Ta brudna niańka, Doświadczenie, w łasce swej
Ależ mnie zwiódła.

The Last Tournament

Nazajutrz obudziłem się wcześniej niż zazwyczaj.

– Johanno – odezwałem się – mogłabyś przestać na chwilę?

– Nnnietehaz – odpowiedziała niewyraźnie.

– Ile kosztował cię ten onanista z Wigmore Street?

– Tysiaka – odparła, chrząkając.

– A Rouault?

– Nic. Nie, naprawdę nic... przypadkiem usłyszałam, że Gertie Weltschmerzer potrzebuje dużej sumy pieniędzy, żeby zapłacić swojemu przedostatniemu mężowi za odstąpienie od zamiaru publikacji wspomnień, więc do niej zadzwoniłam, pogratulowałam jej wyjątkowo dogodnej kradzieży i od niechcienia wspomniałam o prezesie pewnej firmy ubezpieczeniowej, który jest moim starym kumplem, a wtedy ona zaczęła wydawać odgłosy, które wydają zamożne kobiety, no wiesz, tego rodzaju...

– Później – upomniałem ją. – Najpierw opowiedz do końca.

– Na czym to ja stanęłam? A tak, kiedy przestała wydawać odgłosy jak indyk... tak nazywamy w Stanach indora... przypomniałam jej delikatnie, że Rouault nie mógł zostać skradziony, ponieważ sprzedała mi go parę dni wcześniej. Musiała chwilę się nad tym zastanowić, bo jest trochę tępa, wiesz? A potem odparła, że no jasne, pamięta doskonale i ma nadzieję, że mój mąż się z niego ucieszy. To wszystko. Powinam chyba tylko sprawdzić, czy mój mąż rzeczywiście się ucieszył.

Udało mi się ucieszyć odpowiednio, choć, jak wspomniałem, naprawdę było jeszcze nieprzyzwoicie wcześnie.

Jock, zapowiedziawszy swoje nadejście uprzejmym kasznięciem i niemal wyrwawszy drzwi z zawiasów (nauczyłem go, że dobry służący nigdy nie puka), postawił przed Johanną tacę z kawą, którą wy i ja pijamy po obiedzie, a Córy Rewolucji wlewają w siebie już o świcie. To cud, że kolonie amerykańskie jako pierwsze wybiły się na niepodległość – jeśli wciąż tak to nazywają. Zanim zdążyłem się jeszcze zdrzemnąć, przybyła taca dla mnie: ot, kilka jajek, pół tuzina tostów i parujący kubek dobrze wybranej herbaty. Bo Jock, rozumiecie, chociaż nieprzysposobiony do służby, ma istny dar niebios, to znaczy instynktownie wyczuwa, jakiej jego młody pan może zażyczyć sobie herbaty.

Jeśli chodzi o jej wybór, bez zmruczenia oka postawiłbym na niego przeciwko każdemu mędrkowi z Wigmore Street. Są bowiem chwile, jak na pewno wiecie, kiedy takie rzeczy mają znaczenie. Marszand, którego danego dnia czeka gwałtowny pojedynek z konkurencją na aukcji w Sotheby's, nie potrzebuje niczego innego jak tylko kojącego nerwy gatunku Ulung. Poranek w Christie's wymaga Lapsang Souchong. Decydująca walka w Bonham's o, powiedzmy, Patera, którego zauważył jeszcze tylko jeden diler, aż się prosi o Broken Orange Pekoe Tips – nie, nawet o samego Earl Greya. Jednak dla marszanda w kryzysowym momencie życia, takiego, który ponadto we wczesnym wieku średnim dzielnie rozpoczął część drugą miodowego miesiąca, nadają się tylko dwa gatunki: Twining Queen Mary's Blend albo Fortnum's Royal. Nazwałbym to wyścigiem, w którym biorą udział dwa konie. Nie pamiętam już, który wygrał, pamiętam tylko, że wyskoczyłem z łóżka, zanim wzmacniający efekt naparu kazał mi zapomnieć, że nie jestem już młodziekiem. (Nie liczy się wielkość psa w **walce**, lecz wielkość **walki** w psie, to prawda, ale marszandzi pod pięćdziesiątkę muszą pamiętać o swojej wątrobie, a także innych narządach, w odpowiedniej kolejności).

Jock potrafi być naprawdę współczującym facetem, jeśli się postara. Przekazał mi złe wieści, dopiero gdy wszedłem pod prysznic.

– Panie Charlie – tak to wyraził – panie Charlie, na

dole czekają na pana dwaj dzyntelmeni.

– Dwaj dzyntelmeni? – zapytałem, namydlając swobodnie te części ciała, których mogę jeszcze dosięgnąć. – Dwaj? Bzdury, Jock, znam tylko trzech dzyntelmenów. Jeden odsiaduje dożywocie za zamordowanie namolnej kochanki, drugi handluje białymi krukami w Oksfordzie, a trzeci zszedł na złą... ma złą prasę, coś w tym rodzaju.

Wysłuchał mnie cierpliwie. Zna różnicę między zwykłą gadaniną a zaleceniem. A potem sprostował:

– Kiedy mówiłem „dzyntelmeni”, nie miałem na myśli dzyntelmenów, panie Charlie. Powiedziałem tak, bo nie lubi pan, gdy mówię...

– I słusznie, Jock – przerwałem mu, podnosząc namydloną rękę. – Chcesz powiedzieć, że to marszandzi?

Pokiwał z żalem głową.

– Nie. To gliny. Z tych ważniejszych.

Odkręciłem zimną wodę, bo to niezawodny sposób, żeby uruchomić intelekt.

– Mamy w kuchni jakąś herbatę w torebkach? Mamy? Naprawdę? Więc podaj im ją i powiedz, że zaraz zejde.

Kilka minut później wkroczyłem do salonu.

– Ach, Jaggard, Blackwell! – zawołałem. – Jock podał wam herbatę?

Dwaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na mnie. Nie mieli przed sobą herbaty, bo to nie byli Jaggard i Blackwell. I nie wstali na mój widok. Byli to potężni

gliniarze o obojętnych twarzach i pustych oczach, ale z jakiegoś powodu moja „latarnia” zaczęła błyskać. Wyglądali prawie identycznie jak gliniarze, ale nie do końca.

– Pan Mortdecai? – zapytał jeden z nich.

– Owszem.

– Interpol. Robinson, z Londynu. – Wskazał kolegę. – A to Hommel, z Amsterdamu.

Ponieważ to miało sens, moja „latarnia” przestała błyskać. Ci z Interpolu nie są jak inni chłopcy, a już holenderscy gliniarze zupełnie nie przypominają angielskich.

– Czym mogę panom służyć? – spytałem.

– Niech pan weźmie kapelusz.

Zastanowiłem się nad tym.

– A legitymacje policyjne? – zagadnąłem nieśmiało.

Rzucili mi znużone spojrzenia, jakie rzucają policjanci obywatelom czytającym za dużo thrillerów. Kręciłem się przy nich bez celu, dopóki nie udało mi się zerknąć na marynarkę Holendra. Oczywiście miał pod pachą kaburę, którą wypychało coś, co wyglądało na starego dobrego browninga HPM 1935 – pistolet na czternaście pocisków typu parabellum, kalibru dziewięć milimetrów, ważący bez magazynka parę funtów. To świetna broń, aby przyłożyć komuś w skroń, niemniej dość dziwny wybór jak na kogoś, kto nie spodziewa się inwazji.

– Czy jestem aresztowany – zapytałem – a jeśli tak, to

pod jakim zarzutem?

Holender pozwolił sobie na westchnienie, a może ziewnięcie.

– Niech pan weźmie ten kapelusz, panie Mortdecai – powiedział. – Proszę.

W tym momencie do pokoju weszła Johanna i z przestrachem spojrzała na naszych gości – jakby ich rozpoznała, dodałbym.

– Nie idź z tymi panami, Charlie – rzuciła gwałtownie.

– Są uzbrojeni – wyjaśniłem.

– Ja też – warknął Jock od progu, z lugerem w wielkiej łapie.

– Dziękuję ci, Jock, ale proszę, na razie to odłóż. Pan siedzący na kanapie ma pod płaszczem broń i zdaje się, że mierzy w moje podbrzusze. No, i jest tu pani Mortdecai.

Zauważyłem, że Jock powoli ocenia szanse, i modliłem się w duchu, żeby ocenił je właściwie. Często chwalebę się tym, że niespecjalnie boję się śmierci, niemniej jednak jestem dość mocno przywiązany do życia, a poza tym słyszałem, że objawy odstawienia są bardzo przykre. Jock w końcu odłożył broń na podłogę – pistoletów automatycznych się nie upuszcza – i na znak Holendra kopnął ją po dywanie. Zrobił to tak, że luger wpadł głęboko pod wielką etażerkę na książki z wysuniętym do przodu frontem – może jest prymitywem, ale nie głupim.

Jeden z mężczyzn zaprowadził Johannę i Jocka do kuchni i tam ich zamknął. Drugi nie wyrwał kabla od telefonu ze ściany, tylko odkręcił mikrofon, wyjął z niego membranę i włożył ją do kieszeni.

– Telefon wewnętrzny? – spytał.

– Nie ma.

– Gdzie jest?

– W sypialni.

Zaprowadził mnie tam i powtórzył całą procedurę. Był naprawdę dobry. Potem wyszliśmy z mieszkania. Mieli całkiem sensowny samochód, podobny do rovera. Kazali mi usiąść z przodu, obok Holendra, który prowadził. Angielski gliniarz – cóż, wciąż nie byłem pewny, że nim nie jest – pochylił się do przodu i ostrzegł, że bym nie robił głupstw, bo celuje z pistoletu w moją lewą nerkę. Cóż, każde dziecko wie, że jeśli facet zamierza cię zastrzelić, robi to tu i teraz, bez deliberowania. Najwyraźniej chcieli mieć mnie żywego, więc były to tylko czcze pogrożki. Przynajmniej miałem taką nadzieję. Skręciłem szyję, żeby zerknąć na rzeźbiony pistolet, jednak facet nakazał, że bym patrzył przed siebie. Ale faktycznie miał broń i zdążyłem zauważyć, że to jeden z tych olbrzymich automatycznych koltów 45, jakich używają przedstawiciele prawa w Ameryce – taki gnat potrafi wywalić dziurę w ceglanej ścianie. Zaletą tej broni było to, że nie miała tłumika. Strzał z czegoś takiego w samochodzie spowodowałby wstrzymanie ruchu w promieniu wielu

mil. Był to trzeci błąd, który popełnili. Ta myśl mnie pokrzepiła.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytałem dla zabicia czasu.

– Do domu – odparł Holender.

To miał być chyba żart. Jechaliśmy na wschód. Kiedy minęliśmy katedrę Świętego Pawła, uprzejmie zwróciłem uwagę Holendra na urodę tej budowli.

– Pszymknij się! – rzucił.

Jechaliśmy dalej na wschód, przez już zupełnie nieznanne mi rejony Londynu.

– A gdzie jest ten „dom”, jeśli łaska? – zapytałem znowu.

Tym razem odpowiedział mi Anglik.

– Tam dom mój, gdzie serce moje – wyjaśnił z jowialną łaskawością potężnego faceta trzymającego w dłoni potężną broń. – Zabieramy pana w miłe, spokojne miejsce, gdzie będziemy mogli zadać panu kilka pytań, a potem, jeśli pańska żona w ciągu dwudziestu czterech godzin odstawi pana Ree na Gerrard Street, puścimy pana wolno.

– Pszymknij się! – warknął znowu Holender.

Wszystko wskazywało na to, że on tu dowodzi. Jednakże te kilka słów przepoiło mnie optymizmem, bo wynikało z nich, że obaj są tylko sługusami jakichś innych „onych”, którzy chcieli wiedzieć coś, co ja wiedziałem, i że jestem cennym zakładnikiem. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie przyszedł

jeszcze czas, aby ktoś porobił dziury w nerkach waszego Mortdecaia.

Kiedy zbliżyliśmy się do skomplikowanego skrzyżowania pełnego samochodów i policjantów w mundurach, zwróciłem Holendrowi uwagę, że my w Anglii jeździmy lewą stroną. Wprawdzie nią jechał, ale moje słowa tak go zbiły z tropu, że puścił kierownicę. Wtedy szybkim ruchem wyrwałem kluczyki ze stacyjki i gdy samochód stanął w samym środku zatłoczonego skrzyżowania, wyskoczyłem na ulicę. Oczywiście nie próbowali do mnie strzelać. Podbiegłem do najbliższego policjanta, wyrzuciłem z siebie, że kierowca dostał zawału serca, i spytałem, gdzie jest najbliższy telefon. Wskazał mi budkę, po czym majestatycznym krokiem ruszył w stronę samochodu, który tymczasem spowodował korek.

Zamknąwszy się w budce, gorączkowo wykręciłem numer własnego telefonu i wrzuciłem do automatu całe dziesięć pensów. Johanna odebrała w garderobie, gdzie znajdował się aparat, którego nie zauważyli.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Jestem w budce telefonicznej, na rogu... – odczytałem adres na aparacie – i zdołałem im uciec, ale nie na długo. Będę... –

Rozpaczliwie wyjrzałem przez szybę i zobaczyłem naprzeciwko wielki, brudny budynek przypominający magazyn, z wyraźnie widoczną nazwą. – Będę w Wiejskim Bekonie Mycocka.

– To nie pora na żarty, Charlie, kochanie.

– Przyślij tu Jocka, i to szybko.

Odłożyłem słuchawkę i wypadłem z budki, nawet nie sprawdzając, czy aparat wypluł resztę. Pobiegłem w stronę znakomitego pana Mycocka. W środku podstarzała flądra, zalatująca środkiem do dezynfekcji, wskazała mi miejsce pobytu swojego szefa.

– Pewnie je obiad – wyjaśniła i dodała znacząco: – Z butelki.

Znalazłszy się poza jej polem widzenia, zmieniłem kierunek, zagłębiając się w labirynt, jaki stanowiła rzeźnia. Smród opalanej świńskiej szczeciny stał się nie do zniesienia, tak że zatęskniłem za zapachem środka do dezynfekcji. Powietrze przeszył odrażający dźwięk – jak się okazało, był to gwizdek na przerwę obiadową, ale nieźle mnie przeraził. Pozbierałem się do kupy i ruszyłem aroganckim krokiem przedstawiciela Ministerstwa Zdrowia, szukającego laseczki *Clostridium botulinum*. Pracownicy, których mijałem, nawet nie zaszczyli mnie spojrzeniem; raczej nie groził im paradur po zjedzeniu pasztecików wołowych Pod Kiścią Winogron, bo odkąd wiedzieli, jak się je produkuje, zapewne żadnego nie tknęli. Gdy dumnie kroczyłem korytarzami, raz po raz z pewną miną skręcając w prawo albo w lewo, gorączkowo próbowałem obliczyć, ile czasu może zająć Jockowi przyjazd tutaj. Dobrze jest być sprytnym i podstępny, rozumiecie, ale jeśli się wpadnie po uszy i oczy w gówno, niezbędny jest prawdziwy łotr – łotr, który miał do czynienia z takimi

sytuacjami od czasu pierwszej odsiadki w poprawczaku. Jock jest takim właśnie łotrem – niewielu marszandów na niego stać – więc byłem pewien, że nie tylko błyskawicznie przyjedzie do *cochonnerie* Mycocka, ale też dodatkowo będzie uzbrojony w parę mosiężnych kastetów, jednego lugera i jeden PPB, czyli podręczny pistolet bankiera, który trzymam w szafce nocnej, oczywiście pod warunkiem, że znajdzie do niej klucz. Szacowałem ten wyścig na mniej więcej dwadzieścia minut. Musiałem tylko te dwadzieścia minut jakoś przeżyć.

Przecisnąłem się obok kubłów oznaczonych napisem: „Tylko pokarm dla zwierząt domowych. Starannie umyć ręce po wszelkim kontakcie”, i już miałem przepchnąć się wśród innych, z napisem: „Tylko Irlandia i Belgia”, kiedy ze trzydzieści stóp dalej dostrzegłem potężnego faceta, który w obu dłoniach trzymał pistolet. Był to mój Holender. I mierzył do mnie. Oburęczny chwyt był idealnie zgodny z procedurami, których uczą policjantów, ale pomyślałem, że gdyby gość był dobry w te klocki, to niezależnie od odległości do celu trzymałby broń w jednej ręce, celując w ziemię parę jardów przed sobą. Mimo to znieruchomiałem, jak każdy rozsądny człowiek.

– Niech pan do mnie idzie, panie Morrrtdecai – powiedział przekonująco – już odstawił pan pszedstawienie. Niech pan idzie z rękami na karku, a nikt nie wysządzi panu kszydwy.

Zacząłem oddychać głęboko – to podobno pomaga dotlenić organizm. Wraz ze wzrostem poziomu adrenaliny, która krążyła szybko w moich żyłach, odniosło to iście zbawienny efekt. Nagle poczułem, że gdybym musiał się zmierzyć z Cassiusem Clayem, wytrzymałbym przez całe dwie rundy. Chyba że, oczywiście, wcześniej posłałby mnie na deski.

Gdy ja się dotleniałem, pistolet Holendra celował raz w moje narządy intymne, a raz w czoło. Facet znudził się pierwszy.

– Panie Morrrtdecai – powiedział groźnie – dojdzie pan sam czy nie?

Cóż, tu riposta nasuwała się sama.

– O czym pan mówi? – odparłem. – Ja tylko oddycham głęboko.

Kiedy zastanawiał się nad moją odpowiedzią, wykonałem zwód w lewo, po czym, ratując życie, skoczyłem na prawo, za życzliwe kubły z wieprzowiną.

„Pif-paf, pif-paf” – zagrzmiał jego pistolet.

Jeden pocisk z hukiem trafił w ścianę, drugi przebił kubeł. Gość nie był taki zły, jak myślałem, ale też nie był taki dobry. Taki oburęczny uchwyt, rozumiecie, daje przewagę przy pierwszym strzale, a gdy potem bierzesz na muszkę inny cel, pistolet wypala zbyt szybko. Dobry strzelec zawsze opuszcza broń, mierząc w drugi cel, i podnosi ją dopiero, gdy ma go na celowniku. Zapytajcie każdego. Choćby Wyatta Earpa.

Nie mogłem mu pozwolić na załadowanie nowego

magazynku, więc ściągnąłem marynarkę i rzuciłem na kubły. „Pif-paf, pif-paf” – ponownie zagrział jego browning. Dzięki temu facet stracił już siedem kul; zostało mu jeszcze siedem – nawet ja to wiedziałem. Zauważyłem, że podłoga opada łagodnie w jego stronę, kopnąłem więc parę kubłów, które potoczyły się po rampie, chlustając świńską krwią i Bóg wie czym jeszcze. Gość strzelił do nich, bo Holendrzy to porządniczy naród. Tym sposobem zostały mu jeszcze tylko cztery kule. Podniosłem pusty kubeł i rzuciłem go na podłogę; facet wściekle wystrzelił dwa kolejne pociski.

Kopnąwszy tamte kubły, zobaczyłem, że za nimi znajdują się wielkie żelazne drzwi z dźwignią zamiast klamki. Wszystko wskazywało na to, że są to doskonałe drzwi, aby się za nimi ukryć.

– Jackson! – wrzasnąłem; nazwisko to brzmiało całkiem wiarygodnie. – Jackson! Bomby będą niepotrzebne, sam go załatwię!

Angol raczej nie dałby się na to nabrać, ale on musiał się zawahać, bo zdążyłem, nieostrzelany, otworzyć żelazne drzwi. W znajdującym się za nimi pomieszczeniu panował ziąb jak na czubku organu Eskimosa, ponieważ była to komora chłodnicza, jak mówią w języku rzeźniczym. Jedna z pozycji dźwigni po mojej stronie drzwi była oznaczona na czerwono jako „Zabezpieczone”. Przesunąłem więc na nią wajchę. Na dwóch przeciwległych ścianach znajdowały się

przejścia zasłonięte gumowymi klapami, jakie widuje się w szpitalach, a między nimi i poprzez nie biegł niekończący się pas transmisyjny z wielkimi hakami. (Owszem, to jak wyuzdany weekend z łowcą rekinów). Na zewnątrz rozległ się huk i od cudownie solidnych żelaznych drzwi odbiła się kula. Opierając się o nie, usiadłem na podłodze i zadrzałem, częściowo z zimna, bo, jak pamiętacie, porzuciłem marynarkę w trakcie swojej małej *ruse de guerre*. Dźwignia obok mojej głowy drgnęła, ale nie puściła. Wtedy usłyszałem głosy, wzburzone głosy; Holender już nie był sam. Rozległ się nieprzyjemny odgłos, jakby warkot czy zgrzyt. Widocznie zdobyli jakieś urządzenie elektryczne i próbowali za jego pomocą dostać się do środka. Gdybym był człowiekiem religijnym, zapewne odmówiłbym modlitwę albo dwie, lecz jestem dumny. Nie słałem Boga, brodząc po kolana w złocie, więc głupio by było prosić go o pomoc, kiedy brodziłem w bekonie.

Warkot po drugiej stronie drzwi się nasilił. Rozejrzałem się rozpaczliwie. Na ścianie widniał jeden z tych dużych włączników elektrycznych, które służą amerykańskim prezydentom do wywoływania ostatniej wojny światowej. Istniało ryzyko, że przyciskając go, uruchomię alarm albo wyłączę prąd w całej fabryce bekonu pana Mycocka – ale z pewnością nic już nie pogorszyłoby sytuacji. Zebrałem się na odwagę i wcisnąłem guzik.

I co się stało? Świnie ruszyły. To znaczy nie z własnej woli ani o własnych siłach, bo wszystkie już przekroczyły Styks czy też przeszły w nowe wcielenie. Wisiały na hakach przy niekończącym się pasie transmisyjnym, starannie pozbawione wnętrzości, które niewątpliwie zamieszkiwały teraz kubek z napisem: „Tylko pokarm dla zwierząt domowych. Starannie umyć ręce po wszelkim kontakcie”. Były to pierwsze naprawdę szczęśliwe świnie, jakie widziałem.

Ósma – a może dziewiąta – nie była właściwie świnia w ścisłym znaczeniu tego słowa. Był to potężny Holender, ubrany w coś, co w Amsterdamie zapewne nazywano garniturem. Wisiał na haku jedną ręką i wyglądało na to, że ma wszystkie wnętrzości. W drugiej ręce trzymał browninga HPM 1935, z którego do mnie strzelił, zeskakując na podłogę i popełniając czwarty tego dnia błąd. Strzał pozbawił mnie z boku odrobinę ciała – w miejscu, gdzie mogłem sobie na to pozwolić. Potem jednak facet wycelował w sam środek mojego brzucha i ponownie nacisnął spust. I nic. Gdy zdezorientowany patrzył na pusty już pistolet, kopniakiem wytrąciłem mu go z ręki.

– To była czternasta kula – zauważyłem delikatnie. – Nie umie pan liczyć?

Oszołomiony, poklepał się po kieszeni, gdzie spoczywał zapasowy magazynek. Ja tymczasem podniosłem browninga, a następnie walnąłem nim Holendra w skroń. Przyjął to bez komentarza, po prostu

osunął się na podłogę jak ktoś, kto zasłużył na nocny relaks. Wyjąłem z jego kieszeni pełny magazynek, wydobyłem pusty z pistoletu (posługując się chusteczką, żeby nie zostawiać mylących odcisków palców) i zamieniłem je miejscami. Nie pamiętam dokładnie, co się stało potem, zresztą to i tak by was nie zainteresowało. Dość powiedzieć, że pas transmisyjny sunął dalej razem z dyndającymi hakami, i cóż, uznałem, że może nie jest to takie złe.

Z każdą chwilą robiło się coraz zimniej i trząłem się już jak osika, ale nawet tchórze potrafią zaczerpnąć trochę ciepła od trzymanego w garści browninga HPM z pełnym magazynkiem. Czekałem, co będzie dalej, nie żałując niczego, no... może z wyjątkiem straty całkiem porządnej marynarki. Wreszcie zza drzwi dobiegł niewyraźny głos.

– He? – zawołałem odważnie.

– Niech pan otworzy, panie Charlie! – krzyknął Jock.

Gdybym był jednym z tych wylewnych facetów z kontynentu, chyba przytuliłbym go do swego łona.

– Musimy stąd spadać, panie Charlie, bo za dziesięć sekund w tym miejscu zaroi się od glin.

Ruszyliśmy więc świńskim truchtem. Ku mojemu przerażeniu, na zakręcie korytarza stała Johanna. Trzymała mój PPB jak dziewczynka, która wie, jak się takim PPB posługiwać. Posłała mi uśmiech z rodzaju tych, od których miękną kolana, ale mózg pracuje na pełnych obrotach. Od strony wejścia dobiegły odgłosy

zamieszania, z których wybił się dźwięk cierpliwego zniecierpliwienia, jaki tylko policjanci potrafią wydawać. Ktoś się zbliżał, więc daliśmy nura do najbliższego pomieszczenia. Nie było w nim świń. Były natomiast całe bele świeżo wypranych białych fartuchów i kombinezonów, które z takim upodobaniem noszą pracownicy fabryk bekonu.

Kiedy legiony przemaszerowały dalej, ubrani na biało wyszliśmy z naszej kryjówki. Zacząłem głośno wydawać „ordynansowi” rozkazy dotyczące noszy i pytać „pielęgniarkę”, czy wie, jak używać aparatu do iniekcji cyklometrycznej. Odpowiedziała, że wie, okłamując mnie nie pierwszy raz. Policjanci stojący przy wyjściu nie zwrócili na nas uwagi, bo byli zajęci powstrzymywaniem ludzi przed wejściem.

– Szpital Bart’s – warknąłem do taksówkarza – pod izbę przyjęć. To nagły wypadek, proszę jechać na sygnale.

W szpitalu, porzuciwszy białe fartuchy, rozdzieliliśmy się i znaleźliśmy główne wyjście, po czym wróciliśmy do domu każde inną taksówką. Ja przyjechałem pierwszy – czując palącą potrzebę strzelenia sobie ozdrowieńczego drinka.

– Cóż – powiedziałem krótko, gdy przybyli pozostali – są rzeczy ważne i ważniejsze. – W moim głosie wciąż pobrzmiwała niedawna szpitalna arogancja. – Czy któreś z was wie, co się stało z drugim facetem... tym Anglikiem?

– Uhm – odezwał się Jock. – Leży mordą w dół w jednym z tych wielkich kubłów pełnych świńskich flaków.

– Ojajku – odparłem – biedaczek, to straszne. Nie żywię do niego wielkiej sympatii, ale musi mu tam być okropnie niewygodnie.

– Nie wydaje mi się, żeby było mu niewygodnie, panie Charlie.

– Ojajku – powtórzyłem – to chyba znaczy, że znowu muszę wysłać tego twojego lugera do Ginge’a Rusznikarza? Bo chyba nie miałeś czasu, żeby pobierać łuski? Nie? No to dobrze.

(Tu może słowo wyjaśnienia na użytek niewiniątek. Magicy w dziedzinie balistyki, jak powszechnie wiadomo, potrafią bezbłędnie określić, z jakiej broni został wystrzelony dany pocisk – używają w tym celu mikroskopów porównawczych – a najwięcej informacji są w stanie uzyskać na podstawie łusek. Dlatego też każdy, kto użył broni w niecnym celu, wrzuca ją potem z London Bridge do Tamizy, gdzie, jak sądzę, jej stopy muszą już stanowić poważne zagrożenie dla przepływających w górze jednostek. Jock jednakże nie dałby się przekonać do wyrzucenia w ten sposób swojego lugera, tak samo jak za nic w świecie nie rozstałby się ze zdjęciem Shirley Temple opatrzonym jej autografem. To znaczy, że za każdym razem, kiedy załatwia kogoś z tej broni, muszę zapłacić Ginge’owi duże pieniądze za doprowadzenie jej do porządku. To

obejmuje wymianę iglicy, wypolerowanie zamka i wykonanie na nim kilku nowych rys, a także niezwykle delikatne manewry tokarką przy komorze i lufie. Gdy Ginge skończy już z takim pistoletem, mikroskopy porównawcze popadają w depresję, a magowie od balistyki po powrocie do domów wyzywają się na żonach).

– Johanno – zwróciłem się do niej poważnym głosem – zdaje się, że znasz tych panów. Kim oni są? Ten Anglik i Holender? Hę?

– Obaj są Holendrami, Charlie, kochanie. Zastępca komisarza Rubinstein lubi przedstawiać się jako Robinson, bo doskonale mówi po angielsku.

– Owszem, ale chyba mówił – zwróciłem jej uwagę.

– I obaj są... byli... policjantami, ale bardzo, bardzo skorumpowanymi. Bo... widzisz, kochanie, większość krążącej po świecie heroiny przechodzi przez Amsterdam... czy może Rotterdam?... a to oznacza wiele milionów funtów, rozumiesz. Nie możesz więc winić niedostatecznie wynagradzanych policjantów za to, że nie zauważają, że na ich rachunki w zachodnioindyjskim oddziale Bank of Nova Scotia na skutek jakiejś pomyłki wpływa rocznie dziesięć tysięcy funtów, prawda? Bo jeśli chodzi o zachowanie dyskrecji, banki szwajcarskie przy Bank of Nova Scotia przypominają stare numery „Playboya”.

– Rzeczywiście, nie mogę ich za to winić – przyznałem. – Ja też w takich okolicznościach być może

uległbym pokusie. Ale mogę ich winić... i winię... za to, że próbują zrobić duże bolesne dziury w moich narządach wewnętrznych, z którymi jeszcze nie skończyłem.

– No tak – odparła. – Ale w końcu dostali za swoje, prawda, kochanie?

– Prawda, prawda. A teraz może będziesz tak miła i powiesz, kto zatrudniał tych stróżów prawa o lepkich palcach. To znaczy w czasie gdy robili na lewo.

– Jak pięknie mówisz po amerykańsku, Charlie!

– Daj spokój, powiedz lepiej, kto dał im na mnie zlecenie.

– Czy to znaczy to samo co w Stanach „wystawić kogoś”?

– Och, niech to gęś kopnie! – wkurzyłem się i chyba pierwszy raz podniosłem na Johannę głos. –

Zapomnijmy o semantyce, chcę wiedzieć, dla kogo ci goście pracowali.

– *Pas devant les domestiques* – mruknęła.

Jock demonstracyjnie opuścił pokój. Może nie dorównuje intelektem... cóż, prawie każdemu, ale zna dwa zdania po francusku. Jedno z nich zaczyna się od *Wule wu kusze...*, a drugie to to, które właśnie wypowiedziała Johanna. Można go urazić, ma swoją dumę.

– Pracowali dla pana Lee, głuptasku – wyjaśniła, kiedy już wyszedł.

– A gdzie on teraz jest, może powiesz?

Rzucając mi ten swój uśmiech, podniosła słuchawkę telefonu. Wykręciła jakiś numer i powiedziała coś w języku, którego nie rozpoznałem. Słuchała przez jakieś trzydzieści sekund, potem rzuciła coś, co brzmiało jak ciąg cyfr. Później znowu posłała mi uśmiech, ten, który zmiękcza mnie całego z jednym wyjątkiem. Wreszcie się rozłączyła. To znaczy odłożyła słuchawkę.

– Pan Lee w tej chwili zbliża się do międzynarodowego lotniska imienia Johna F. Kennedy’ego, Charlie, kochanie. Wyląduje za jakieś pięćdziesiąt minut. Leci wielkim komfortowym odrzutowcem. Poza nim nie ma na pokładzie nikogo oprócz jakiegoś tuzina jego... eee... paskudnych przyjaciół, sześciu prawdziwych agentów Interpolu, połowy pracowników amerykańskiego Biura do spraw Narkotyków oraz twojej znajomej komendantki.

– Strasznej komendantki Szkoły Działalności Wywrotowej? – pisałem. – Chcesz mi powiedzieć, że od początku była po stronie tych dobrych? Jeszcze mi powiesz, że zostanie kawalerem Orderu Imperium Brytyjskiego za udział w tej absurdalnej aferze?

– Została nim, kiedy ty chodziłeś do szkoły, Charlie. Za skoki na spadochronie w Belgii. A oficerem Orderu Imperium Brytyjskiego za wyprowadzenie łodzi węgierskich naukowców z małego jugosłowiańskiego portu Rijeka w latach pięćdziesiątych. Za ten przekręt może zostać już tylko damą komandorem Orderu...

choć zamierzam przedstawić jej kandydaturę do dożywotniego tytułu para.

– Zamierzasz przedstawić...

– Tak, kochanie.

To zamknęło sprawę.

Potem przyszło mi do głowy jeszcze jedno pytanie.

– A co ty z tego będziesz miała, Johanno?

– Ciebie, kochanie.

Nerwowo rozejrzałem się po pokoju. Ale oprócz mnie nikogo w nim nie było.

– Mnie? – zapytałem.

– Tak.

No cóż, pomyślałem, głupie pytanie, głupia odpowiedź. Nie mogła wiedzieć, że pułkownik Blucher zaoferował mi możliwość przeżycia na tym padole łez w zamian za przeniknięcie do organizacji, którą kierowała, a przynajmniej tak jej się zdawało. Blucher natomiast nie mógł wiedzieć, jaki pasztet zrobiłem z tego wszystkiego. Wstałem i wydałem kilka uprzejmych odgłosów, mających oznaczać, że muszę zobaczyć się z pewnym facetem w Jule's Bar przy Jermyn Street.

– No, dobrze, idź i zabaw się trochę, kochanie. Wiem, że mi wybaczysz, jeśli nie przyłączę się do ciebie dziś wieczorem.

Gem, set i mecz dla niej, jak zwykle.

22. Mortdecai poznaje prawdę, daje kopa szafce kuchennej i znajduje pocieszenie w kanapce z dżemem

Och, dobry człęk i bez skazy dżentelmen.

Merlin and Vivien

To dziwne, że w różnych miejscach różnie się myśli. Na przykład: chociaż nienawidzę koktajli z szampanem, zawsze wypijam parę u pewnej konkretnej kochanki, ponieważ koktajl z szampanem, jak powiedzą wam wszyscy, szybko uderza do głowy i już po dwóch kieliszkach przestaję zwracać uwagę na groteskowy kinol, jakim ta dama została obdarzona, i mogę skupić się na innych jej wdziękach, które są doprawdy niezrównane. Kolejny przykład: są takie puby, gdzie w sposób naturalny zamawiam miarkę guinnessa i do tego oddzielnie pół uncji irlandzkiej whisky; jeden w Jersey, gdzie zawsze nalewają mi dużą whisky do odrobiny świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy, nie zważając na uniesione brwi innych klientów; i drugi, gdzie nawet jeśli przez rok byłem abstynentem, dostaję pintę najlepszego bittera, a obok niego długopis, bo wiedzą tam, że przyszedłem rozwiązać krzyżówkę.

W Oksfordzie jest taka włoska knajpka, do której miałem zwyczaj wpadać rano po drodze do domu; są tam zbyt taktowni, żeby mnie witać, zamiast tego przyrządzają mi naprawdę dużą brandy z wodą sodową i ze współczuciem pomagają ująć szklanekę w palce. Jest nawet takie miejsce, wiele mil od czegokolwiek, gdzie piję coś, co nazywa się margarita; pochodzi z brudnej butelki bez etykiety i sprawia wrażenie stuczterdziestoprocentowego keczupu. Mógłbym mnożyć podobne przykłady, ale zmierzam do czego innego: chcę powiedzieć, że nie wiadomo czemu, gdy jestem w Jule's przy Jermyn Street, czyli bezdyskusyjnie najlepszym pubie na świecie, nieodmiennie zamawiam kanadyjską ryżową whisky z piwem imbirowym. Potem, z uprzejmym liścikiem, posyłam pianiście kieliszek wina, a on rzuca mi uprzejme spojrzenie i gra moją piosenkę. Ingrid Bergman wprowadzi nigdy nie wchodzi, ale przecież facet może sobie pomarzyć, prawda?

Dopełniwszy rytuału i zamówiwszy drugiego drinka, skierowałem się do telefonu i wykręciłem „bezpieczny” numer Bluchera.

– Towary Krajowe i Kolonialne – zaćwierkał znajomy głos.

– A mój kutas to pikling – warknąłem, bo nie byłem w nastroju do zabawy w ciuciubabkę.

– Naprawdę? – zapytał głos. – To radzę się skontaktować z Królewskim Towarzystwem

Chirurgicznym, może oni będą mogli panu pomóc.

– Brrr – rzuciłem.

Kobieta odłożyła słuchawkę. Znalazłem drugą monetę i wykręciłem numer ponownie.

– Czy mogę rozmawiać z tatusiem? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

– W jakiej sprawie, proszę pana?

Przypomniałem sobie dalszy ciąg absurdalnego hasła.

– Z mamusią jest bardzo źle.

W słuchawce rozległy się trzaski i sygnały przełączania, po czym zgłosił się Blucher.

– Chciałbym z panem porozmawiać – oznajmiłem. – Mam tego wszystkiego potąd.

– Czyli pokąd?

Wyjaśniłem mu.

Zjawił się na miejscu w ciągu niespełna pięciu minut, co świadczyło, że jego agencja, gdziekolwiek się znajdowała, trwoni zatrważające sumy pieniędzy z kiesy amerykańskiego podatnika na lokale znacznie przewyższające jej pozycję życiową. Co więcej, miał ze sobą parasol, co ani trochę nie upodabniało go do Anglika.

Zamówiłem dla niego drinka, chociaż było to wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy. Uważałem go jednak za swojego gościa.

– Mam tylko dwa pytania – mruknąłem cienko. – Dla kogo właściwie pracuję? I czy to się już skończyło? A jeśli tak, czy ujdę z życiem?

– To trzy pytania, panie Mortdecai.

(Może sobie przypominacie, że na początku znajomości zwróciłem mu uwagę, żeby nie mówił do mnie po imieniu).

– No dobrze, trzy – burknąłem. – Więc umie pan liczyć do trzech. Znam kobiety, które umieją liczyć do dziewięciu. Niech pan zacznie od pierwszego pytania i posuwa się dalej według listy, posługując się własnymi słowami.

– Mam na zewnątrz wóz... przepraszam, samochód. Przejedźmy się trochę, co? Potem odstawię pana do domu.

Rozwazałem to przez chwilę, a potem wyraziłem zgodę. Zadzwoiłem przecież do niego, bo uznałem, że eksterminacja dokonana przez jego agencję będzie przynajmniej skuteczna i higieniczna, zdecydowanie przyjemniejsza niż w wykonaniu terrorystek płci żeńskiej, które traktują ją jako sport, czy chińskich dżentelmenów żywiących śmiertelne urazy.

Jego samochód nie należał do tych wielkich czarnych limuzyn, którymi zwykle zabiera się delikwentów na przejażdżki. Był to mały fiat topolino, który nie miał w sobie nic złowrogiego oprócz biletu parkingowego na przedniej szybie. Blucher pojechał – równie dyskretnie jak anglikański duchowny, który strzelił sobie dwie porcje biszkoptu z sherry i boi się, że będzie musiał dmuchać w balonik – na Grosvenor Square. Pod numer 24, mówiąc dokładnie. Czyli pod ambasadę

amerykańską, jeśli do tej pory nie wiedzieliście.

– Nie wejdę tam – oświadczyłem kategorycznie.

– Ja też nie zamierzam. Mam na biurku stos papierkowej roboty do odwalenia, wszystko z adnotacją „Pilne”. Tylko się tu zatrzymam, bo nie chcę, żeby czepiały się nas gliny. Numer rejestracyjny tego wozu jest na liście uprzywilejowanych.

– Tak wygląda życie drugiej połowy ludzkości – mruknąłem.

– A teraz pańskie pytania, panie Mortdecai. Po pierwsze, pracuje pan dla ONZ. Dobrze, niech pan się śmieje, proszę bardzo. Ale chciał pan, to pan ma. Moja agencja blisko współpracuje z tą komórką ONZ i mogę powiedzieć panu szczerze, że w ostatnich kilku tygodniach osiągnęliśmy naprawdę bardzo, bardzo spektakularne rezultaty.

Zapewne powiedziałem coś nieprzekonującego, jak „Dobra robota”, ale on nie zwrócił na to uwagi i ciągnął:

– Na pańskie drugie pytanie: „Czy to się już skończyło?”, mogę tylko odpowiedzieć poufnie: „Tak”. Pańskie trzecie pytanie – o to, czy pozostanie pan przy życiu – jest już trochę trudniejsze. Jeśli chodzi o moich szefów, chyba mogę powiedzieć, że to już nie stanowi problemu. – Odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie, jakby chciał zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak ja pragnie żyć. Ściągnąłem łopatkę i postarałem się przybrać tak wyniosłą postawę, na jaką tylko pozwala

fotel dla pasażera w malutkim fiacie. – Ale, panie Mortdecai, na pewno zdaje pan sobie sprawę, że w takiej skomplikowanej operacji jak ta istnieje wiele niezamkniętych wątków, niezłatwionych spraw i niewyrównanych rachunków, które domagają się zamknięcia, załatwienia i wyrównania, a budżet nie pozwala nam chronić dwadzieścia cztery godziny na dobę przez kilka następnych miesięcy kogoś takiego jak pan. Z całą pewnością pan to rozumie.

– Rozumiem – odparłem, ignorując jego wyrafinowaną metaforę.

– Myślał pan o Szeszelach? – podsunął. – Antylach? Samoa? Wyspach Dziewiczych?

Spojrzałem na niego z kamienną miną, która powinna była przywieść mu na myśl Wyspy Wielkanocne.

– A o Wyspach Normandzkich? Pańska żona ma prawo do połowy naprawdę pięknego domu, który się tam znajduje.

Nie wiedziałem tego, ale przecież ostatnio nie wiedziałem o Johannie wielu rzeczy.

– Skąd pan to wie? – zapytałem.

Utkwił we mnie litościwe spojrzenie, jak wszyscy ludzie, którzy uważają, że jestem naiwny. Często, gdy okoliczności sprzyjają, ścieram im z twarzy to litościwe spojrzenie czymś, co Jock nazywa fangą w nos, ale fotel dla pasażera w topolino z kierownicą po lewej stronie takich okoliczności nie stwarza. Jedynym możliwym ciosem byłby prawy sierpowy – ale na drodze stało

boczne lusterko. Poza tym nieco mi przeszkadzało piętnaście lat folgowania sobie, nie mówiąc już o trzydziestu funtach braku umiaru.

– Zawsze chciałem pojechać na wyspę Jersey – odparłem jedynie.

Należy się strzec przed nienawiścią do ludzi, czy nawet rzeczy, bo łatwo stać się podobnym do obiektu swojej nienawiści. Zwycięstwo na Entebbe ²⁴ niszczy nas bardziej niż klęska pod Kurskiem. Gdy Blucher odwoził mnie do domu, nie żywiłem do niego nienawiści, choć kosztowało mnie to wiele pracy nad sobą.

Johanny nie było w domu, w przeciwieństwie, oczywiście, do Jocka. Zdawał się niemal dobrotliwie patrzeć zdrowym okiem na Bluchera. Gdybym nie był zajęty innymi sprawami – jak życie albo śmierć – być może uznałbym to za dziwne, ponieważ Jock nigdy nie wykazywał sympatii wobec glin. Zaproponowałem Blucherowi cały szereg krzeseł, poleciłem Jockowi, żeby służył mu wszystkim w kwestii drinków i przekąsek, a sam się ulotniłem, jak ulatnia się gospodarz, który chce wystawić na dwór kota. Tak naprawdę pragnąłem jak najszybciej wejść pod prysznic i odświeżyć się poprzez zmianę bielizny, skarpet i koszuli.

Nie spieszyłem się zanadto. Musiało upłynąć z pół godziny, zanim pojawiłem się znowu w salonie,

wypachniony i elegancko ubrany, spodziewając się, że Blucher tymczasem sobie poszedł. Oczywiście byłem w błędzie. Bezczelnie pozwolił sobie zająć miejsce obok mojej żony Johanny na małej sofie w stylu Ludwika XV, która bynajmniej nie została zaprojektowana z myślą o dwóch osobach, chyba że tym dwóm osobom nie przeszkadza pewna intymność, pewna poufała bliskość biodra i uda. I w dodatku oboje chichotali, słyszałem wyraźnie. Rzadko staję zdumiony, ale wtedy właśnie mi się to zdarzyło – stanąłem zdumiony.

– Charlie, kochanie! – wykrzyknęła Johanna. – Już myśleliśmy, że nigdy nie przyjdiesz. Usiądź, napij się czegoś, musisz być zmęczony.

Przycupnąłem na najmniej wygodnym krześle w pokoju i zmusiłem się do przełknięcia drinka. (Zaciskałem bowiem usta, żeby ukryć czy też zamaskować zgrzytanie zębów).

– Cóż, Blucher – rzuciłem – widzę, że poznałeś już moją żonę. Świetnie, doskonale. Cóż.

– Najdroższy, znamy się od wieków... – rzuciła Johanna.

Blucher spojrzał na nią i z rozczuleniem skinął głową. Zmusiłem się do przełknięcia następnego haustu whisky, żeby pokryć kolejny atak zgrzytania zębów. Nie przychodził mi do głowy żaden konwersacyjny gambit, patrzyłem tylko w te kilka cali kwadratowych dywanu pod moimi stopami.

– Charlie, kochanie, nie jesteś dziś wieczorem

idealnym gospodarzem... nie mógłbyś opowiedzieć swojemu gościowi jakiejś zabawnej historii albo czegoś takiego? Przecież uratował ci życie, nieprawdaż?

W tym punkcie straciłem cierpliwość. Nic już nie było dla mnie pewne na tym świecie.

– Posłuchaj – wychrypiałem – mój gość... chociaż być może powinienem powiedzieć „nasz”... sprzedał moje życie. Ceną było małżeństwo z tobą. Jeszcze pięć minut temu podobało mi się, że jestem twoim mężem, naprawdę, chociaż obowiązki... pozamałżeńskie... były pewnym wyzwaniem. Ale ten pan nie uratował mi życia. Kupił je i sprzedał.

Johanna przywołała na twarz słodką, wyrozumiałą minę matki z czasów doktora Spocka, której dziecko zmoczyło się do łóżka aż trzy razy jednej nocy.

– Nie całkiem, Charlie, kochanie. Nasz gość już dawno uznał, że należałoby cię zlikwidować. To ja kupiłam twoje życie.

Mój mózg zaczął przypominać jedną z tych klatek, w których myszy biegają sobie szczęśliwie, beztrąsko na drucianej bieżni.

– Oczywiście – odparłem gorzko – oczywiście, oczywiście. Kupiłaś moje życie. Muszę pamiętać, żeby ci podziękować. Chyba nie ma sensu, żebym pytał, po co to zrobiłaś?

– Bo się w tobie zakochałam, ty wielki, zarozumiały głuptasie! – wypaliła.

Nigdy nie wiem, co przy takiej okazji odpowiedzieć,

zwykle tylko przestępuję z nogi na nogę i mam niezbyt mądrą minę.

– Powiedziałaś „głuptasie” czy „kutasie”? – zapytałem, bo nic innego nie przychodziło mi na myśl.

Nie odpowiedziała, tylko z nachmurzoną miną siedziała na sofie, stukając stopą o dywan, jakby chciała wypłoszyć stamtąd szkodnika. Takiego, powiedzmy, Mortdecaia. Wyraźnie zauważyłem, że Blucher ujął jej rękę i czule ją ucisnął.

– Ile rzekomo zapłaciłaś za to życie? – zapytałem, bo z zakamarków mojego umysłu wydobyły się najgorsze obawy i zaczęły tańczyć wyuzdanego jiga. Ku mojemu zaskoczeniu, Johanna się zaśmiała – i to czarująco. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby tak się śmiała.

– Najpierw zrób nam po drinku, dobrze, Charlie?

Spełniłem jej prośbę niechętnie, choć nieco złagodniałem, gdy przyszło do odmierzenia mojej porcji.

– A teraz Franzl ci wszystko opowie – powiedziała Johanna serdecznie.

– Franzl! – pisałem. – Franzl?!

– Hej, Charlie, staruszkule! Wiedziałem, że w końcu przejdziemy na ty. Otóż, jak mówiłem na samym początku, twoją ceną za pozostanie przy życiu było poślubienie Hänschen.

– Hänschen? – pisałem ponownie.

– Czy nie tak się do niej zwracałeś? Nie? Cóż, nie powiedziałem ci tylko, że to był jej pomysł, nie mój.

Widzisz, wbiła sobie do głowy, że jesteś dla niej stworzony. Cóż, zawsze miała te swoje dziwaczne fantazje, chyba wiesz.

– Nie, nie wiem.

– No więc miała. Tak czy owak jej organizacja przeniknęła tak daleko, jak się tylko dało, i stało się jasne, że Chińczycy nie wyłożą kart na stół, dopóki pula nie wzrośnie. Moja agencja, mająca bardziej tajny niż... eee... wywrotowy charakter, również natknęła się na mur, a na dodatek w paradę zaczęło nam wchodzić parszywe CIA. Czy może w dupę?

– Mów dalej.

– Więc teoretycznie zgodziliśmy się, że potrzebujemy rodzaju katalizatora, czyli kogoś nowego, kto włączyłby się do gry: wlaź w buraki i wypłoszył zwierza...

– To znaczy, Charlie, kochanie, kogoś takiego przemyślnego jak ty, kto jednak nie znałby planu...

– I w najgorszym razie – przerwałem jej – torturowany nie wygadałby czegoś, czego by nie wiedział?

– Ależ nie, kochanie, chodziło o kogoś, kto nie miałby przyjętych z góry założeń, którymi by się kierował...

– ...schematu postępowania, jak przeszkolony agent – podjął Blucher. – Musieliśmy ich zaskoczyć, podsuwając im kompletnego amatora, kogoś niezbyt bystrego...

– On chce powiedzieć, kochanie, że to jak wystawić

zawodnika angielskiej drużyny rugby do rozgrywki między Yale a Harvardem. Wiedziałaś, że to dla ciebie straszliwie niebezpieczne... Franzl stawiał jedenaście do dwóch, że przeżyjesz pierwszy tydzień... ale uznałam, że już lepsze to niż pozwolić tym wszystkim okropnym ludziom z Lancashire załatwić cię w tej twojej norze. Rozumiesz, prawda?

Ja jednak widziałem tylko łapę Bluchera poklepującą jej dłoń, a kiedy oderwałem od nich wzrok – swoje pobiełałe knykcie.

Blucher tymczasem kontynuował opowieść:

– Poza tym, jak już mówiłem, ci źli rozglądali się za jakąś dużą akcją, naprawdę dużą, więc wymyśliliśmy ten zamach na Jej Królewską Mość. Nie przypuszczaliśmy, że dotrzesz do pierwszej bazy, i nawet zaczęliśmy się poważnie niepokoić, gdy zaczęło wyglądać, że mimo wszystko uda ci się doprowadzić sprawę do końca. Ledwie zdążyliśmy cię powstrzymać... zmiany w ruchu drogowym i tak dalej... i naprawdę szczęśliwie się złożyło, że pocisk utknął w zamku. Bo inaczej byś to zrobił, co?

– Raczej nie. Jockowi by się to nie podobało, rozumiecie. Złożyłby wymówienie.

– Nie musiałyby. Bo widzisz, w oknie po drugiej stronie ulicy czuwał snajper, który palnąłby ci między oczy w jedną piątą sekundy po twoim strzale. Żeby nie wzięli cię na przesłuchanie, kapujesz?

– Doskonale się spisałeś, Charlie, kochanie. Jestem

z ciebie taka dumna.

– Tak, rzeczywiście, Charlie, staruszk. – Blucher objął moją żonę i głośno cmoknął ją w policzek.

Tego było już dla mnie za wiele. Moje knykie osiągnęły bielszy odcień bieli i na pewno każdy wprawny obserwator dostrzegłby, że na czole wystąpiły mi żyły grubości sikawek strażackich. Wstałem i spojrzałem na nich groźnie. My, Mortdecaiowie, nie mamy w zwyczaju rozrywać naszych gości na członki, zwłaszcza w obecności pań, choćby były nie wiem jak niegodziwe i podstępne. Muszę jednak wyznać, że byłem już bliski złamania tej zasady i być może naprawdę bym to uczynił, gdybym w porę sobie nie uprzytomnił, że nie należy tak postępować z facetem, który obściskując cudzą żonę, niechcący ukazuje bezwstydną wypukłość pod lewą pachą, gdzie ewidentnie kryje się duży, ordynarny pistolet automatyczny. Demonstracyjnie opuściłem więc salon. Nie potknąłem się o nic ani też nie trzasnąłem drzwiami.

Jock, wierny sługa, siedział w kuchni, opierając swoje ciężkie bucioro o sterylny blat. Łypnął na mnie znad komiksu poświęconego bohaterom kreskówek. Zamachnąłem się nogą i kopnąłem najbliższą pastelową szafkę kuchenną z płynnie wysuwanymi szufladami, znacznie ją wgniatając. Jock pogrzebał w kieszeni, wyjął szklane oko, zwilżył je w kubku herbaty i wprawnie wetknął do oczodołu.

– Dobrze się pan czuje, panie Charlie?

– Jestem w świetnej formie, Jock – sarknąłem – doskonałej, wręcz szczytowej, nigdy nie byłem w lepszej. My, rogacze, nie czujemy bólu, no wiesz.

Patrzył wytrzeszczonymi oczami, jak wymierzam drugiego potężnego kopniaka tej samej szafce. Tym razem moja stopa przebiła tworzywo i utknęła w dziurze. Jock przy użyciu nożyc pomógł mi wyciągnąć but. Wyswobodziwszy następnie nogę, pokuśtykałem do stołu.

– Chyba ten kop dobrze panu zrobił, panie Charlie, lepiej niż tydzień nad morzem. Czy ma pan jeszcze na coś ochotę?

– Jak tam kanarek? – odciąłem się. – Wciąż się dąsa?

– Nie, odzyskał głos, słuchanie go to prawdziwa uczta duchowa. Musiałem nakryć jego klatkę szmatą, żeby gnojek się przymknął. Dałem mu też trochę jajka na twardo, dosypałem do ziarna konopi szczyptę pieprzu cayenne i dolałem do wody rumu, i teraz, da-dam, jest gotów na przyjęcie wszystkich gości.

– Mnie też zaserwuj taką kurację, Jock – odparłem markotnie – ale bez jajka na twardo, pieprzu cayenne, ziarna konopi i wody.

– Już się robi, panie Charlie. Jeden duży rum marynarski. A czy... eee... pani czegoś sobie życzy?

– Nie umiem powiedzieć. Blisko współpracuje teraz z pułkownikiem Blucherem.

– Uhm, nie widziała się z nim od miesiący, no nie?

- A skąd mam wiedzieć?
- To przecie jej brat, co nie?
- Jock, o czym ty, do licha, mówisz?
- Ojej, przecież pani M to jego siostra. Czyli na to samo wychodzi, co nie?

Nagle wiele rzeczy stało się jasne, a najbardziej ze wszystkiego to, że po raz pierwszy w życiu wyszedłem na kretyna.

– Och, ach? – zapytałem.

– No – potwierdził Jock.

Pozbierałem do kupy to, co chciałybym uważać za swoje myśli.

– Jock – poleciłem – odkryj kanarka. Pragnę usłyszeć jego słodkie trele. Ale robiąc to, nie zapomnij o dużej szklance marynarskiego rumu, który zażyczyłem sobie już dziewięćdziesiąt sekund temu.

Gdy pocziwiec powlókł się do spiżarni, przypomniałem sobie coś, co od rana tłukło mi się po głowie – samo jądro czy też sedno całej sprawy, kluczowy punkt, wokół którego wszystko się kręciło.

– Jock! – zawołałem z udręką.

Zatrzymał się w pół kroku i obrócił na pięcie.

– Jock, bądź tak dobry i dodaj do tego zamówienia jeszcze jedną z tych twoich superekstrakanapek z dżemem.

– W porządziu, panie Charlie. Jeden duży rum, jedna kanapka z dżemem.

– I jeden kanarek.

- Już się robi, panie Charlie.
 - Cudownie, Jock – skwitowałem.
-

Przypisy końcowe

1. *The Biggest Aspidistra in the World* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)
2. Robert Stephenson Smyth Baden-Powell, znany również jako B-P (1857–1941) – brytyjski generał i pisarz; twórca skautingu. [\[wróć\]](#)
3. John Enoch Powell (1912–1998) – brytyjski polityk, minister w drugim rządzie Macmillana, przeciwnik ustawy znoszącej dyskryminację rasową w Wielkiej Brytanii. [\[wróć\]](#)
4. „Tirra lirra” – nawiązanie do Szekspirowskiej *Opowieści zimowej*, przeł. Maciej Słomczyński. [\[wróć\]](#)
5. William Szekspir, *Makbet*, przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
6. Wszystkie cytaty z Biblii: *Pismo święte Starego i Nowego Testamentu*, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań–Warszawa 1988. [\[wróć\]](#)
7. Alan George Heywood Melly (1926–2007) – brytyjski wokalista jazzowy i bluesowy, kompozytor, pisarz, scenarzysta, aktor oraz krytyk filmowy i telewizyjny. [\[wróć\]](#)
8. Dingley Dell – miejsce akcji Dickensowskiego *Klubu Pickwicka*. [\[wróć\]](#)
9. *Not Wanted On Voyage* – nalepka przyklejana na walizkach, które nie wchodziły w skład bagażu

podręcznego i na czas podróży były umieszczane w bagażowni. [\[wróć\]](#)

10. Women's Royal Naval Service – kobiece oddziały marynarki wojennej. [\[wróć\]](#)
11. Nawiązanie do wiersza Charles'a Baudelaire'a *Do czytelnika*. W przekładzie Bohdana Wydzgi: „obłudny czytelniku”. [\[wróć\]](#)
12. Przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
13. Likier na bazie ginu, cytryn i chininy z dodatkiem mieszanki ziół, zawierający około dwudziestu pięciu procent alkoholu. [\[wróć\]](#)
14. William Szekspir, *Hamlet*, przeł. Józef Paszkowski. [\[wróć\]](#)
15. Gra słów po angielsku. Spender – przyjaciel Isherwooda, *spender* – ten, kto ma szeroki gest. [\[wróć\]](#)
16. *Oda do urny greckiej*, przeł. Zenon Przesmycki. [\[wróć\]](#)
17. Kolejne w cyklu o Mortdecaiu nawiązanie do Bertiego Woostera, bohatera opowiadań i powieści P.G. Wodehouse'a. [\[wróć\]](#)
18. National Trust for Places of Historic Interest or Natural Beauty – brytyjska organizacja zajmująca się ochroną zabytków i przyrody w Anglii, Walii i Irlandii Północnej. [\[wróć\]](#)
19. William Szekspir, *Król Lear*, przeł. Jan Kasprowicz. [\[wróć\]](#)
20. Carry Amelia Nation (1846–1911) – amerykańska aktywistka, członkini ruchu na rzecz abstynencji działającego przed prohibicją w Stanach Zjednoczonych. [\[wróć\]](#)
21. Adrian Bell (1901–1980) – angielski dziennikarz piszący o rolnictwie, farmer i pierwszy autor krzyżówek dla „Timesa”. [\[wróć\]](#)
22. Egon Ronay (1915–2010) – krytyk kulinarny węgierskiego pochodzenia, w latach pięćdziesiątych

i sześćdziesiątych pisał i publikował w poważnych przewodnikach brytyjskich po restauracjach i hotelach.

[\[wróć\]](#)

23. Enid Mary Blyton (1897–1968) – angielska pisarka tworząca głównie książki dla dzieci i młodzieży. [\[wróć\]](#)

24. Operacja Entebbe lub rajd na Entebbe – akcja odbicia pasażerów porwanego przez terrorystów palestyńskich francuskiego samolotu, przeprowadzona w Ugandzie w nocy z 3 na 4 lipca 1976 roku przez siły izraelskie.

[\[wróć\]](#)

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Wprowadzenie](#)

[Sprostowanie](#)

[1. Mortdecai przygotowuje się na spotkanie ze Stwórcą](#)

[2. Mortdecai się dowiaduje, że Stwórca jednak nie chce się z nim spotkać](#)

[3. Mortdecai odzyskuje przytomność, jeśli tak to można nazwać](#)

[4. Mortdecai rozbiera propozycję swoim ostrym jak brzytwa intelektem](#)

[5. Mortdecai dochodzi do wniosku, że jest mnóstwo przyjemniejszych dróg życiowych niż śmierć](#)

[6. Mortdecai zbiera żniwo i sam staje się żniwem](#)

[7. Mortdecai wydaje polecenie, którego nie zgodziłby się spełnić żaden przyzwoity człowiek](#)

[8. Mortdecai z przerażeniem zanurza palec u nogi w nawiedzanych przez rekiny wodach królobójstwa](#)

[9. Mortdecai jest gotów stanąć poza nawiasem, ale żałuje, że nie ma bardziej reprezentacyjnej gospodyni](#)

[10. Mortdecai dostaje najprostsze, ale nie najwdzięczniejsze zadanie i je zawala](#)

[11. Mortdecai dostaje ciągi i wyrzuca ze swojego słownika określenie „słabsza płęć”](#)

12. Mortdecai w końcu sobie uświadamia, że nie jest na wieczornym kursie samoobrony dla starszych pań
13. Mortdecai odkrywa z niesmakiem, że stawką w tej grze nie są spinki do włosów ani nawet pieniądze
14. Mortdecaiowe zainteresowanie ornitologią słabnie
15. Mortdecai traci wiarę w swoje małżeństwo, przyjmuje pro tempore święcenia kapłańskie i spotyka dentystę, który boi się bardziej od swojego pacjenta
16. Mortdecai popija trochę więcej, niż mu to służy, i zostaje przestraszony przez kompetentnego straszyciela
17. Charlie przekazuje pewien niebezpieczny produkt spożywczy i z mniejszą niż zwykle uległością przyjmuje cios
18. Mortdecai nie wyczuwa dobrych wibracji
19. Mortdecai wchodzi w posiadanie pewnego dzieła sztuki, bez którego mógłby przeżyć, i dowiadyuje się ciekawych rzeczy o wdowach po policjantach oraz o kotlecikach rybnych
20. Mortdecai, opętany myślą o kotlecikach rybnych i przerażony myślą o wolności, ma gdzieś sąd i wszystko inne
21. Mortdecai zwiedza zakład produkcji żywności i nieustannie doskonali umysł
22. Mortdecai poznaje prawdę, daje kopa szafce kuchennej i znajduje pocieszenie w kanapce z dżemem

Przypisy końcowe